

CZARNA SUKIENKA

Magdalena Gołas



CZARNA SUKIENKA

Magdalena Gołas

Od momentu minięcia ogromnej, żelaznej bramy, zdobionej ręcznie wykonanym aluminiowym bluszczem, który lśnił się w blasku latarni jak łuski ryby w lazurowej wodzie, czułam, że mam zawał. Uczucie pogłębiło się, gdy usłyszałam:

- 69 poproszę. - Przez chwilę musiałam mieć naprawdę debilny wyraz twarzy, ale kierowca okazał się być z tych łaskawych i nawet kącik ust mu nie drgnął.

- Pora się zabawić – myślę, wysiadając z taksówki. Nie było to najłatwiejsze zadanie, zważywszy na założoną suknię rodem z piekielnej panny młodej, której objętość po swobodnym rozłożeniu optycznie nie mieściła się do żadnego znanego mi samochodu. Wypadam więc jak nabój z pukawki, uwieszona drzwi, żeby nie upaść po włożonym wysiłku i zapadam się swoimi szpilkami w morzu małych, drobnych kamyczków wypełniających całą przestrzeń z parkingu aż po schody. Tylko mężczyzna mógł to wymyślić i wykonać! Już go nienawidziłam. Biorę głęboki, słyszalny na Marsie wdech i wyrrywam z objęć kamienistej brei pierwszego buta. Wtedy słyszę za sobą ciche, irytujące parsknięcie, które płynnie przeszło w słowa:

- Dobry wieczór. Widzę, że czeka Cię nie lada wyczyn, żeby dotrzeć na bal, czy mogę zaoferować swoją pomoc? - Oczywiście odwracając się, mam w głowie z tysiąc słów, których mogłabym użyć, by grzecznie powiedzieć, aby spadał, ale niestety zacięłam się patrząc w ciemnie, zimne oczy schowane za czarną maską. I z rozdziawioną paszczą oraz jedną nogą w górze, na kilka sekund zastygam jak baran. A raczej czarna owca. Na szczęście też już miałam założoną maskę, więc chociaż nie dostrzega moich purpurowych rumieńców, jak u podlotka. Niemniej było widać, że właśnie zaczął się dobrze bawić.

- Dziękuję – wychrypiałam – będę wdzięczna. Potem głośno przełykam ślinę, zastanawiając się, czy było to słychać w Rzymie?

- Organizator ewidentnie nie ma doświadczenia z kobietami, tudzież rozwiniętej wyobraźni, skoro urządził bal maskowy w takim miejscu – dodałam zgryźliwie, od razu odzyskując przy tym równowagę swojej chwilowo utraconej stabilności emocjonalnej. Na krótko, gdyż wykonuje jeden krok stając obok mnie i odsuwa łokieć, tak bym go mogła wziąć pod rękę, a potem nachyla się patrząc mi w oczy z odległości 30 cm i bez cienia uśmiechu mówi szorstko:

- Idziemy? - Nie ma jak moja samokontrola, leżała i kwiczała na tych kamyczkach, płacząc jak dziecko. Natychmiast odwracam twarz i bez słowa chwytam go za rękę, zaciskając szczękę najmocniej jak potrafię, by przypadkiem nie wpadło mi do głowy, że należy coś jeszcze powiedzieć. A zapewne znów byłoby to coś miłego...

Niesamowite jak krótka droga, może wydawać się dystansem nie do pokonania, kiedy idzie się z kimś kogo z niewiadomych powodów się lękaś. Ostatecznie, po odbytej wewnętrznej walce, jak i bitwie zewnętrznej z materią, docieramy do schodów. Brawo my. Żyję

i mam się dobrze. Teraz pójdzie gładziutko. A potem mój wzrok wędruje w stronę moich butów. Gładziutko jak po tych marmurowych, wypolerowanych stopniach bez poręczy. Czuję, jak narasta we mnie panika. Zamykam oczy, a w mojej wizji widzę jak za drzwiami wylano świeży beton, później pokonuję kolejne schody zrobione ze szkła, a następnie czekają na mnie rozsypane koraliki na całej sali bankietowej. Żeby było ślicznie i kolorowo. Ewidentnie musiałam zajęczeć na głos, bo tym razem mój „wybawiciel” szepną po cichu: - Dasz radę, trzymam Cię. Już blisko. – I idziemy dalej.

Jakaż była moja radość, gdy za drewnianymi drzwiami zobaczyłam parkiet. Prawdziwy drewniany, matowy! I zero schodów. Od razu się prostuję, gotowa ochoczo puścić kosmitę, z którym spędziłam pół życia próbując pokonać niemożliwe, kiedy słyszę od niego słowa:

– Radzę Ci tak szybko nie uciekać.

Przyznam, że w pierwszej chwili zaciekało mnie to, jakież to wymyślny argument mógł jegomość chować w kieszeni? Bo według mojej wiedzy nie istniał żaden, który spowodowałby, abym choć na sekundę przy nim została. Mrużę więc wkurzone oczy gotowa skoczyć do jego gardła i widzę, jak patrzy na mnie błagalnie, z nieukrywanym strachem. Instynkt samozachowawczy powoduje, że zatrzymuję się bez słowa, czekając grzecznie na wyjaśnienia. Wokół przechodzi wiele osób, wszyscy spoglądają na nas pytająco, kompletnie pozostając poza sferą mojego zainteresowania. Coś w tym mężczyźnie było cholernie niepokojącego i w jednej chwili czuję, że ma rację, tylko nie rozumiem co mi może grozić.

– Choć za mną, nie możemy tu rozmawiać – powiedział.

Puszczam jego ramię i podążam za nim przechodząc z holu do bocznego korytarza. To miał być mój wielki wieczór. Zabawa. I co? Wygląda na to, że plany uległy zmianie. Nie lubię, jak coś idzie nie po mojej myśli, a tym bardziej jeśli jest coś, czego nie wiem. Zanim doszliśmy do pomieszczenia, byłam wykończona swoimi rozważaniami. Nie wygląda na faceta, który chce mnie uwieść, albo podstępem zaciągnąć w kąt. To nie wchodziło w grę. Moja intuicja zazwyczaj mnie nie zawodziła. A teraz czuję, że to nie będzie przyjemny wieczór. Kiedy weszliśmy do pokoju, zapalił lampę i zamknął za nami drzwi. Szybko rzucam okiem na stare drewniane meble i ciężki bordowe kotary. Przypomniały mi dom dziadków. Odwracam się do niego z lekko szklącymi oczami. Zanim zdążę spytać, po co tu jesteśmy, ściąga maskę i głos więźnie mi w gardle. Po tych wszystkich latach... Czuję, jak mięknią mi kolana i że zaraz zacznę płakać, jednak jego wkurzony głos natychmiast stawia mnie do pionu:

- Co Ty do cholery wyprawiasz Em?! Nie możesz tu ot tak przychodzić po 10 latach, jakby nigdy nic się nie stało! Czy Twoi rodzice wiedzą, gdzie jesteś?! - Tak, tej zmiennej w postaci Piotra, który mógł mnie zdemaskować nie wzięłam pod uwagę. A powinnam, zanim postanowiłam tu przyjść. Ale jaka była szansa, że go spotkam po tylu latach? No jaka?! Tym bardziej, że wyjechał. I miał nie wracać.

- Co Ci strzeliło do głowy? – kontynuował, cedząc słowa przez zęby.

Dużo pytań na raz. Powoli ściągam maskę licząc, że moja znajoma twarz odbierze mu trochę odwagi i spokojnie odpowiadam na ostatnie pytanie:

- Sukienka. – Na wszelki wypadek nie dodaję, że zobaczyłam ją idącą ulicą Sienną. Umówiłam się wtedy z Kasią na kawę w naszej ulubionej kawiarence. A że przyjechałam przed czasem, to wysiadłam przystanek wcześniej i poszłam na Planty. Gdybym przyszła od strony Rynku, nigdy by mnie nie było na tym balu. Ale wybrałam drogę od drugiej strony. W ogromnej witrynie stały pięknie ubrane manekiny – jeden w delikatnej sukni ślubnej, drugi w krwistej sukni balowej. A za nimi, na samym środku przestronnego pomieszczenia, stała ona. Czarna jak smoła, z wszytymi iskrzącymi się kryształkami, wykończona drobnym, ledwo widocznym haftem z wierzchu, suknia marzeń. Ciężka i efemeryczna w jednym. Stałam jak oczarowana z rozdziawionymi ustami. Z tego szaleństwa wyrwała mnie Kaśka wołając – Hej, Em! O widzę, że znalazłaś jakieś cudenka! Choć przymierzmy kiecki! - I przymierzyłam. Po tym już nie było odwrotu. Siedząc w przymierzalni, jakiś psychopatyczny chochlik w głowie przypominał mi, jak rodzice mówili o corocznym balu maskowym, na który nie dadzą radę pójść, bo wyjeżdżają do mojej cioci do Norwegii. I to był gwóźdź do trumny. A teraz stoję i ciosam sobie drewno na wieko tejże trumienki.

- Sukienka? Naprawdę to powiedziałaś. – stwierdza zdenerwowany Piotr.

- Posłuchaj – przerywam mu wywód, żeby jednak spróbować trochę wyjaśnić i nie wyjść na kompletnego oszołoma. Ale zanim zdążę, mówi zrezygnowany:

- Nie, ja nawet nie chcę wiedzieć, Em. A teraz wyprowadzę Cię bocznym wyjściem i wpakuję do taksówki, zanim znowu wszystko zepsujesz. - Specjalnie przeciągnął słowo „znowu”. I rusza w stronę drzwi. Auć. Zabolało. Trzeba przyznać, że trafił w punkt. Nie popisałam się na ostatnim balu, można by rzec był to debiut wszechczasów. Jednak naiwnie sądziłam, że po tylu latach dla nikogo nie ma to już znaczenia.

- Skoro od początku wiedziałeś kim jestem, to po cholere całe to przedstawienie?! – Sprawiam, że obraca się w moją stronę. - Trzeba było od razu na parkingu wrzucić mnie na tylne siedzenie! – Taa, jak zawsze zachowałam spokój i opanowanie... Najlepszym przyjacielem przegrywającego jest srogi atak. Tadam.

- Zrobiłbym to, ale poznałem Cię dopiero po tym jak chwyciłaś mnie za ramię i odwróciłaś głowę, a Twój kierowca odjechał – cedzi powoli przez zęby. Nie musiałam pytać po czym mnie rozpoznał. Od dziecka mam z prawej strony szyi znamię. Kiedyś je pudrowałam, żeby nie było widoczne, teraz już się go nie wstydzę. Głupia ja! Zaciskam mocniej szczęki i czuję, że chyba ukruszyłam siódmkę, ale tym będę martwić się kiedy indziej. Muszę to rozegrać z innej strony. Jak nie młotkiem, to współczuciem i szczerością...

- Rodzice nic nie wiedzą. Wyjechali na wakacje. To był wyłącznie mój pomysł i przyznam, że jednak nie najmądrzejszy. Nie wzięłam pod uwagę, że mogłabym tu spotkać kogoś, kto mnie po tylu latach rozpozna. A już na pewno nie Ciebie. Bardzo chciałam zobaczyć to, co mnie ominęło przez mój dawny wyskok. – Spuszczam wzrok w stronę podłogi, to zawsze działa. Jak posłuszna zagubiona dziewczynka, która niechcący zbiła drogocenną wazę.

- Nawet nie wiesz jak bardzo chciałbym w to uwierzyć – mówi z nieukrywanym smutkiem i żalem w głosie. – Ale nie potrafię. Zawiodłaś wtedy wszystkich swoich bliskich. A oni Cię wspierali, przygotowywali latami do tak ważnego dnia, a Ty? Patrzyłaś wyłącznie na swoje

emocje. – Szach mat. Mam ochotę mu pogratulować i spytać, kiedy kolejna partia...? Jak mam udowodnić duchowi z przeszłości, że dorosłam i jestem innym człowiekiem, kiedy spotykamy się znowu w warunkach, w których bezpowrotnie mnie stracił?

- Przepraszam – odpowiadam szczerze i czuję, jak po raz pierwszy od lat po policzkach spływają mi łzy. No cóż, tego się nie spodziewałam, ja też nie. Zakrywam twarz rękami, żałuję, że ściągnęłam wcześniej maskę. Słyszę, że się zbliża. Bierze moje dłonie i odsłania twarz. Pewnie ma ochotę udusić mnie moimi własnymi rękami, ale zdziwiona stwierdzam, że jednak się powstrzymał.

- Spójrz mi w oczy – mówi zrezygnowany – i powtórz co powiedziałaś.

- Przepraszam – odpowiadam bez wahania. Jest mi strasznie przykro, że mu tego nie zdążyłam powiedzieć zanim wtedy wyjechał. – Ale gdybym mogła cofnąć czas – kontynuuję w swoim stylu – zrobiłabym dokładnie to samo. Bo nie żałuję miejsca, do którego mnie to doprowadziło. I jedyne czego mi brakuje, to odzyskania możliwości przebywania wśród osób dla mnie bliskich. – Oczywiście mam na myśli Piotra. Widzę w jego oczach, że mi uwierzył.

- Bez żadnej bomby, Em? Fajerwerków na środku parkietu? Niekontrolowanego pijaństwa? A może wódki w ponczu? – dopytuje i uważnie mi się przygląda, szczególnie przy tym ostatnim pytaniu, które wysyczał ze złością, wiedząc, że kłamstwa zawsze malowały się na mojej twarzy.

- Bez. Będę grzeczna. Obiecuję. – Puszcza moje dłonie i robi krok w tył, badawczo się przypatrując. Nawet nie drgnę. Wiem, że teraz ważą się moje dalsze losy.

- Dobrze, ale jak coś tym razem wykręcisz, to nie rękę za siebie. Za dużo wysiłku włożyłam w organizację tego balu. Mam tu do załatwienia bardzo ważne sprawy, Em. – mówi z zaciśniętymi szczękami. A ja uzmysławiam sobie, że to on odpowiada za ten pieprzony parking! I nawet nie mogę do tego wrócić! Farciarz. – A teraz kilka zasad. – Na te słowa sztywnieję. Nienawidzę zasad. Brrr. – Widzę, że jak zwykle masz postawę skora do współpracy, ale jest to niezbędne – mówi ironicznie. – Po pierwsze nie ściągniesz maski. Po drugie ewakuuję Cię przed północą, wtedy jak zawsze wszyscy ściągają swoje maski, co zapewne wiesz? – O cholera, nie wiedziałam o tym! Powinien napisać to drukowanymi literami z tyłu na zaproszeniu! W zasadzie to nie dostałam zaproszenia. Ukradłam mamie. - Po trzecie trzymasz się mnie, chodzisz tam, gdzie ja, rozmawiasz grzecznie z ludźmi, z którymi ja rozmawiam i pijesz tyle ile ja Ci naleję. Zapamiętałaś? – Ubaw po pachy myślę, ocierając łzy i zakładając maskę.

- Tak proszę Pana – odpowiadam kąśliwie, choć wiem, że brzmię na bardzo zrezygnowaną – Idziemy?

- Idziemy. – Zakłada swoją czarną upiorną maskę i wyprowadza mnie z pokoju. W oddali słyszę, jak ktoś popisuje się na fortepianie, a później gromkie brawa. Jesteśmy coraz bliżej sali głównej, czuję, że mam serce i nawet postanowiło bić teraz całkiem mocno. Nad wejściem widnieje wielki napis – Bal Charytatywny. Oczywiście zastanawiam się, ileż to pieniędzy poszło, żeby tę imprezę zorganizować i co za to można by dobrego zrobić. Ale gryzę się w język, zanim zrobię przytyk stojącemu obok organizatorowi. Na razie muszę mu odpuścić.

Sądziłam, że choć trochę ucieszy się na myśl, że ten wieczór spędzi u boku pięknej kobiety, której będą mu wszyscy zazdrościli. Ale niestety wygląda jakby nie był przesadnie szczęśliwy z bycia moją niańką. Zadziwiające, prawda?

- Gotowa? – Piotr pyta mnie bez przekonania. Biorę głośny wdech i kiwam głową. Przekraczam próg i zaczyna się bal. Mój pierwszy bal w dorosłym życiu.

Co mi strzeliło do głowy?! Wszyscy jak kopiuj, wklej. Tacy sami. Te same rozmowy, pozy, grzeczne uśmiechy i uprzejmości. Nic dziwnego, że zostałam zapamiętana, skoro tak wygląda przeciętny bal. I to bal przez duże Be. Wielkie, ozdobne żyrandole, złożone wazony z egzotycznymi kwiatami i to nawet w toalecie! Z plusów – dobra muzyka grana przez orkiestrę. Poza tym impreza, jak na zjeździe emerytów w upadającym domu starców. A wszyscy na prochach spowalniająco-rozweselających podawanych w kroplówkach, aby nie pobrudzić rączek.

Wiele osób nas zaczepia, gdyż z łatwością rozpoznają Piotra. Ten ze spokojem odpowiada na wszystkie pytania i pozdrawia nieobecnych członków rodziny rozmówcy. Nie wiem jak on to wszystko spamiętał, szczególnie, że ponoć dopiero co wrócił. Tyle ciekawego się dowiedziałam. Reszta przeleciała między uszami. Jedzenie było niesmaczne, bo słabo doprawione. Pewnie ze względu na niepewne jelita obecnych. Poncz bezalkoholowy, no bo nie wypada pić z myślą o biednych, cierpiących dzieciach, prawda? Jakoś akurat o tym mam o przeciwne zdanie.

Przetrwiałam do 23.15 i już mam mówić, że chyba na mnie czas, bo naprawdę nie było po co tego cyrku dalej przeciągać, kiedy Piotr pyta zdenerwowany, czy mogę na chwilę zostać z tą starszą Panią przy stoliku obok, bo on musi z kimś pilnie porozmawiać. Wygląda na mocno zaniepokojonego, więc się zgadzam.

- Dobry wieczór – powiedziałam, przysiadając się do starszej Pani. – Czy wszystkie bale wyglądają jak ten? – mówię uprzejmie i wiem, że tak postawione pytanie ją zaintryguje. Może starsze panie mają głęboką sklerozę, ale są bardzo przebiegłe. Uśmiecha się do mnie szeroko. Haczyk połknięty.

- Och dziecko, to Twój pierwszy raz? Ileż to bali moje oczy już widziały! - kontynuowała bez oddechu, co jest dla seniorów charakterystyczne. Najbardziej kochają dźwięk własnego głosu. – Ale na szczęście jesteś w dobrych rękach. Ten przystojny młodzieniec stanął na wysokości zadania. Trzeba przyznać, że wszystko jest do perfekcji dopracowane. – Nic nie mów, nic nie mów! Powtarzałam sobie w myślach jak mantrę. – I, ach te kwiaty! Czyż nie cudowne? Nawet na Maderze nie widziałam piękniejszych! – I tak straciłam kolejne 40 minut mojego życia, choć nie za bardzo wiem, co później do mnie mówiła. Przykleiłam uśmiech do twarzy, raz na czas potrzasałam głową i szczerzyłam się coraz bardziej. Potem wrócił Piotr, a raczej wpadł jakby go gonili. Trochę mało elegancko, a ja się tak staram trzymać fason. Już go mam ofuknąć, co to za zachowanie, ale wystrzeliwuje słowa jak pociski z karabinu: – Mam nadzieję, że nie kazałem Ci zbyt długo czekać. Przepraszam. Pilne sprawy. - Tu pojawił się sztuczny, przelotny uśmiech. I zwracając się do babci obok. – Dziękuję, że zechciała jej Pani towarzyszyć, ale

jestem zmuszony ją teraz porwać. –Uklon. Staruszka nawet nie zdążyła otworzyć buzi, by coś odpowiedzieć, a on nie czekając na dalsze uprzejmości chwyta mnie za rękę i wywleka (dosłownie) na taras. Co za cham!

- Em, nie ma teraz czasu na fochy. Mamy parę minut, nie możesz tu zostać, bo Cię zjedzą żywcem pod zdjęciu masek – mówi, pędząc po schodach i podtrzymując mnie żebym z nich nie spadła. Fakt perspektywa bycia czymś pożywieniem sprawia, że nieco przyspieszam.

- Czy wszyscy Twoi goście nie będą zawiedzeni, że nie stoisz teraz na środku sali? – dyszę z przekorą.

- Wrócę tam, zanim się obejrzą. Nic się nie martw. Obawiam się, że bardziej zauważą Twoją nieobecność, bo byli mocno zainteresowani kim jesteś. – Po czym przerzuca mnie przez ramię, jak worek ziemniaków i dodaje:

- Przepraszam, tak będzie zdecydowanie szybciej, szczególnie, że jakiś debil zorganizował imprezę z kamienistymi ścieżkami wokół budynku, dla gości których połowa stanowiła osoby w sukniach balowych i szpilkach. – Pomimo niekomfortowego transportu ciała, nie umiałam się nie zaśmiać.

Na szczęście parking był wypełniony taksówkami. Piotr znalazł największą, a raczej z największym tyłem, żeby szybciej udało się mnie zapakować do środka, co i tak chwilę trwało. Potem mówi szybkie „cześć”, niezbyt przy tym patrząc mi w oczy i pędzi w stronę dworku. Rozczarowujące.

Pocieszające jednak jest to, że tym razem nie daję się zaskoczyć kierowcy, kiedy z uśmiechem mówi cenę za kurs. Beznamyślnie przykładam kartę do terminala i wysiadam.

10 lat wcześniej.

Pewna niezwykle urodziwa 17-letnia arystokratka z porządnego, cenionego domu, przez całe dzieciństwo była przygotowywana do wielkiego dnia – balu debutantek. Sumiennie uczęszczała na dodatkowy angielski, francuski, lekcje tańca, gry na fortepianie, opanowała jazdę konną, umiejętność prawidłowego dygnięcia, obyczajnego zachowania, manier przy stole, czytając przy tym tonę książek i ucząc się historii sztuki.

Bal ten, był niezwykle wydarzeniem dla wielu młodych dam, stanowił przedsmak dorosłego, dostatniego życia i pożegnanie naiwnych młodzieńczych marzeń, a także ugruntowanie swojej pozycji w tak zwanej socjecie oraz zapoznanie się z kandydatami na przyszłego męża. Prawdziwy koszmar, prawda? Dla rodziców posiadających wyłącznie jedno dziecko, był momentem szczególnym i zapewne trudnym. A ja, delikatnie mówiąc, sprawiłam, że był katastrofalny. Gdybyście mogli wyobrazić sobie największy kataklizm w dziejach ludzkości, jak potop lub zarazę, to mój występ można mierzyć właśnie tą miarą. Czy moje zachowanie było przemyślane, wyrafinowane? Nie. Raczej podyktowane chwilą, wewnętrzną cichą, narastającą niezgoda i wielką niepewnością. Tak jak wybuch gwiazdy, gdy nie da się z

daleka zmierzyć, kiedy osiągnie punkt krytyczny, ale można podprogowo poczuć, że ten moment się zbliża. Nikt nie poczuł!

Czerwcowe słońce przyjemnie dotyka mojej skóry. Tego ranka siedzę na ganku z kubkiem gorącego mleka truskawkowego. Jak byłam młodsza, tata zawsze mi takie robił, szczególnie kiedy coś mnie trapiło. Czuję narastające napięcie do granic mojej wytrzymałości. Panicznie się boję nadchodzącego popołudnia. Nie przypuszczam, że to wewnętrzna niezgoda powoli buzuje w mojej krwi. Wiele lat później, miałam ochotę cofnąć się do tego momentu i mocno przytulić moją młodszą wersję. Pogłodzić po włosach i zapewnić, że wszystko co się wydarzy, ma znaczenie, a szczególnie wartościowe są te najmniej przyjemne doświadczenia, które potrafią pokierować nas w odpowiednią stronę.

Mama prasuje moją białą sukienkę, uśmiechając się przy tym łagodnie. Później czesze moje włosy i wręcza swoją szminkę, mrugając porozumiewawczo. Pewnie sama wspominała teraz swój debiut, który na pewno był dla niej przyjemnym doświadczeniem. Tak poznała tatę i nadal wyglądają razem na szczęśliwych, a to moim zdaniem zakrawa na sukces.

Przed wyjściem z domu, wchodzę na minutę do łazienki, patrzę na siebie w lustro i wtedy słyszę ją wyraźnie po raz pierwszy. Tą myśl, pewność, że dziś zawiodę wszystkich, łącznie z przodkami, którzy już nie żyją. Nawet oni musieli mi teraz dokopać zza grobu!?! Zabrakło mi tchu. W panice odkręcam kran, zamykam oczy i czekam, aż szum wody mnie uspokoi. Po chwili znów zaczynam normalnie oddychać.

Ciekawe jest to, jak bardzo staramy się w życiu zadowalać innych, a jak mało siebie. Tak rzadko przyglądamy się sobie. Jak często stajesz przed lustrem i czujesz do siebie miłość? Akceptujesz się, dokładnie takim jakim jesteś? Uśmiechasz się do swojego odbicia?

A więc przyklejam uśmiech i wychodzę z łazienki. Wsiadamy do samochodu, dyskutując o fenomenie Bansky'ego. Zwykła rozmowa, w zwyczajny słoneczny dzień. Tylko, że dziś, co chwilę tracę oddech i robił mi się słabo. Nikt tego nie zauważa. Takie zalety ma tylne siedzenie w samochodzie.

Dojeżdżamy. Muzeum Narodowe. Na co dzień przyjemna przestrzeń wypełniona ciekawymi eksponatami. Dziś miejsce zbrodni popełnionej wobec najbardziej wpływowych rodów szlacheckich.

Zaczęło się niewinnie. Wchodzę na salę w towarzystwie taty, mama tupta z tyłu. Następuje seria przywitań, pozdrowień, a później odbywa się tak zwany tradycyjny ukłon. Nie zliczę dni i luster przed którymi go ćwiczyłam. Wyszedł perfekcyjnie. Widzę w tłumie znajome twarze, ale tylko jedna sprawia, że potrafię się teraz szczerze uśmiechnąć. Piotrek nieznacznie się cofa i robi naprawdę głupią minę (jak na siebie). Ojciec patrzy na mnie z góry, z nieukrywaną dezaprobatą i zabija mnie wzrokiem, a ja trzęsę się próbując powstrzymać wybuch śmiechu. Mówię mu, że muszę napić się ponczu, bo zaschło mi w gardle. Zostawiam go z mamą. Nalewam szklankę, a jakiś chłopak podchodzi, uśmiecha się zachęcająco i udaje, że wlewa piersiówkę do wazy oraz mojej szklanki. Chwilę z nim rozmawiam i wznosimy toast. Wydaje się, że chłopcy wiedzą, jakie to musi być dla nas trudne, szczególnie kiedy tyle surowych oczu na nas patrzy i ocenia. Czuje się jak klacz na wybiegu. Znów tracę oddech.

Odchodzę, delikatnie kłaniając się koledze w podzięcie za odrobinę rozrywki. Nie wiedziałam, że Piotrek cały czas mnie obserwuje. Tak jak i rodzice.

Zaczyna się taniec. Walc. Punkt kulminacyjny. Czuję jak z nerwów nagle niekontrolowanie odpływam. Całe napięcie skumulowane od miesiący narasta, a panika mnie obezwładnia. W połowie zaczynam gubić kroki, potykam się, a tata patrzy na mnie coraz bardziej zły i zawiedziony. Nic nie mówi, tylko przewierca moją czaszkę zawstydzonymi oczami. Bo co inni teraz mogą myśleć? Jego córka tańczy jak pijana. Udaje mi się puścić przeproszające spojrzenie, ale dostrzegłam, że już za późno. On już swoje pomyślał. Słyszę szepty, choć nie miałam fizycznie jak ich usłyszeć. Wszyscy pewnie plotkują, pokazują na mnie. Czuję, jak sala robi się coraz mniejsza, a w powietrzu nie ma tlenu. Chcę zemdleć, a nie umiem. Chcę uciec, a nogi są jak kamienne bloki. Chcę coś powiedzieć, wyjaśnić tacie, ale nie jestem w stanie wydusić nawet szeptu. Jakimś cudem wyrrywam się z jego rąk i pędzę między ludźmi, zataczając się na boki. Ktoś gdzieś krzyczy, podniesione rozmowy, śmiechy. Tyle zdołałam zarejestrować. A potem nie ma już nic. Zataczam się i osuwam po ścianie, koło bocznych schodów. Nie wiem, ile jestem nieprzytomna. Budzi mnie czyjś rozbawiony głos. Powoli otwieram oczy. O, mój kolega od udawanego drinka. Pyta czy nie mi nie jest. W moim obecnym położeniu fizyczno-psychicznym, ciężko odpowiedzieć. Badam głowę czy nie uderzyłam się upadając. Nie wyczuwam guza. Zaprzeczam ruchem głowy. Podaje mi rękę żebym wstała. Z chęcią korzystam. Oczywiście zataczam się i wpadam na niego. Już mam przeprosić, gdy w moim polu widzenia pojawia się Piotr. Tak, fantastycznie prawda? Ja sztywnieję, kolega podtrzymujący moje bezwładne ciało też, ale niekoniecznie w ten sam sposób co ja, a w oczach Piotra widzę jeszcze większe rozczarowanie niż widziałam w oczach taty. Bez słowa odwraca się na pięcie i odchodzi. A ja znów nie mogę oddychać. Chcę krzyczeć, ale nie mogę. Wypełnia mnie wstyd. A tymczasem „kolega” wykorzystuje moment i próbuje mnie pocałować. Z marnym skutkiem, bo w takich sytuacjach działam podprogowo. Szybki kop w krocze i ucieczka. Moje nogi przypominają sobie o tajnym połączeniu z mózgiem i zapylają po korytarzu szybciej niż pędziwiatr. Wypadam na zewnątrz. Czerwcowe noce bywają zdradliwe. Zaczynają się od ciepłego wiatru i nawet nie wiesz, kiedy przechodzą w arktyczny mróz. Docieram do domu przemarznięta, w zdartych pantofelkach, po czterech godzinach marszu. Uroki mieszkania na wsi. Sukienka jest zniszczona, włosy potargane, a oczy rozmazane od spływających łez. Tata, po moim wejściu do domu, pyta czy ktoś zrobił mi krzywdę. Odpowiadam, że nie, że zrobiłam ją sobie wyłącznie sama. Zawiodłam wszystkich, a najbardziej siebie. Kiwa głową ze zrozumieniem. Uroczy wieczór dobiegł końca, a ja postanawiam, że nigdy więcej moja noga (ani prawa, ani lewa), nie pójdzie na żaden bal.

Parę dni później słyszę, jak tata mówi do mamy, że Piotr podjął decyzję i wyjeżdża na studia do wujka do Londynu. Przy okazji pobytu, ma przyuczyć się do prowadzenia firmy. A ja od tego wszystkiego dostaję zapalenia płuc i głęboko żałuję, że nie umarłam ze wstydu tego feralnego dnia.

Drogi czytelniku, nic się nie martw, potem było już tylko lepiej. Bo gdy osiąga się dno najgłębszego dna, to po wstępnym wytarzeniu się w odchodach ryb, tudzież zmarłego planktonu, można wyłącznie powoli zacząć się wynurzać na powierzchnię. Jak to mówią, podażyłam w stronę światła!

A wracając do kolegi od ponczu. Ma na imię Dominik, właśnie kupił ze swoim tatą bardzo znaną stadninę koni. W dodatku startuje w zawodach jeździeckich i jest nadzwyczajnie znany wśród młodych dam. Szczególnie ze swojej bezpośredniości i skłonności do nadużywania (nie tylko alkoholu). A jak się tego dowiedziałam?

Po kilku tygodniach zmagania z chorobą, odzyskuję normalny kolor skóry. W sensie z zielonego przechodzę na odcienie kości słoniowej. Tata postanawia, że powinnam zaczerpnąć trochę świeżego powietrza i spróbować żyć dalej z tą żenującą przeszłością. A gdzie jego córca najlepiej odzyskuje kolory? Na swojej klaczy, rasy shire. Tak, mieszkającej w stadninie Dominika. No cóż, czy gdybym jeszcze teraz dodała, że po dziś dzień jesteśmy z Dominikiem przyjaciółmi, to by Ci buty spadły? To fajnie, że nie. Mnie spadły na głowę jak próbowałam je nieudolnie wyciągnąć z szafki, a on stanął w drzwiach szatni.

- Cześć mała. Widzę, że często dostajesz po głowie od życia – mówi rozbawiony.

- Cześć duży. Widzę, że za lekko kopnęłam Cię ostatnim razem i nadal stoisz zadowolony. - Kompletnie nie przemyślałam tej odpowiedzi, ale poszło w eter. Wytrzymał moje harde spojrzenie i uśmiechając się odpowiedział:

- Masz tupet. To lubię najbardziej. – A po chwili dodał ciut poważniejszym głosem. - Jak tam Twój chłopak, pozbierał się po Twoim hucznym występie? - Miałam ochotę go słownie rozszarpać, ale w porę ugryzłam się w język.

- Nie Twój interes. A w zasadzie to Twój interes zaważył na tym, że nie został moim chłopakiem. Także bardzo dziękuję Ci za pomoc. Przynajmniej nie straci najlepszych lat młodości na taką wariatkę jak ja. – I tu zaprezentowałam figurę z wyciągniętą ręką do góry, jak niedoszła modelka pozująca na ruchomych piaskach.

- Przykro mi. Jak chcesz, to mogę z nim porozmawiać i wyjaśnić. Może i jestem dupkiem, ale mam też odrobinę etyki, szczególnie widoczną, gdy jestem trzeźwy - stwierdza z poważną miną. To mnie trochę zbiło z tropu. Myślałam, że to matoł jakich mało.

- Dziękuję, nie ma takiej potrzeby – westchnęłam, na myśl, że Piotrek teraz jest już za granicą. I nigdy go już nie odzyskam. – Czyli, Twoja piersiówka była pusta podczas naszej degustacji ponczu, ponieważ wcześniej zdążyłeś ją opróżnić, czy wylać do kwiatka? – dodaje.

- No cóż, nawet nie zdążyłem wysiąść z auta, a już była pusta. Nienawidzę takich imprez. Na trzeźwo nie do przejścia. Dobrze, że sam już mam ten cyrk za sobą. I nie martw się, wiele osób czuje się wtedy jak Ty. Tylko wszyscy jakoś potrafią to opanować, a Ty byłeś nad wyraz szczerą w swoich emocjach. – No nie wierzę, normalnie zaczynam gością lubić. – A tak, poza tym, Dominik jestem.

- Emilia – odpowiadam, wyciągając rękę. - Ale znajomi mówią na mnie Em – dodaje pospiesznie, bo nie lubię swojego imienia. Chwilę potrząsamy bezmyślnie swoimi dłońmi, aż w tym samym momencie uznajemy, że zaczyna to być niezręczne i każde cofa się o krok.

- No dobra, to jak coś, to ja się tutaj często kręcę. Pewnie jeszcze nie raz na siebie wpadniemy. Taka praca. – mówi Dominik, prezentując swój popisowy uśmiech.

- Czyżby wymarzony staż na stanowisku stajennego? – Niezdarnie żartuję, próbując mu dopiec.

- Y, nie. To moja stadnina. – Powiedział z dumą i wyszedł. No tak, mogłam na to wpaść, prawda? Przewróciłam oczami, rozboleła mnie głowa. Pora ubrać buty i zrobić coś, czego chyba potrafię nie zepsuć. Poskakać i wytrząsnąć z siebie wszystkie złe wspomnienia na padoku. Dajcie mi konika!

Po godzinie, kiedy już spłynęłam z mojej klaczy na ziemię, oblana smrodliwym potem, czuję, jak nogi uginają mi się ze zmęczenia. Chyba za szybko po chorobie próbowałam tak harcować. Przedobrzyłam. Oczami wyobraźni widzę jutrzejszy poranek, ten ból spowodowany mikrouszkodzeniami każdego mięśnia w moim ciele, który paraliżuje przed wstaniem z łóżka. Cudowna perspektywa. Wykrzywiam moją twarz w grymasie.

- Pomóc Panience? – pyta Dominik z wyszczerzonymi zębami i rusza w moim kierunku. Nie do wiary, czy on jest wszędzie, gdzie mnie dopada ból?

- Dziękuję, jeszcze ogarniam. Muszę wyglądać tak jak się czuję, skoro padła z Twojej strony taka propozycja. – Czuję się jak siedem nieszczęść.

- Możesz mnie dziś wykorzystać. Skończyłem swoją pracę i jestem wolny. – A w dodatku nieustępliwy, myślę.

- Skoro tak bardzo chcesz się na coś przydać, to z chęcią poszłabym wziąć teraz prysznic, a Ty wyczyszcisz mojego konia? – Sprytnie to sobie wymyśliłam, prawda?

- No cóż, założę się, że gdybym ja Ci coś takiego zaproponował, nie uśmiechałabyś się tak szeroko. – Jak zwykle nie za bardzo umiem poradzić sobie z takimi informacjami, ale stoję tylko króciutko z rozdziawionymi ustami, bo jakaś natrętna mucha próbuje swojego szczęścia i korzysta z nieznanej jej dotąd jaskini. Wypluвам ją z obrzydzeniem i w końcu odpowiadam szczerze:

- Niedobrze mi. To jak, możemy iść na MÓJ układ? – dopytuję.

- Jasne. Tym razem! – odpowiada rozbawiony. Wyjmuje mi lejce z ręki i odchodzi w stronę boksów.

To był długi, męczący dzień. Bardzo się ucieszyłam, gdy po wyjściu z szatni widzę tatę. Dominik stojący przy boksie też go zobaczył i szybko wychodzi ze stajni, zanim tata go dostrzeże. Ojcowie w takich momentach mają pożądaną mocofunkcję – totalne odstraszenie.

- Cześć córcia. Jak się jeździło? – pyta z niepokojem w głosie. Na pewno zauważył, jak bardzo jestem zmęczona.

- Cudownie, było mi to faktycznie potrzebne. Miałaś rację – odpowiadam spokojnie. Pochwalony tata widocznie się uspokaja i ruszamy w stronę auta. Coś czuję, że będę tu częściej przyjeżdżać.

Poranek na drugi dzień był lekko mówiąc ciężki, choć bardziej bolało na trzeci dzień. A później bolało przez dwa tygodnie, parę razy w tygodniu. Tak wiem, nienasycona ze mnie bestia. Aż nastał sierpień, w którym obudziłam się bez zakwasów. Forma osiągnięta! Jeszcze

miesiąc wolności, a później ostatni rok nauki. We wrześniu będę obchodzić swoje osiemnaste urodziny. Powoli zaczynam odczuwać ścisk w okolicach mostka, czasem rozlewający się po żebrze z lewej strony. Gdybym była teraz starsza, pewnie spanikowałabym i zadzwoniła do szpitala, że muszę mieć stan permanentnego zawału. A tak, litrami piję melisę.

Dominik okazuje się całkiem uroczą formą rozrywki. Umiejętnie odciąga moją uwagę od jakichkolwiek trosk, ciągle żartując i flirtując ze wszystkim co można ogólnie nazwać „formą życia”. Jego dziewczyny pojawiały się i znikwały w tempie rozbłysku świetlnego. Po kilku poznanych, przestałam przywiązywać wagę do zapamiętywania ich imion. Doszliśmy do wniosku, że najłatwiej w naszych prywatnych rozmowach na wszystkie mówić Anka. Osiągnęliśmy dziwny balans damsko-męski, nierozumiany przez otoczenie. Czuję się przy nim bezpiecznie, bo żaden chłopak nie chciał wchodzić mu w paradę. Dla mnie jest to bardzo komfortowe rozwiązanie. Na początku moi rodzice nie byli zachwyceni naszymi spotkaniami, aż w końcu sami przekonali się na jakiej stopie wszystko się odbywa. Zresztą, Dominik zawsze był obecny, gdy na studiach przychodziły trudniejsze momenty w moim życiu. To niestety sprawiło, że po pewnym czasie, naszym rodzicom przyszedł do głowy niecny plan zeswatań nas. Ale o tym później.

Na pewno zastanawiasz się, czy tęskniłam za Piotrem? Tak, czasem w chwilach słabości pozwalałam sobie na odczuwanie tej ogromnej straty. Nie wyglądałam wtedy najlepiej, więc zawsze ukrywałam swoje emocje po kątach. Na szczęście od spotkania Dominika po raz pierwszy w stajni, nigdy więcej nie poruszaliśmy tego tematu. Myślę, że zdawał sobie z tego sprawę, jakie to jest dla mnie bolesne.

A teraz krótka historia, jak stoczyłam się do tego miejsca.

Mam 14 lat, a wyglądam na dwa lata młodszą. Mały chuderlak z wiecznie odrapanymi kolanami od łażenia po drzewach owocowych w naszym sadzie. Jak zwykle na sobotnie wyjście z domu, mama ubiera mi najjaśniejszą sukienkę jaką posiadam. Można było przypuszczać, że krótko taką pozostanie.

- Dzisiaj jest bardzo ważny dzień dla Twojego taty – mówi z przestrogą w głowie mama. - Urządzamy w wynajętej Willi bankiet, na który przyjadą inwestorzy z rodzinami. Nie martw się, będzie wiele atrakcji dla starszych dzieci. Postaraj się nie rozrabiać, przynajmniej mniej niż zawsze, dobrze? – Trzeba przyznać, że znała mnie wtedy na wylot.

Na moje usprawiedliwienie – były konie. Gdyby ich nie było, mogłabym nawet przetrwać całą imprezę z piękną, czystą sukienką. Ale gdy je ujrzałam po przyjeździe, już nic się nie liczyło. Piszczące dzieci, płaczące niemowlaki w wózkach, głośno i sztucznie śmiejący się klaun, kompletnie nic nie wywierało na mnie wpływu. Odciełam odgłosy, które na co dzień pewnie sprawiłyby mi fizyczny ból. A one tam stały, ozdobione uroczymi atłasowymi wstążkami wplecionymi w grzywy, czekając na mnie.

Stoję przy ogrodzeniu i mówię stanowczo do mamy, że nie odejdę stąd do pólki na jednym nie pojeżdżę. Mama spokojnie oznajmia, że dopiero za pół godziny będzie obwożenie.

A ja przytakuję i nie ruszam się z miejsca. Szybko zrozumiała, że zamierzam poczekać tutaj, więc głośno wzdycha i idzie na poszukiwania taty. Po paru minutach słyszę za sobą podniesiony głos:

- Czy byłabyś tak uprzejma i zechciałabyś podać do mnie tę piłkę? – Niezły tekst jak na 15-latkę. Trzeba przyznać, że dobrze wychowany młodzieniec. W przeciwieństwie do mojej niewyparzonej gęby. Zanim spojrzę na właściciela, odszukuję wzrokiem jego zgubę, która wylądowała nieopodal mojej prawej nogi. Ewidentnie stanowiła element wyposażenia imprezy, gdyż była cała kolorowa. Raczej żaden chłopak nie miałby ochoty takiej kupić w sklepie, a później zabrać na przyjęcie? Już mam się schylić i wziąć brudną piłkę do ręki, jak przypominam sobie, że moja sukienka ma pozostać jak najdłużej w stanie nienaruszonym. Cóż zrobić, podnoszę więc falkbanki powyżej kolana, biorę zamach i triumfalnie patrzę w oczy przerażonego chłopca. Dumna kopnęłam z całej siły, prosto w jego stronę. Nie wiem czemu się przestraszył pędzącej kolorowej kuli, ale nagle widzę, jak odsuwa się z jej trasy i pozwala upaść wprost pod nogi idącego kelnera, który niesie dużą ilość kieliszków. Były bardzo ładne, były. Później robi się dziwnie cicho, jakby wszyscy dokonali zbiorowego wstrzymania oddechu, a potem pojawia się na horyzoncie mama. Łapię drewnianą belkę od zagrody na znak, że niezależnie od tego jak mam przekichane, to nigdzie się stąd nie ruszę. Na szczęście zmiękła, gdy blady chłopiec przystępuje do próby ratowania sytuacji:

- Proszę Panią o wybaczenie, to moja wina. Nie zdołałem złapać piłki i stąd wydarzył się ten nieszczęśliwy incydent. Pani córka chciała wyłącznie pomóc, za co jestem jej niezmiernie wdzięczny. Jednak moja niezdarność przerosła moje oczekiwania. Oczywiście zaraz pomogę wszystko posprzątać. Mam też nadzieję, że Panu kelnerowi nie stała się żadna krzywda. – Nieźle, ja bym pewnie powiedziała „Przepraszam, ale on się odsunął! Skąd miałam wiedzieć, że za nim jest kelner?!” Trzeba przyznać, że ma gadane.

- Na szczęście nic poważnego się nie stało, a Wy trzymajcie się z daleka od potłuczonego szkła. Żeby żadne z Was nie wpadło na pomysł pomocy przy sprzątaniu, bo wiem jak to się skończy. – mówi mama patrząc prosto na mnie. O co jej chodzi. Nieważne, ten z różową wstążką jest cudny. Już się nie mogę doczekać jazdy. Uśmiecham się na tą myśl, co spowodowało wykwit bordowych plam na policzkach mamy i odgłos ofuknięcia. Pewnie pomyślała, że wyobrażam sobie coś z goła innego. Na to wszystko zjawia się tata z jakimś nieznanym mi towarzyszem.

- Widzę, że nasze dzieci już się poznały i rozpiera je młodzieńcza energia. Obawiam się, że jak ich szybko nie posadzimy na koniach, to rozniosą tę imprezę – mówi kolega taty z uśmiechem.

- Już się w takim razie tym zajmuję, Tadeuszu – odpowiada łagodnie tata i przywołuje gestem organizatora.

I jak tu żałować popełnionych błędów, skoro później przychodzą same nagrody?! Musiałam chyba podskoczyć z ekscytacji, bo chłopiec po raz pierwszy się do mnie uśmiecha i powoli przeciąga ręką po swoich ciemnych włosach. Wtedy moje serce zamarło po raz pierwszy. Zapominam o koniach, patrzących na mnie ludziach. Widzę tylko te jego piękne, czarne oczy i małe dołeczki w policzkach. Z tego totalnego sekundowego zawieszenia wyrwał mnie przytłumiony głos taty:

- Wolisz tego z różową czy fioletową wstążką? – dopytuje.
- Hę? – No wybitna odpowiedź. - A, tak, tego z różową. W tym czasie młodsza wersja kompana taty podchodzi do mnie i wyciąga rękę:
- Cześć, mam na imię Piotr. Ty zapewne jesteś Emilia. Miło mi Cię poznać. – Czyżbym była znana? Musiałam zrobić pytającą minę albo tradycyjnie zmrużyć oczy, bo od razu dodaje:
- Twój tata wiele nam o Tobie opowiadał podczas ostatniego obiadu. - No tak, pewnie tata był u nich w domu i chwalił się kimś, kto nie istnieje, myślę.
- Em, wolę jak tak się na mnie mówi – odpowiadam, witając się z nim oficjalnie. Nigdy nie umiałam udawać przesadnie miłej, bo wychodziło to znacznie gorzej od bycia sobą. Nie staram się usilnie wywierać dobrego wrażenia na chłopcach. Będzie co ma być.
- Oczywiście, jak sobie życzysz. Czy pomóc Ci przy wsiadaniu? – pyta, zbliżając się w moją stronę.
- Dziękuję, nie ma takiej potrzeby. Jeżdżę od dziecka. – Bo teraz taaaka jestem dorosła. Wskakuję szybko na Laurę (tak przynajmniej miała wyszyte na ogłowie), żeby znaleźć się jak najdalej od niego, a następnie uśmiecham do zebranego towarzystwa i pędzę w stronę łąki. Wyobrażam sobie, jak tata głośno wzdycha, a mamie opadają ramiona.
- Ktoś tu chyba stroni od przyjęć? – zagaduje po chwili rozbawiony Piotr, zrównując ze mną swojego konia. Zadziwiająco szybko mnie dogonił.
- Po raz pierwszy widzę Cię u boku Twoich rodziców. – dodaje, co zabrzmiało jak przytyk w moją stronę. Ostatnio faktycznie nie poszłam na proszony obiad, bo rozciąłam nogę spadając z jabłoni. Wcześniej mama zawsze uznawała, że będę się wyłącznie nudzić, więc było lepiej, gdy zostawałam z babcią w domu. Ale może oni się mnie wstydzili?
- Cóż, prawdopodobnie rodzice uznali, że jestem zbyt dzika, by mnie jeszcze na takowe zabierać – stwierdzam z udawanym szaleństwem w oczach i ruszam galopem. Mam nadzieję, że da mi spokój i pojedzie w inną stronę, ale ewidentnie poczuwa się do konieczności dotrzymywania mi towarzystwa, za wszelką cenę.
- Przepraszam, moją intencją nie było wywołać u Ciebie zdenerwowania. Raczej chciałem przez to powiedzieć, że żałuję, że nie poznałem Cię wcześniej – słyszę za sobą zdenerwowany głos Piotra. Zwalniam tempo, na koniu. Bo słownie zamierzam popłynąć w dal.
- Wcześniej? A teraz jest za późno? – Genialna odpowiedź.
- Nie Em, tak się mówi z grzeczności, o którą zaczynam przestawać Cię podejrzewać. – Osz Ty orzeszku. Zatrzymałam Laurę, odwróciłam ją frontalnie do jego Fiony i patrząc mu prosto w oczy, co wymagało wykrzywienia mojego karku w kosmos, rzekłam oficjalnym tonem:
- Jestem Ci niezmiernie wdzięczna za wstawienie się ze mną u matki. Niemniej jednak nie będę ukrywać, że przebywanie w Twoim towarzystwie nie należy do sfery moich zainteresowań. A zatem będę bardzo ukontentowana, jeśli zechcesz pojechać na swoim wierzchowcu w przeciwnym kierunku niż ja. – To mówiąc, ruszam w stronę przyjęcia, nie oglądając się za

siebie. Czułam zażenowanie ze swojej postawy i zrobiło mi się krótko mówiąc wstyd. Ale od takich chłopców, przy których ledwo oddycham, a moje cięte riposty są ostre jak płatek śniegu, zamierzam trzymać się z daleka.

Wracam na teren przyjęcia, sądząc, że najgorsze już za mną (i faktycznie jechał nadal za mną!), gdy jakieś dziecko przebija balonik. Owszem lekko drgnęłam. Niestety moja klacz postanawia, że jest to odpowiedni moment na stanięcie dęba. Rozproszona we własnych myślach, kompletnie tracę czujność, co zaowocowało tym, że ląduję w największym błocie. I tak oto skończyła się moja historia o białej sukience. Na ratunek, oczywiście, ruszył niejaki Piotr. Zeskakuje z Fionki i wyciąga mnie z bagna. Dosłownie. A później pyta przecierając mi chusteczką twarz:

- Nic Ci się nie stało?

Patrzę na niego z widocznym przerażeniem. Nie mam siły odpowiadać, więc zaczynam płakać. Tak już mam, kiedy coś mnie w końcu przerasta. Pochylam się, żeby nikt nie widział mojej twarzy i malującego się na niej wstydu. Słyszę jak mama z daleka krzyczy moje imię. Piotr bierze mnie na ręce i niesie w jej stronę. Potem gdzieś mnie kładzie na jakiejś sofie, tata znalazł lekarza wśród gości. Po krótkim badaniu słyszę, jak mówi, że skończy się na kilku siniakach i że mam szczęście, bo obok błota była sterta kamieni. A potem udręczona mama wraca ze mną do domu. Dobrze, że babcia już spała.

Na drugi dzień odwiedza nas Pan Tadeusz z synem Piotrem. Wizytę odbywają niby w ramach rekonesansu, czy ze mną wszystko dobrze. Mam ochotę wyjść do nich do holu i powiedzieć, że to nie ze mną jest wszystko nie tak! Ale leżę w salonie obolała. Tata zaprasza ich na herbatę na werandzie, z której Piotr bardzo szybko się wykręca i zanim zdążyłam szczelnie okryć się kocem, staje w drzwiach.

- Dzień dobry, Em. – A ja w tym czasie myślę, że zaraz padnie pytanie typu „jak się miewasz niewiasto?” – Mam nadzieję, że nie czujesz się tak źle, jak wyglądasz. – Czuję miłe zaskoczenie jego przejawem szczerości i lekkie ukłucie, że według niego nie wyglądam najgorzej.

- Szczerze, to marzę o proszkach przeciwbólowych. Ale mama twierdzi, że nie jest tak źle i mi nic nie poda, bo tabletki mają negatywny wpływ na żołądek i śledzionę. Ble ble ble. – Uśmiecham się przez zaciśnięte zęby, aby podkreślić moją niezgodę z tym stwierdzeniem i widzę błysk w oku chłopca.

- Zaraz wracam. – I wyszedł. Jeśli przyniesie mi to co myślę, przysięgam, że będę dla niego odrobinę miłsza.

Faktycznie szybko wraca, dwie minuty go nie było. Wszedł do pokoju jak bohater, z dumą niosąc szklankę wody i pastylkę. – Bardzo proszę. Tylko nie mów nikomu, bo mógłbym mieć spore kłopoty. – Biorę od niego pośpiesznie środek przeciwbólowy i szybko przełykam.

- Dziękuję, jestem Twoją dłużniczką - mówię, zanim pomyślę!

- To może w ramach spłaty długu, postarasz się być dla mnie miłsza? Nie jestem Twoim wrogiem, Em, a w dodatku w najbliższym czasie będziemy się często widywać. – Na tę

informację robię wielkie oczy. – Nasi ojcowie zostali współnikami i czeka ich sporo ustaleń, a jednocześnie nie chcą tracić czasu z rodziną na pracę podczas weekendów. Zostało mi już zapowiedziane, że będziemy spotykać się na licznych obiadach, tak by później mogli chwilę poświęcić na przedyskutowanie najpilniejszych spraw.

- Dobrze, spróbuję, to zmienia układ sił – podsumowuję.

- Nie bardzo rozumiem – odpowiada Piotrek.

- Nieważne. Będę najłagodniejszą wersją siebie, obiecuję. – Na szczęście nie kontynuowaliśmy tego tematu. Jak mam go trzymać z daleka od siebie, jak Pan Tadeusz będzie z nim często przyjeżdżać?! Można kogoś obrazić, ten ktoś jest obrażony i przestaje z Tobą spędzać czas. Nie da się mieć obrażonego osobnika obok siebie, co tydzień przy jedzeniu! To zbyt ciężka atmosfera, żeby to wytrzymać. I co ja mam teraz zrobić?

Z rozważań wyciągnął mnie odgłos mamowych kroków na korytarzu. Piotr usiadł w fotelu i puścił do mnie swoje piękne, czarne oko. Świetnie, wpakowałam się w niezły bigos.

- O, tu jesteście. – Jakbym ja miała jakieś wyjście, żeby być gdzie indziej?! Myślę. – Zaraz będzie obiad. Może zechciałbyś potowarzyszyć Emilce, to przyniosę Wam zupę tutaj? Wasi ojcowie już zatonęli w tematach biznesowych, więc nawet nie zauważą, że Was z nami nie ma. – I dodaje konspiracyjnym tonem. - Babcia też już się ewakuowała.

- Oczywiście proszę Pani, z przyjemnością dotrzymam towarzystwa Pani córce. – Tak, myślę, po prostu wspaniale. Teraz będzie patrzeć, jak jem i na pewno coś na siebie rozleję. Mama klaszcze w dłonie przywracając mnie do pionu i wychodzi do kuchni.

- Moja mama zawsze mówiła, że zupa najszybciej stawia na nogi – stwierdza Piotrek ze smutkiem w głosie. Jestem dość wyczulona na emocje innych, więc już przy pierwszym spotkaniu domyśliłam się, że jego mama nie żyje.

- Na pewno bardzo Wam jej brakuje, przykro mi Piotrze – odpowiadam najłagodniej jak potrafię. Widzę, jak zaciska szczęki i lekko pochyla głowę. Ale oddycha miarowo. Przyglądam się jego postawie, siedzi tak jakby był cały czas gotowy do skoku. Ale nie jest to nerwowe napięcie, jak wtedy, gdy chce się już opuścić towarzystwo. A już na pewno nie takie, jakby chciał się rzucić na mnie. Raczej przejaw życiowej ostrożności. – Muszę Cię ostrzec. – Widzę, że odzyskuję jego ciekawość i uwagę. – Mama zaraz poda pomidorową. Jest pyszna, ale kluski są zawsze rozgotowane. Babci za każdym razem wydają się być za twarde, więc długo je gotuje. Końcowo konsystencją bardziej przypominają zsiadłe mleko. Jednak nie mówimy jej nic na ten temat, w obawie o swoje zęby. Babcia jest wyjątkowo pamiętliwa i następnym razem podałaby kluski twarde jak kamień. Wierz mi.

- Wierzę i nie mogę się doczekać, kiedy ją bliżej poznam. W końcu po kimś musisz mieć ten piekielny charakterek. – Na te słowa tylko otwieram usta, bo wchodzi mama z posiłkiem i muszę je niechętnie z hukiem zamknąć.

- Wszystko w porządku, dzieci? O widzę, że odzyskałaś kolory! A teraz jedzcie, póki ciepłe. - I nie czekając na odpowiedź stawia wazę i dwa talerze, a następnie wychodzi.

- Ja się staram być dla Ciebie miła, a Ty mnie sam prowokujesz – pouczam go z udawanym smutkiem w głosie.

- Tylko się z Tobą drocę, Em – odpowiada rozbawiony.

- Czyli droczenie wchodzi w grę? – Jest szansa, że nie będzie tak, źle jak myślałam!

- Powiedzmy sobie szczerze, wybuchłabyś od środka starając się zachowywać wobec mnie „stosownie”. Prawda? – Znów zaczyna mnie wkurzać.

- Tak, jest taka szansa. Nawet spora. Smacznego – odpowiadam i rzucam się na zupę. Strasznie zgłodniałam. Słyszę, że Piotrek się zaśmiał, ale nie podnoszę nawet wzroku, bo muszę coś zjeść. Nie dokańczam zupy, a już mama podaje drugie danie, mówiąc:

- Musicie szybko zjeść. – A potem zwraca się do niego. - Twój tata dostał telefon od brata z Londynu, który jak się okazało, właśnie wylądował na lotnisku i zapomniał powiedzieć, że zamierza Was odwiedzić. Dzisiaj.

Zanurzamy się więc grzecznie w bezsłowne spożywanie posiłku, tym razem mniej kulturalnie. Słyszę jak Piotrek raz siorbnął wciągając makaron, co bardzo mnie rozczyliło. Potem wszyscy się pośpiesznie ze sobą żegnają i panowie pognali po wujka.

- Jak tam córcia? – pyta tata. Pewnie ma na myśl stan mojego zdrowia. A ja mam ochotę mu opowiedzieć, o czym dzisiaj będę marzyć zanim zasnę. Niezbyt mądrze!

- Dobrze – odpowiadam niepewnie po chwili refleksji. Wiem, że mu zależy na tych spotkaniach. Muszę go jakoś uspokoić, że z Piotrkiem też będziemy potrafić zachowywać się jak należy. Odpowiadam więc z przekonaniem w głosie:

– Dzień, dwa i przestanie boleć. A co do wizyty Twoich gości, to przyjemnie spędziłam dzisiejsze popołudnie. – Na moje słowa wzdycha jakby zrzucił z siebie 50 kg.

- Bardzo się cieszę. Mam nadzieję, że się zakolegujecie, bo będziecie się często widywać. – Naprawdę teraz mi to mówisz? Mam ochotę odburknąć, ale w porę gryzę się w język.

- Myślę, że nie musisz się o to martwić. Piotr w przeciwieństwie do mnie jest bardzo spokojny i wyjątkowo kulturalny. A to zmusza mnie, żeby do następnego spotkania odnaleźć na strychu scrabble. – Tata się uśmiecha.

- Tak, ewidentnie wracasz do formy – podsumowuje tata. Całuje mnie w czoło i idzie do gabinetu. Odwracam się zadowolona, z miłą myślą, że mama jest w kuchni, tata zajęty, więc teraz pokuśtykam na werandę wygrzać obolałe ciało na słońcu. Ale nie, w progu stoi babcia z przerażającym, podejrzliwym uśmiechem i tym swoim starym paluchem, który przywołuje mnie do siebie bez słowa. Tej nie da się za nic oszukać. Spuszczam więc głowę i idę grzecznie do salonu. Siadam na sofie, oczekując na standardowe słowo.

- Opowiadaj – mówi. A potem już tylko słucha. Bo tak to jest z babciami, wystarczy, że spojrzą, a człowiek otwiera im wszystkie drzwi.

W szkole podstawowej nigdy nie miałam problemów z nauką. Raczej byłam z tych, co bez większego starania przechodzą dalej. Co do przyjaźni i głębszych emocji, to raczej starałam się trzymać z boku. Miałam kilka osób bliższych, z którymi często rozmawiałam, ale bez żadnych wielkich dram i większego zaangażowania. Ani nie byłam popularna, ani dręczona. Nigdy nie chciałam zaistnieć na forum klasy, czy tym bardziej szkoły. Siedziałam w środkowym rzędzie, w środkowej ławce. I mimo centralnego położenia, wszystko działo się na około mnie, ale mnie nie dotyczyło. Lubiłam obserwować moich kolegów. Wiezorami wyobrażałam sobie, jak to jest być na ich miejscu. Tworzyłam historie o ich życiu, obmyślając różne zakończenia. Później z przyjemnością odkrywałam, że część z mojej wymyślonej przyszłości, naprawdę się realizowała. Gdyby ktoś teraz spytał, któregoś z uczniów lub moich nauczycieli – czy pamięta Emilę z 8a, to jestem przekonana, że nie bardzo.

Kolejne miesiące minęły za szybko. Zbliżają się egzaminy końcowe. Koledzy i koleżanki są pochłonięci nauką i wyborem szkoły. Ja mam jasną ścieżkę. Prywatne liceum w centrum miasta. Czekają mnie codzienne, długie dojazdy pociągiem do miejsca mojej dalszej edukacji. Nie przeraża mnie ta perspektywa, lubię czytać, więc zyskam więcej czasu na tę rozrywkę. Podoba mi się perspektywa, że poznam nowych ludzi, bez ciągnięcia za sobą starych znajomości. Jest w tym coś ożywczego. Tak jakby aktor po latach grania tej samej roli, nagle dostał możliwość uczestnictwa w nowej sztuce teatralnej.

Z Piotrkim widzimy się regularnie. Tym razem pod czujnym okiem rodziców, sztywno siedząc przy stole. Niewiele jest miejsca na bliższe poznanie czy przekomarzanie, czego brak niewątpliwie odczuwam. Dopiero po moich egzaminach okazuje się, że był to celowy zabieg ze strony rodziców, abym skupiła się wyłącznie na nauce.

- Teraz, kiedy zdałaś śpiewająco – mówi mama tak, jakby w to naprawdę wątpiła – to myślę, że mogłabyś umówić się z Piotrem? W sensie na przykład, zaprosić go na wspólną jazdę konną? – dodaje pospiesznie.

- Och mamo, to byłoby przecież źle widziane, gdybym to ja pierwsza wyszła z taką inicjatywą, prawda? – odpowiadam wydymając usta w grymasie. Lubię takie rozgrywki. I myśląc, że temat został właśnie zamknięty, wracam do czytania lektury. Parę minut później dzwoni mój telefon. Imię Piotr wyświetla się agresywnie na ekranie.

- Cześć – mówię brzmiąc na zażenowaną, tym co zapewne zrobiła mama.

- Dzień dobry, Em. Pewnie wiesz w jakiej sprawie dzwonię? – odpowiada rozbawiony Piotrek, a mnie ściska w brzuchu z nerwów. Nie, chyba jednak wolę jak nie mówi prawdy, w tak oczywisty sposób.

- Tak, wyobrażam sobie. Zdążyłam już odtrąbić swój triumf, ale jak widać nie doceniłam przeciwnika – odpowiadam szczerze, żeby nie miał żadnych wątpliwości, że mam z tym coś wspólnego.

- Twoja mama potrafi być bardzo przekonująca i ciężko jej odmówić. Masz czas jutro po szkole? – Widzę, że chce mieć to z głowy jak najszybciej. Ma rację, nie ma co przeciągać.

- Jasne – stwierdzam.

- To rezerwuję jazdę na 16. Do zobaczenia na miejscu. – I się rozłącza zanim zdążę odpowiedzieć. Milusio. Wpadam do kuchni jak burza, przyglądam sukienkę, prostuję się i cedzę:

- Naprawdę musiałaś? – Swoje pytanie kieruję do matki.

- Rozwiązałam tylko Twój problem, Emilko. Brzmiałaś jakbyś chciała się z nim spotkać, a ja wyłącznie utwierdziłam go w przekonaniu, że gdyby chciał Cię gdzieś zaprosić, no nie wiem np. do stadniny, to jesteś dostępna czasowo. – odpowiada wyraźnie z siebie zadowolona. Na tą sytuację nadziewa się tata, który właśnie wrócił z pracy i unosi pytająco brew. Mama kontynuuje wywód:

- Emilka zamierza spotkać się z Piotrem na padoku. – Co brzmi, jakby to był mój pomysł. Tata uśmiecha się, mruga do mnie okiem i ściska mamę na przywitanie. W takich chwilach jestem im w stanie wszystko wybaczyć, tak bardzo cieszę się z ich szczęścia.

- Coś tu pięknie pachnie. Jestem głodny jak wilk. – I udając, że podgryza mamę, zagląda do garnków. Zazdroszczę im tego, że mają siebie. Może i jestem młoda, ale ciągle czuję się samotna. A przede wszystkim czuję, że tu kompletnie nie pasuję. Jakby wszyscy byli na imprezie, na którą nie dostałam zaproszenia. Jakby mijali mnie kolejni rozradowani goście, a ja idę w przeciwnym kierunku. Sukienka brudna i rozdarta, prześlizguje się po nogach przy każdym kroku, a chrzęst obcasów o bruk dudni mi w uszach. I towarzyszy temu odczucie puchnięcia od środka, od powstrzymywanych łez. Muszę stłumić te dziwnie zalewające mnie emocje, zanim eksplodują w kuchni. Wychodzę szybko na werandę i puszczam się biegiem w stronę sadu. Czuję na sobie wzrok babci, gdzieś tu jest, ale nie mam czasu się rozglądać. Biegnę dalej, aż stoję na skraju naszej posiadłości. I biorę największy jaki potrafię oddech, a potem zginam się i krzyczę z całych sił w zmiętą w rękach sukienkę, żeby przytłumić dźwięk. Rozlewa się po mnie mój smutek, jak rzeka na uskoku. Wiem, że muszę dać sobie utonąć. Tylko tak jestem w stanie się na jakiś czas uspokoić.

Nagle orientuje się, że siedzę w objęciach babci. Straciłam rachubę czasu. Niewiele pamiętam. Musiało mnie odciąć. Babcia jak zawsze obiecuje, że nie powie rodzicom. Kiedy wróciły mi kolory na twarzy, a sukienka wyschła od łez, ruszam do domu. Bez słowa biorę od babci kosz truskawek. Użyję ich jako wymówki, gdzie byłam tyle czasu. Najchętniej pobiegłabym od razu do swojego pokoju, ale czeka mnie jeszcze wspólna kolacja. Jestem zmęczona. Babcia chwyta mnie mocno za nadgarstek, dodając otuchy i rusza przodem. Nigdy mnie nie oceniała. Nie mam pojęcia co zrobię, kiedy jej zabraknie. Czuję, jak znowu mi się zbiera od tych myśli na płacz, ale udaje mi się opanować. Biorę wdech, odchrząkuję i idę spełniać oczekiwania rodziców.

Zasypiam szybko po kolacji. Nie mam już sił na żadną analizę. Budzę się rano z ostrym bólem głowy. Schodzę na dół i robię sobie ciepłe mleko truskawkowe, które zawsze mi pomagało. Mama pakuje mi kanapki do szkoły, całuje i życzy udanego dnia. Dobrze wiem, co ma na myśli.

Ledwo skupiam się na lekcjach. Ktoś coś do mnie mówi podekscytowany, ale nie rozumiem, o co chodzi. Nastął czerwiec, więc wszyscy są szczęśliwi i spięci. Coś się kończy,

coś zaczyna. Dużo smutku i radości równocześnie. Wybiła 15, a serce podskakuje mi na dźwięk dzwonka. Nie jestem na to gotowa. Tłum rówieśników wypływa na korytarz, a później z okrzykami ze szkoły. Jak potok lawy, wciąż nienasycony pochłaniający wszystko co ma na swojej drodze. Patrzę na swoje ręce. Dłonie nadal mi drżą bezwiednie.

- Dobrze się czujesz, dziecko? – słyszę zaniepokojony głos woźnego. Kiwam głową z wymuszonym uśmiechem i znikam za wyjściowymi drzwiami.

- Hej, Em! Idziesz z nami na lody? – pytał Karolina, stojąc na schodach w większej grupce.

- Nie, dzisiaj nie dam rady. – Już mam dodać, że się umówiłam, ale w porę gryzę się mocno w język. Czuję smak krwi. To mnie otrzeźwia. – Mam umówioną jazdę. Może następnym razem. Pa! – I idę w stronę przystanku autobusowego.

Do stajni docieram dwadzieścia minut przed czasem. Piotrek już jest, przebrany i zabiera się do czyszczenia swojego rumaka. Na mój widok uśmiecha się i macha. Odwzajemniam gest i skręcam do przebieralni. Dobrze, że nie są koedukacyjne, myślę. Wyciągam swoje ubranie z szafki i ruszam ubrać się do łazienki. Gotowa, kieruję się po siodło i ogłowie. Wchodzę do kantorku i stoję zdziwiona przed pustym wieszakiem.

- Już przygotowałem Twojego konia do jazdy, żebyś nie musiała się teraz spieszyć – niespodziewanie słyszę zza siebie głos Piotra. Podskakuję w powietrze łapiąc się za serce, bo nie sądziłam, że tak cicho do mnie podejdzie. – Kto by pomyślał, że jesteś się w stanie czegoś przestraszyć! – mówi rozbawiony. Zwęzłam oczy w szparki.

- Dziękuję za ogarnięcie Szajki. A lękam się tylko rzeczy nieprzewidywalnych i nagłych. – dodaje.

- Nie da się wszystkiego przewidzieć, Em. Na tym polega urok życia – mówi, jakby odkrył Amerykę.

- Lepiej już chodźmy, nie lubię się spóźniać. – Postanawiam zakończyć tę dyskusję, która zmierzała donikąd. A on nic nie odpowiada.

Wyprowadzamy ubrane klacze na padok. Trenerka wyraża zgodę na spacer w stronę jeziora. A później dodaje, że będzie nas mieć na oku, bo sama niestety nie może nam dzisiaj potowarzyszyć. Ponoć ma umówioną lonżę, ale jak twierdzi „na pewno świetnie sobie poradzimy bez niej”. To dodaje z szerokim uśmiechem, a ja czuję, jakby ktoś mnie kopnął w brzuch. Świetnie.

Na początku jedziemy obok siebie w denerwującej ciszy. Bo są jej różne oblicza. To jest najgorsze. Takie dławiące nic. Usilnie myślę o czym mogę z nim porozmawiać. I mam kompletną pustkę w głowie.

- Wyglądasz jakbyś miała zaraz zemdleć. Wszystko w porządku, Em? – pyta Piotrek. - Trudny dzień w szkole? – dodaje na zachętę, jakby mi właśnie podawał linę, której mogę się uczepić, jeśli zechcę.

- Nie. Czasem czuję taką dziwną nostalgię, która napada mnie nie wiadomo skąd i czemu. – odpowiadam szczerze, sama się sobie dziwiąc. Rzucam spojrzenie w bok. Piotrek wyraźnie pochmurnieje. Wzdycham, jakbym próbowała pozbyć się części balastu.

- Myślę, że wszyscy czasem się tak czują. Ważne, żeby z tego wrażenia potrafić się wyrwać – mówi w końcu. – Choć, ścigajmy się do tamtego zakrętu. Musisz przewietrzyć głowę. – To mówiąc, ściąga wodze, przygotowując się do galopu. Potakuję głową i zaczynamy wyścig. Pędzimy, wzbijając tony pyłu. Jeśli trenerka faktycznie nas obserwuje, to z daleka musimy wyglądać jak oddalające się tornado. Od razu czuję przypływ adrenaliny i radości. Wiatr na twarzy, piasek w oczach, przyspieszone tętno. Podniecenie Szajki wpływa na mnie korzystnie. Jakby świat w kolorach sepii przechodził w ostre odcienie. Oczywiście, że chcę wygrać, inaczej nie potrafię. Choćbym miała cwałować do tego zakrętu. Myślę, że Piotrek o tym wie, bo nieznacznie zwalnia. Ja niestety nie umiem odpuszczać. Pewnie przyzwyczył się do dziewczyn, które mają bardziej poukładane w głowie. To musiało go zaskoczyć. U mnie nie pojawiają się myśli typu: gdyby teraz koń się spłoszył czy potknął, to bym umarła na miejscu. U mnie w głowie jest tylko cel, który muszę osiągnąć, za wszelką cenę.

Oczywiście zdyszana pierwsza dopadam do zakrętu. Przechodzę w kłus, a później do stępa. Nie umiem się jednak cieszyć z wygranej.

- Sądziłem, że zobaczę satysfakcję na Twojej twarzy –mówi wyraźnie zawiedziony moim porywczym zachowaniem.

- Nigdy nie cieszę się z wygranej, którą ktoś mi łaskawie zafundował – odpowiadam prychając.

- Staralem się tylko, żebyś się w porę opanowała, dla własnego bezpieczeństwa. Są granice, których nie należy przekraczać, Em i żadne emocje nie powinny Ci na to pozwolić. – Cios za ciosem. Pan rozważna mądrała zaczyna mnie wkurzać. Rozumiem, że jest starszy o rok, ale traktuje mnie jak dziecko. Zbiera mi się na łzy. Bardzo dorośle. Nie życzę sobie tego. Już ja mu dam popalić - obiecuję sobie w duchu i przystępuję do ataku.

- Następnym razem, jak zaproponujesz dziewczynie zawody, to odpowiedz sobie najpierw na pytanie, czy potrafisz potraktować ją jak równą sobie? Czy też z góry zakładasz jaki będzie wynik? A teraz, z całym szacunkiem, pocałuj mnie w tyłek. – Widzę po nim, że tego się nie spodziewał. Od razu mi lepiej. W sumie to miał rację, że te wyścigi do zakrętu mi pomogą! Z radością kieruję się w stronę stajni, bo już mam dość jazdy na dzisiaj. Jak nie urok to sraczka, ale też jak nie sraczka, to urok. Dzisiejszy dzień sponsorowało porządne czyszczenie.

Wpadam do stajni, omijając szerokim łukiem trenerkę. Szybko czyszczę Szajkę, przebieram się i wychodzę. Na parkingu stoją nasi ojcowie. Cudownie. Tata zawsze po mnie przyjeżdża, tym razem wołałabym wrócić autobusem, sama. Za sobą słyszę stanowcze kroki, zapewne Piotra. Nie obracam się, tego mi jeszcze brakuje, żeby teraz urządzić tu dalszy ciąg wymiany ciosów. Odnajduję wymuszony uśmiech, który szczelnie przyklejam do twarzy i mówię do taty:

- Dzień dobry, możemy już jechać?

- Zabieramy Was na pizzę, musimy jeszcze dokończyć rozmowę z Tadeuszem. Zresztą na pewno jesteście głodni – stwierdza tata i obraca się do samochodu. Pięknie, nawet nie mam, jak zaprotestować. Wsiadam zdenerwowana i odwracam głowę do okna. Na szczęście jest tak pochłonięty rozmyślaniami o pracy, że kompletnie mnie nie zauważa. Jak zawsze.

Dojeżdżamy do ulubionej włoskiej restauracji mojej mamy. Szkoda, że jej tu z nami nie ma. Miałabym do kogo się odezwać. Siadamy przy stoliku na patio. Piotrek lustruje kartę jakby chciał ją spalić wzrokiem. Dobrze, że patrzy na nią. Jego tata przygląda mu się przez chwilę w zamyśleniu, ale nic nie mówi. Później patrzy mi prosto w oczy, a ja czuję jak osuwam się na krześle, głośno przełykając ślinę. Uśmiecha się do mnie, jakbym dała mu prezent. Dziwne. Mrugam zaskoczona i zagłębiam się w lekturę pt. menu. Wszystko wydaje mi się niejadalne. Podchodzi kelner i zbiera zamówienia. Tata bierze carpaccio z wołowiny, a Pan Tadeusz bruschettę. Czyli wcale nie są głodni. Piotrek patrzy na mnie wyczekująco. A ja mam w głowie totalną pustkę.

- Dla nas będzie duża Diavola – mówi i nie spuszcza ze mnie wzroku. Niżej już nie umiem osunąć się na krześle i tylko potakuję głową. Kelner odchodzi, a ojcowie przepadają w rozmowie o finansach. Jak to jest, że gdy jestem na kogoś zła, to wydaje mi się, że mam stuprocentową rację i jestem gotowa kogoś rozdeptać, a po chwili wraca jakby inny stan umysłu i zaczyna mi być wyłącznie wstyd. No, ale przecież go teraz nie przeproszę! Nie ma opcji. Przygryzam wargę ze złości. Ktoś kopie mnie pod stołem. Podnoszę wzrok na Piotrkę, a ten lekko rusza głową na boki, jakby chciał mnie powstrzymać od narastającego zdenerwowania. Ma takie smutne oczy. Może jest znacznie mądrzejszy niż zakładałam. Niepokojące odkrycie sprawia, że czuję znów nadchodzącą panikę wynikającą ze wstydu, spowodowanego moim dzisiejszym zachowaniem. Wstaję gwałtownie od stołu.

- Przepraszam na chwilę, zaraz wracam. – Mówię dając do zrozumienia, że muszę skorzystać z toalety. Wychodzę pewnym krokiem do holu, ale zamiast skręcić do pomieszczeń sanitarnych, udaję się przed budynek. Skręcam za mur i opieram się o zimny tynk budynku, zamykając przy tym szczelnie oczy. Mam ochotę uderzyć głową w ścianę albo osunąć się na ziemię, jednak się powstrzymuję. Wyrównuję oddech, rozprostowuję palce rąk i ocieram łzy. Pociągam nosem i podnoszę powieki, gotowa stawić czoła, temu co naważyłam. Dorastanie bywa trudne, myślę. Ruszam dziarskim krokiem z powrotem do stolika. Ku mojej uciechu, kelner właśnie przyniósł dania. Liczę, że teraz każdy zajmie się swoim talerzem, szczególnie ta osoba, siedząca po mojej prawej stronie.

Pizza była naprawdę ostra. Muszę domówić karafkę wody. Piotrek zjada swoją porcję bez cienia zawahania. Czasem wydaje mi się jakby chłopcy żyli na innej płaszczyźnie, gdzie wibracje emocjonalne są skrócone na minimum. Co niewątpliwie daje im przewagę nad nami już na starcie. Z drugiej strony, nie potrafią w pełni odczuwać zachwyty nad pięknem, które dostrzegamy w małych rzeczach. Te ciekawe rozważania zaprzatają na długo mój umysł. Po skończonym obiedzie, uprzejmie się żegnamy i wsiadamy do swoich samochodów. To był długi dzień. Przyjeżdżamy do domu, a mamy i babci nie ma.

- Tato, gdzie jest mama? – pytam zaniepokojona, bo to się rzadko zdarza.

- Nie chcieliśmy Cię martwić, babcia Klara ma dzisiaj badania. Ostatnio zaczęła się dziwnie zachowywać, postanowiliśmy z mamą zmusić ją do wizyty lekarskiej, co nie było łatwe. Powiedzieliśmy, że badania po 70 roku życia są obowiązkowe – przyznaje szczerze tata, a ja przytakuję ze zrozumieniem. Też czułam, że jest coś z nią nie tak. Mam tylko nadzieję, że to nic poważnego.

Od śmierci dziadka Stefana bardzo się zmieniła. W wieku 64 lat zabił go rak prostaty. Od diagnozy do czasu jak go pochowaliśmy, minęło zaledwie sześć miesięcy. To było 6 lat temu, a babcia z każdym dniem coraz mniej do nas mówiła. Postarzała się na buzi i posiwała w krótki czas. Ostatnio stała się zdecydowanie bardziej roztargniona. Zapominała o wielu rzeczach i łatwo się denerwowała. Albo wychodziła nagle z domu i snuła się godzinami bez celu po sadzie. Myślałam, że tak wygląda proces żałoby, ale zdecydowanie trwało to już zbyt długo. Wyobrażam sobie jak babcia musiała być zła, jak jej córka zakomunikowała umówioną wizytę u lekarza. Też bym była.

Tata również martwił się stanem babci. Był z nią bliżej niż z własnymi rodzicami, którzy podczas jego studiów wyjechali na stałe do Hiszpani. Czasem ich odwiedzaliśmy, ale na co dzień nie istnieli w naszym życiu. Dziadek Henryk jest bardzo podobny do taty, zarówno z wyglądu jak i z charakteru. Obydwoje potrafią rozluźnić atmosferę jednym zdaniem. I w równej mierze kochają swoją pracę. Babcia Jadwiga piecze najlepszy kokosanki na świecie i zawsze ma dla mnie mnóstwo nowych ozdób do wplatania we włosy. Lubię do nich jeździć. Mieszkają na wsi pod miastem, blisko morza. Mają przepiękny ogród i swojego osła - Piccolo. Nikt nie wie, dlaczego, ale dziadek od dziecka kochał osły i zawsze marzył, że będzie mieć swojego. Rodzice nie mają rodzeństwa. I jak na jedynaków przystało, szybko znaleźli nic porozumienia, którego nikt nie odważył się przerwać.

Można powiedzieć, że dorastałam w szanującej się rodzinie, gdzie każdy członek był ważny i wszyscy o siebie nawzajem się troszczyli. Ale czasem nawet uważnemu obserwatorowi, może coś umknąć. A tym czymś, były moje niekontrolowane wybuchy emocjonalne. Nasiliło się to w okresie mojego dojrzewania, więc sądziłam, że samo przejdzie, gdy hormony przestaną tak szaleć. Tak twierdzili w mediach społecznościowych. Nigdy nie wzięłam pod uwagę, że takie zachowanie należałoby poprawnie zdiagnozować. Dziś wiem, że rodzice też tak na moje zachowanie wtedy patrzyli. Bo przecież nic złego w moim życiu się nie wydarzyło. Mielśmy zabezpieczoną przyszłość, mało trosk i brak traumatycznych przeżyć. Czemu więc czuję się jakbym stała na krawędzi, a świat zaraz rozpadnie się pod stopami?

Zamiast położyć się do łóżka, dotrzymuję towarzystwa tacie i w ciszy czekamy na powrót mamy i babci. W końcu słyszę trzaśnięcie drzwiami, potem oddalający się tupot babcinych stóp. A po chwili gardłowy szloch mamy. Nie spodziewając się takiego ataku na swoje serce i oddech, zginam się w pół, podczas gdy tata już pędzi do przedpokoju. Rozpacz i ból najbliższych, jest dla mnie nie do zniesienia. Czuję jakbym się dławiała. Udaje mi się uciec do swojego pokoju. Nie chcę teraz słyszeć płaczu ani wyjaśnień mamy. Powinam iść do babci, ale wiem, że jeśli jest tak źle jak podejrzewam, to nie wpuści mnie do swojego pokoju. Dziś każdy musi cierpieć samotnie. Zasypiam wykończona. Rano wstaję godzinę przed budzikiem.

Mama siedzi w kuchni pochylając się nad herbatą. Kompletnie zrezygnowana. Podnosi na mnie wzrok i wyciąga ręce. Biegnę się przytulić, bo wiem, że jest jej to teraz potrzebne.

- Babcia ma Alzheimera – stwierdza przerywanym szeptem, jakby uczyła się mówić. Niewiele wiem o tej chorobie, ale w ustach mamy brzmi jak wyrok śmierci. Nie mogę stracić babci, nie jestem na to gotowa – myślę egoistycznie. Tulę ją do siebie jeszcze przez chwilę, a później każda z nas odwraca głowę w inną stronę i ociera łzy. Przychodzi tata. Przeprasza, że nie może z nami zostać dziś w domu, ale obiecuje, że wróci wcześniej. Całuje najpierw mamę, później ściska mnie mocniej niż zwykle i wychodzi. Nie chcę iść do szkoły, ale wiem, że mama będzie potrzebować wyciągnąć babcię z jej jaskini, a łatwiej pójdzie, jak mnie nie będzie wtedy w domu. Babcia Klara też należy do tych emocjonalnie wstydliwych.

Jadąc autobusem nerwowo zerkam na telefon. Mam ochotę zerwać się z zajęć i spotkać z Piotrkim. Zaczynam pisać wiadomość, po czym ją kasuję. I tak parę razy. Nagle dzwoni telefon, podskakuję zaskoczona, bo okazuje się, że to on. Rozglądam się po autobusie i odbieram:

- Cześć. – Mówię nieśmiało, kuląc się na fotelu.

- Dzień dobry, właśnie miałem do Ciebie napisać, ale zobaczyłem, że Ty cały czas piszesz. Więc czekam grzecznie od 10 minut aż skończysz. Ale widzę, że coś nic do mnie nie doszło. Co się dzieje? – pyta choć wiem, że pewnie liczy najpierw na przeprosiny. Kompletnie nie nadaję się do takich gestów. Nie chodzi o to, że chcę uciec od problemu, który sama stworzyłam. Po prostu teraz jest to dla mnie mniej ważne.

- Wczoraj po południu zdiagnozowali u babci Alzheimera. Mama chodzi zrozpaczona, tata pojechał do pracy, a ja nie wiem nawet co to znaczy? Zamiast siedzieć i sprawdzać, to jadę do tej cholernej szkoły, próbuję do Ciebie sklecić jedno zdanie i nie jestem w stanie. Boję się wiedzieć czym jest ta choroba, bo dopóki nie wiem to się do końca nie stało, prawda? – Pewnie brzmię bez sensu, ale dokładnie tak czuję.

- Gdzie jesteś? – pyta pospiesznie.

- Niebawem dojadę do przystanku na Czeremchach. – Powinien wiedzieć gdzie to jest, bo to połowa drogi między naszymi domami.

- Byłaś kiedyś na wagarach? – Zaskoczył mnie nagłą zmianą tonu głosu, bo brzmi bardzo wesoło.

- Y, nie – odpowiadam zmieszana.

- Prawie piętnastoletnia dziewczyna, kompletnie bez doświadczenia. Trzeba to natychmiast naprawić. To wysiądź na Czeremchach, zaraz przyjadę – informuje mnie i się rozłącza. Kolejny raz w ten sposób kończy rozmowę, co mnie złości. Zastanawiam się czym przyjedzie. Pewnie też był w drodze do szkoły. Chodzi już do liceum w mieście, więc ma kawał drogi do mnie. Wysiadam na przystanku i idę na ławkę pod drzewem. Jestem tak zmęczona psychicznie, że kładę się na niej, a pod głowę daję plecak. Gdyby nie moje natrętne myśli, to byłoby tu całkiem przyjemnie. Radosny śpiew ptaków, przebijające się przez gałęzie okruchy światła. Nawet nie

wiem, kiedy usypiam. Budzi mnie burczenie koło ucha, które narasta. Najpierw myślę, że to komar, później bąk, a na końcu stado szerszeni. A sio, a sio – myślę sobie, bo nie mam ochoty otwierać jeszcze oczu. Nagle dźwięk cichnie. Całe szczęście, bo nie chce mi się zrywać z ławki.

- Widzę, że medytujesz. Lepiej trochę? – słyszę głos Piotrka i otwieram oczy. Ale go nie widzę, bo stoi pod słońce. Przysłaniam ręką twarz i wzdycham. Oczywiście, nie mogło być gorzej. Ściąga kask i zawiesza go na emiterze dziwnego dźwięku sprzed chwili. Na pięknym czarnym motorze marki Yamaha. No cóż, prawie jak szerszeń. Nie do końca wiem, czy bardziej podziwiam pojazd czy właściciela? Siadam szybko, poprawiam wymiętą bluzkę, później przechodzę do zmierzwionych włosów. Świetnie, pewnie wyglądam jak lump. W dodatku ziewający.

- Spałaś? – pyta zdziwiony.

- Tak, chyba nareszcie tak – mówię, lekko oszołomiona wszystkim na raz. Widzę, jak unosi zdziwione brwi.

- Musisz być naprawdę wykończona. Dzisiaj nie idę do szkoły, więc się nigdzie nie spieszę. Choć, zabiorę Cię w miejsce, gdzie możemy spokojnie porozmawiać, zanim przyjedzie kolejny autobus z tłumem dzieciaków. Chyba, że zmieniłaś zdanie? – pyta z wyraźną niepewnością w głosie. Uśmiecham się do niego przyjaźnie.

- A masz drugi kask? – pytam z przekorą, jakby od tego zależało czy z nim pojadę. Jasne, że z nim pojadę niezależnie czy ma ten kask czy nie.

- Nie, masz mój. To niedaleko stąd i pojedziemy tamtą łąką – mówiąc to wręcza mi nakrycie głowy, wskakuje na motor, zostawiając mi miejsce z tyłu. Wsiadam na motocykl i obejmuję go w pasie. I dopiero wtedy stwierdzam, że kompletnie tego nie przemyślałam. Czuję jak nagle odpływa mi cała krew. Nie mam pojęcia, dokąd się udała, ale tu jej nie ma. Dobrze, że droga faktycznie była krótka, bo z czasem po prostu odpadłabym od jego pleców groteskowo mdlejąc. To byłby w zasadzie fantastyczny, żenujący finał taki totalnie w moim stylu.

Dojeżdżamy na skraj lasu, położonego na niewielkim wzniesieniu. Jednak widok, który widzę przywrócił moje czynności życiowe do normy.

- Skąd znasz to miejsce? – pytam zauroczona rozpościerającym się pejzażem. Nawet nie patrzę w stronę Piotrka.

- Rodzice kupili tę ziemię jak byłem mały. Chcieli zbudować tutaj dom, ale później mama... – Nie dokańcza, a ja chwytam go za rękę dodając otuchy. – Kiedy zachorowała, było łatwiej mieszkać blisko miasta i lekarzy. – Jego dotyk mnie parzy, więc cofam powoli rękę i mówię:

- Rozumiem, że często tu przyjeżdżałaś po jej śmierci? – staram się mówić najłagodniej jak potrafię.

- Tak, ale dawno już tu nie byłem. Ciężko jest zacząć żyć po stracie tak bliskiej osoby, ale z czasem Em, każdy ból jest coraz bardziej przytłumiony, nawet jak nie chcemy, żeby zelżał – odpowiada patrząc mi prosto w oczy, a potem siada na prowizorycznej ławce ułożonej z

konarów. Zajmuję miejsce obok niego. Tym razem cisza między nami jest przetykana smutkiem i tęsknotą. Po jakimś czasie wyjmuję wodę i kanapki. Częstuję Piotrką.

- Twoja mama robi smakowite kanapki. – Chwali, z lubością degustując.

- Już od dawna śniadania robię sobie sama. – Prycham zirytowana, jak mógł podejrzewać, że mama mi jeszcze robi jedzenie do szkoły, jak małej dziewczynce! No cóż, może czasem robi. Ale rzadko.

- Twoja emocjonalność Em, bywa naprawdę trudna. Szczególnie jej nagłe, niespodziewane zmiany. Jakbyś międzygalaktycznie ładowała baterie do pożarcia drugiej osoby, a później wykończona zdychała pod płotem. – Rozbawiła mnie jego trafna uwaga, więc śmieję się na głos.

- Tak, mnie też to męczy – przyznaję po chwili zgaszona. Ewidentnie wyglądał na zaskoczonego.

- Chcesz porozmawiać o chorobie babci? Jadąc do Ciebie włączyłem sobie podcast na ten temat – mówi poważnie.

- Nie chcę. Wolę biegać po tej łące jak szalona owca, jechać na jednym kole na motorze albo skoczyć na bungee – odpowiadam szczerze. – Ale wiem, że im dłużej to odkładam, to ze mną jest gorzej. Zreferuj proszę najkrócej jak potrafisz. – Piotrek kiwa głową ze zrozumieniem, patrzy na dłonie i zaczyna mówić. Już po pierwszym zdaniu wiem, że nie jest źle, jest bardzo źle. Wychodzi na to, że babcia powoli zbliża się do zaawansowanego stadium choroby, a długość życia w tym stanie kurczy się do roku, może dwóch. Gdzieś we mnie tli się myśl, że już wczoraj wiedziałam to wszystko bez słów, z jednego wyrwanego szlochu mamy.

- Dziękuję – mówię zaciskając mocno powieki. – Czy możesz odwieźć mnie do domu, proszę?

- Oczywiście. Wiem, że mogły to nie być Twoje wymarzone, pierwsze wagary – mówi Piotrek, próbując zmienić katastroficzny nastrój obecnej sytuacji.

- Szczerze, dziękuję, że tu jesteś. Bardzo doceniam Twoje starania. I przepraszam, za moje wczorajsze zachowanie. Byłam bardzo zła na siebie za utratę kontroli na koniu i wyładowałam się na Tobie. – Znalazłam w sobie odwagę, by to w końcu z siebie wydusić. Musi mnie mieć za kompletną wariatkę.

- No cóż, może nie jest nam dane jeździć razem konno, bo wyzwała to w Tobie dzikiego kota. Za to mój motor ewidentnie Cię uspokaja. – To mówiąc wskakuje na Yamahę. Gdyby wiedział, jak czułam się jadąc z tyłu, to szybko zmieniłby zdanie na ten temat. Dobrze, że ludzie nie potrafią czytać w myślach. Oczywiście rumienię się na samo wspomnienie, co zostało przez niego dostrzeżone, ale pozostawił to bez komentarza. Wkładam kask i siadam za nim. Ruszamy powoli w dół po łące, a raczej jego przyszłej posiadłości, bo gdzieś podskórnie czuję, że przyjdzie kiedyś czas w jego życiu, kiedy zbuduje tutaj dom.

Poprosiłam go, żeby zatrzymał się na przystanku. Nie chcę teraz dostarczać mamie kolejnych zmartwień. Zadawałaby pytania, na które nie mam ochoty odpowiadać. Bez

zbędnego pożegnania, jakbym szła gdzieś na chwilę, oddaję mu kask i ruszam do domu autobusem, który właśnie podjeżdża.

Po przyjeździe, mama nawet nie zauważa, że jestem wcześniej niż zwykle. W pełnym zamyśleniu, machinalnie podaje mi obiad i wychodzi do sadu na spacer. Zjadam szybko, bo wiem, że później już nic nie przełknę po spotkaniu z babcią. Oddycham chwilę głęboko i ruszam do natarcia na jej pokój. Zanim zdążę wejść z dobrze mi znanym impetem, drzwi otwierają się zamasyżcie. A raczej to babcia prawie wyrwa je z futryny.

- Nie będziesz mi tu teraz ryczeć. Nie wyrażam na to zgody. Popłaczecie sobie jak umrę. A teraz żyje i mam się dobrze – oznajmia, przystępując do dobrze znanego mi ataku.

- No cóż, przyszłam do Ciebie, bo byłam na wagarach, z Piotrkim i pomyślałam, że Ci o tym opowiem, ale widzę, że jesteś nie w sosie – mówię specjalnie się z nią drocząc, powoli odwracając się, żeby odejść. Tylko tak wyciągnę ją z tej jaskini. Też nie widzę sensu we wspólnym rozżalaniu się nad jej tragedią, tym bardziej, że ona sobie tego nie życzy.

- Czekaj, czekaj moje dziecko. – Widzę, że ciekawość babci nie zna granic.

- Idę pozbierać borówki do deseru. Jeśli masz dość siły, żeby mi potowarzyszyć, to coś Ci opowiem. – Zachęcam ją jak umiem najlepiej.

- Eh, jak chcesz. Gdzie masz koszyk? – dodaje podejrzliwie.

- Tam, gdzie zawsze – prycham i idę do sieni. Mój sposób komunikacji z babcią dla osób postronnych mógłby się wydawać niepokojąco dziwny. Ale w każdym naszym słowie i geście, obydwie widziałyśmy wyłącznie ogromną miłość i zaufanie. Takie swoiste zrozumienie i akceptacja, ponad wszystkim.

- Czy raczysz zacząć swoją opowieść, zanim umrę? – dodała zniecierpliwiona babcia z przekąsem w głosie, wychodząc na werandę. Uwielbiam ją za to. Kiedyś spytałam mamę czy babcia zawsze taka była, czy też od śmierci dziadka zrobiła się bardziej bezpośrednia. Odparła przez zęby „zawsze”.

- Tak, tylko zastanawiam się od czego zacząć. Bo w zasadzie, to powinnam od wczorajszego popołudnia, kiedy to spotkałam się z Piotrem na jazdę konną – stwierdzam konspiracyjnym głosem.

- No masz Ci los! – Cmoka z frustracją babcia. – Wiedziałam, że przez Twoją matkę coś ważnego mnie ominie! – dodaje z prawdziwym żalem w głosie. I jak tu jej nie kochać?

W czasie mojej opowieści, zbieram kilka koszyków borówek. Powinno ich wystarczyć na jakieś dziesięć tysięcy najbliższych deserów. Co chwilę w mojej głowie pojawia się myśl, co ja zrobię, gdy jej zabraknie. Jak cicha czkawka jeszcze nienarodzonego dziecka, które słyszy wyłącznie jego matka. W trakcie mojego szczegółowego opisywania dzisiejszych wydarzeń, na jednej ze ścieżek dostrzegam mamę, która widząc nas, zamiera, kręci głową ze zadziwieniem i idzie w przeciwnym kierunku. Pewnie zastanawia się teraz, jak tym razem przechytryłam naszą staruszkę. Prawdziwa szczerość jest zawsze kluczem do drzwi serca, które potrafi się otworzyć tylko nielicznym.

O 22.00 dostaję sms od Piotрка: „?” Pewnie się martwi, jak mi poszło. Czy moja psychika się nie załamała. Odpisuję, że było prościej niż sobie wyobrażałam. I że to jego zasługa, bo wyhamował mnie w porę w piętrzących się emocjach. Chcę, żeby wiedział jak bardzo jest mi potrzebny. I jak bardzo będzie mi niezbędny, żeby przez to przejść. Muszę wiedzieć, czy będę mogła polegać na nim w najbliższej przyszłości. Nie zakładałam, że tak. Sam przeżył niedawno trudne chwile i zrozumieć, gdyby nie miał ochoty w tym uczestniczyć.

Kropki migają, a ja mam nieodpartą chęć rzucenia telefonem o ścianę. Prezentuję sobą bardzo wysoko rozwiniętą cierpliwość, prawda?

- Możesz liczyć na moją przyjaźń. Pod warunkiem, że będziesz trzymać swoje pazury schowane. – Nareszcie wysyła odpowiedź. I to taką, której się nie spodziewam. Patrzę na swoje dłonie i widzę krótko przycięte paznokcie. Prycham, bo wiem do czego pije. A potem czytam jeszcze raz i czuję zawód. Przyjaźń? Może i dobrze, i tak nie mam teraz siły, żeby w coś się angażować. Karcę się w myślach, żeby najpierw pomyśleć co odpiszę, a potem znów biorę telefon do ręki.

- Będzie ciężko, ale się postaram. – Nie ma jak dwuznaczny tekst, brawo ja. Znowu te frustrujące kropki skaczą!

- W takim razie i ja się postaram nie drażnić Cię, za bardzo. – Przemilo. Ten chłopak doprowadzi mnie kiedyś do szaleństwa.

- Dobranoc Piotrze – odpisuję szybko, żeby nauczyć go, jak należy kończyć ze mną rozmowę.

- Dobranoc Emilio – czytam i nie wierzę. Co za potwór! Nie znoszę swojego imienia i on o tym dobrze wie. Uśmiecham się jednak i zasypiam snem twardym jak kamień.

Czerwiec minął powoli. Każdego dnia mama walczy ze sobą, żeby nie płakać, tata znika w pracy, a babcia dręczy mnie o nowe opowieści z cyklu „mój przyjaciel Piotr”. Stanowimy dla niej nie lada rozrywkę. W jej lepsze dni, opowiada o dziadku. W gorsze tylko kiwa głową. Słowa gubią się w jej pamięci, wspomnienia zacierają, ma coraz większe trudności w poruszaniu się. Mama znalazła Panią do pomocy. Mówi, że babcia niedługo będzie znikać w oczach. Wygląda, jakby już ją wciągała jakaś niewidzialna czarna dziura, która sprawia, że zapada się w sobie powoli.

Z Piotrkim utrzymujemy kontakt telefoniczny. Dzwoni dosyć często, pytając jak sobie radzimy. Nie ma czasu na wagary i spotkania, a ostatnie dni nauki trochę nas pochłaniają. Parę razy widzieliśmy się na sobotnich obiadach i jego błady, odległy uśmiech musi mi wystarczyć za wsparcie.

Po zakończeniu roku rodzice umawiają się na wspólny obiad, żeby świętować nasze „piękne świadectwa”. Chyba tylko oni się tym przejmowali. Siedzimy przy stole, gdy nagle Piotrek pyta:

- Czy mogę porwać Panienkę na spacer? – Niby kieruje to pytanie do mnie, ale kątem oka patrzy na tatę, który prawie niezauważalnie kiwa głową.

- A dokąd chciałbyś się udać jaśnie Panie? – Podchwytuję styl wypowiedzi, który brzmi naprawdę głupio.

- Zerwać soczyste jabłka z jabłoni – odpowiada roześmiany.

- Oj, to musiałby być bardzo długi spacer. Jabłka będą dojrzałe za mniej więcej miesiąc – odpowiadam poważnie, wyjątkowo z siebie zadowolona.

- Potrafisz zepsuć każdą zabawę słowną, Em – stwierdza wzdychając, a babcia klaszcze w dłonie parskając śmiechem. Nigdy nie uczestniczy w naszych obiadach, aż tu nagle, znienacka wygląda zza drzwi jadalni. Mam poważne podejrzenia, że zawsze tam stoi niezauważona i podsłuchuje. Panowie wstają i z należytym szacunkiem witają się z babcią Klarą. A ona w sobie tylko znanym stylu, pokazuje dłońmi żebyśmy już poszli na ten spacer. Podnoszę się zrezygnowana i wskazuję Piotrkowi drogę. Już czuję jak będzie mnie dziś maglować, jak panowie pojadą do swojego domu.

- Tak, teraz już wiem jak będziesz wyglądać na starość – stwierdza rozbawiony Piotrek, jak tylko przekracza schody od werandy. – I muszę przyznać, że jest uroczą staruszką, ale w oczach ma ten sam ogień co Ty. – No i jak ja mam z nim spokojnie rozmawiać?!

- Ciesz się, że tym razem Cię oszczędziła. Ale pewnie jeszcze zdąży przyjść dzień, w którym przestaniesz myśleć o niej jak o uroczej staruszce – pouczam go.

- Wątpię. – A później dodaje poważnie. – Muszę z Tobą porozmawiać, Em. Dlatego zaproponowałem spacer. To nie jest temat na telefon. – Na te słowa czuję narastającą gulę w gardle.

- Tata poinformował mnie wczoraj – kontynuuje – że załatwił mi staż na całe wakacje. U wujka w Londynie. Błędnie założyłem, że będę mieć teraz więcej czasu, żeby spędzić go z Tobą. – Czuję jego rosnący niepokój. Nawet na mnie nie patrzy.

- Hej – stoję nagle i się do niego odwracam, tak że prawie na mnie wpada - chyba mają tam zasięg, prawda? – Uśmiecham się pocieszająco. – I tak w najbliższym czasie nie dałabym rady, a co więcej nie chciałabym się z Tobą widywać. – Widzę rosnące zdziwienie w jego oczach, więc pośpiesznie wyjaśniam. – Babcia będzie potrzebować osoby, która potrafi z nią rozmawiać, dopóki jest w stanie to robić. Mama jest w lekkiej rozsypce i myślę, że tylko ja mam teraz siły i czas, żeby to ogarnąć. Nie mogę jej teraz zawieść. – Moja wypowiedź nieco go uspokaja. Robi krok w moją stronę i mnie przytula, a ja kompletnie nieprzygotowana na ten gest, stoję jak baran. W dodatku sparaliżowany. Odsuwa się szybko, zawstydzony brakiem mojej reakcji, a ja wreszcie odnajduję w sobie siłę, żeby nie zepsuć do końca tego pożegnania i przylegam do niego płacząc. Oczywiście, że muszę zacząć teraz płakać! Nienawidzę, kiedy tracę nad sobą kontrolę. Przytula mnie mocniej, głaszcząc delikatnie po włosach. Wie, że musi poczekać aż się sama uspokoję. W końcu zasmarkana, ocieram łzy i niechętnie odsuwam się od niego.

- Przepraszam. Pora wracać Piotrze – oznajmiam z wyraźnym smutkiem. – Te jabłka są kompletnie niedojrzałe.

Podnosi moją głowę za podbródek, patrzy mi w oczy i odpowiada:

- Na wszystko jest w życiu czas, Em, a ja należę do osób wyjątkowo cierpliwych. Z przyjemnością poczekam aż będą soczyste i czerwone. Teraz czułbym wyłącznie ich kwaśno-gorzki smak. Wracajmy – mówi łagodnie, a mnie bebecchy wywracają się od dwuznaczności jego wypowiedzi. Do końca życia zapamiętam te słowa o jabłkach. I o mnie. Podnosi ramię, tak bym mogła go za nie chwycić. Wędrujemy, jak para arystokratów przechadzających się po swoich włościach. I w zasadzie tak jest... Jakie to dziwne?

Kiedy odjeżdżają, stoję z babcią w oknie. Trzyma mnie mocno żebym nie upadła, czując narastający ból w klatce piersiowej. Tak wiem, to ja mam się nią opiekować. Ale Piotr wyjeżdża na całe wakacje, a po tym jak udaję przy nim dzielną, teraz rozpadam się na milion kawałków.

Życie to okrutna droga. Na początku leśna ścieżka pełna zakrętów, dziur i wystających kamieni, nagle przeistaczająca się w ruchliwą aleję w samym sercu miasta, a na końcu płynnie przechodząca w trudno dostrzegalną trasę przez piaszczystą pustynię.

W tym obrazie, babcia znajduje się na środku wysokiej wydmy, z której właśnie koziołkuje na złamanie karku. Wakacje, jak można się domyślić, nie należały do najprzyjemniejszych. Przed południem siedziałam z babcią w salonie, a w lepsze dni czasem spacerowałyśmy. Opowiadała mi historie ze swojego dzieciństwa oraz młodości. Część z nich zapisałam, co bardzo ją uradowało. Po południami odreagowywałam: albo zbierałam jabłka i inne owoce, z których później robiłyśmy z mamą przetwory, czasami jeździłam do stajni.

Staramy się z Piotrkim pisać do siebie i dzwonić, ale z każdym tygodniem jest mi coraz ciężiej znajdować temat do rozmów. Pod koniec lata, głównie słucham opowieści o Londynie i jego stażu w firmie wujka. To skutecznie, na chwilę, odciąga moją uwagę od choroby babci. Nasi ojcowie przestają spotykać się na obiady, a dom wygląda jakby sam był martwy.

Nastał wrzesień i zbliżają się moje piętnaste urodziny. Nie mam ochoty na świętowanie, więc proszę rodziców, żeby w tym roku nic mi nie urządzali. Pierwsze dni w nowej szkole przyznam, są szokujące. Już w drugim tygodniu mamy tyle zadane, że zaczęłam się zastanawiać, czy dam radę? Do tej pory nauka stanowiła element mojej codzienności, teraz wypełnia wszystkie jej czasowe przestrzenie. Gdy już zamierzam odträbić odrobienie wszystkich zadań, dostaję kolejne. Projekty, prezentacje, wypracowania, sprawdziany. Ciężko jest złapać oddech. Raz na tydzień jeżdżę konno, sama, w ramach misji - przewietrzanie głowy.

W dniu urodzin, które wypadają 20 września w sobotę, budzę się z myślą, że coś jest nie tak. Otwieram oko i widzę, że 30 cm od mojej twarzy, znajduje się twarz babci. Trochę podskakuję z przerażenia, a ta zaśmiewa się bezdźwięcznie. Jestem w szoku, że dała radę wejść po schodach, bo ostatnio było coraz gorzej z jej przemieszczaniem. Wskazuje paluchem na mnie, a potem wstaje. Rozumiem, że mam iść za nią. Półprzytomna schodzę z łóżka i człapię po schodach. Jakież było moje zdziwienie, gdy na ganku, przez otwarte na oścież drzwi, widzę stojącego Piotrka. Babcia klaszcze w ręce, więc ten natychmiast obraca się i zamiera. No tak, nie mam szlafroka. Szybko odzyskuję przytomność umysłu i biegnę na górę się ubrać. Myślę,

że jeśli babcia samoistnie za chwilę nie umrze, to uduszę ją własnymi rękami! Patrzę w lustro i głośno jęczę z przerażenia. Każdy włos jest w kompletnym nieładzie, jakby starał się być jak najdalej od następnego. Oczy podkrążone, od zarwania ostatnich kilku nocy nad projektem „o romantycznej gloryfikacji dawnej szlachty”. I ja, niezbyt ukryta pośród starej, powyciąganej, różowej koszulki nocnej, w której widać dokładnie wszystkie moje krągłości. Stara jędza, myślę i szukam w panice czegoś, co nadaje się do ubrania. Bielizna, sukienka z krótkim rękawem w kwiatki, bez dekoltu i co ważne, za kolano. Potem starannie rozczesuję włosy i upinam w kok. Zazwyczaj tak właśnie wyglądam. Oczywiście powinnam włożyć jakieś pantofelki, skoro mam gościa, ale rzadko w domu chodzę w butach i postanawiam pozostawić sobie choć tyle swobody. Schodzę powoli i dostojnie, a babcia cmoka z niezadowoleniem i odchodzi, dając do zrozumienia, że wołała poprzednią wersję ubioru. Piotrek najwidoczniej już się otrząsnął, bo stoi teraz w domu, a na jego twarzy nie malują się żadne emocje. Może babcia do niego przemówiła? Niepokojące.

- Cześć. Przepraszam. Babcia ewidentnie chce dać mi popalić na koniec swojego życia – cedzę przez zęby z nieszczerym uśmiechem, tak żeby jeszcze mnie usłyszała.

- Dzień dobry, Em. Miałem zamiar zaśpiewać Ci sto lat, ale potrzebowałem kilku minut, żeby odzyskać mowę i w ogóle być w stanie przywitać się z Twoją babcią, po tym jak tu wparowałaś w piżamie. – Bierze wdech i kontynuuje. – Mam dla Ciebie prezent. W zasadzie wszyscy mamy dla Ciebie prezent, ale Twoi rodzice postanowili ubrać mnie w jego przekazanie. Tylko niestety będziesz musiała się znowu przebrać, zanim po niego pojedziemy.

- Czy masz jakieś wytyczne, jakbyś chciał żebyś wyglądała? – pytam zaczepnie. I choć nie przepadam za niespodziankami, to niezmiennie mnie zaintrygował.

- To jak chciałbym żebyś wyglądała, znacząco się różni od tego jak powinnaś się ubrać. – odpowiada zamyślony. – Przydałyby się jednak dłuższe spodnie i podkoszulek. - Nie za bardzo wiem co mu odpowiedzieć, więc znikam ponownie na górę i dostosowuję się do jego potrzeb. Znowu zbiegam na dół, mijam swojego „przyjaciela” i wpadam do kuchni po jabłko. Na głodnego nigdy nie wychodzę z domu, to bardzo niezdrowe dla dziewczyn. Szybko go pochłaniam, popijam szklanką wody i wracam do Piotrka.

- Miałem właśnie dodać, że dobrze byłoby gdybyś coś zjadła, ale przemknęłaś jak burza. Jadąc po Ciebie, spodziewałem się, że już dawno będziesz na nogach – powiedział jakby usprawiedliwiając się. Myślę nawet, że ustalił to wcześniej z moją mamą, tylko jej to dziwnie wyleciało z głowy. Ciężko mi jest mieć teraz do niej o coś pretensje, więc postanawiam odpuścić temat.

- No cóż, musisz przywyknąć, że teraz mam tu dom wariatów. Chodźmy.

Ruszam za nim i widzę mój ukochany motor, którego nazwałam Yami. W sensie jego motocykl, ale bardzo go polubiłam i przywłaszczyłam sobie w myślach. Z przyjemnością usadawiam się za jego plecami, zapominając o celu naszej podróży. Cieszę się na każdy kolejny przejechany kilometr. Tak bardzo tęskniłam za Piotrkim, ale dopiero teraz dopuściłam do siebie te emocje. Trzymam go mocno w pasie, wykorzystując nieciekawą sytuację. Nagle zatrzymuje się, a ja widzę dobrze znaną mi stadninę. Zeskakujemy z Yami i prowadzi mnie do

stajni. Boks Szajki jest cały w różowych wstążkach. A na środku wisi przypięta kartka z rodowodem klaczy rasy shire, z imieniem nowego właściciela. Mnie!

No cóż, tak, trochę skaczę z radości i być może odrobinę nawet krzyczę ze szczęścia. W końcu od dziś na długie lata jestem szczęśliwą posiadaczką własnego zwierzaka. Jak już się uspokajam, pytam Piotrka czy będzie mu przykro, jeśli teraz chwilę pojeżdżę. A on ubawiony moją reakcją odpowiada, że po to tu przyjechalśmy.

Wyjeżdżam z ubraną Szajką na padok, po chwili dołącza do mnie Piotrek na Dejmosie. Jeździmy i skaczemy przez przeszkody prawie dwie godziny. Bez żadnej kłótni! Czułam się, jakby to były moje najlepsze urodziny w życiu. Oczywiście, kiedy diabeł się cieszy...

Zsiadając z konia dostrzegam, że mam kilka nieodebranych połączeń od mamy. Piotrek chyba też, bo patrzy na swój telefon, a później na mnie. Podchodzi szybko i mówi, że musimy jechać. Nie za bardzo wiem co się dzieje, ktoś zabiera mi konia z ręki, a Piotrek popycha mnie w stronę motoru. Zatrzymuję się i pytam, odzyskując nareszcie mowę:

- Co się dzieje? Nigdzie nie jadę, dopóki mi nie powiesz.

- Em, Twoja mama napisała do mnie. Babcia Klara trafiła do szpitala, miała niewydolność oddechową. – Podchodzi bliżej mnie, spodziewając się, że zaraz zemdleję jak to usłyszę. Ale w takich chwilach zawsze sama siebie zaskakuję, umiejętnością perfekcyjnego opanowania. Moim zadaniem jest dotrzeć natychmiast do babci, nie mam czasu na dramy.

- Zawieź mnie do niej, proszę. Tylko się nie spiesz. Chcę tam dojechać cała – mówię z pełną powagą i opanowaniem. Podaje mi kask, stwierdzając:

- Nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać, Em. – I ruszamy w drogę.

Babcia leży na OIOM-ie. Tata siedzi w poczekalni, a mama jest z nią na sali. Zostawiam Piotrka przy tacie i wchodzę do środka. Lekarz właśnie tłumaczy mamie, że stan babci jest stabilny i będzie można ją niedługo odłączyć od aparatury, ale że takie problemy będą zdarzać się coraz częściej. Nie musi dodawać, że w końcu nie będą mogli jej już odratować. Siadam po drugiej stronie łóżka, łapię babcię za rękę. I pomyśleć, że jeszcze dziś rano byłam gotowa ją sama zamordować. Wydaje mi się jakby wszystko to przydarzyło się komuś innemu.

- Przykro mi kochanie, że tak spędzasz swoje urodziny. Powinnaś teraz radować się z przyjaciółmi, a zamiast tego jesteśmy tutaj – mówi załamana mama.

- Mamo, to tylko urodziny. Wiesz, że nigdy nie byłam przywiązana do dat i prezentów. Choć muszę przyznać, że w tym roku daliście czadu – mówię śmiejąc się przez łzy, bo jeszcze nie zdążyłam im podziękować za prezent. Babcia ściska bezwiednie moją dłoń. - Jestem dokładnie tu, gdzie powinnam być. Wśród najbliższych, niezależnie w jakiej sytuacji jesteśmy. – Ten tekst kompletnie rozkleja mamę, więc postanawiam od tej pory milczeć. Nie mam sił na swoje emocje, a co dopiero na jej.

Po kilku godzinach wracamy do domu. Piotrek już dawno pojechał do siebie, na wyraźną prośbę taty. Ponoć początkowo oponował, co było miłą informacją. Piszę do niego wiadomość, co usłyszałam od lekarza o stanie babci. Potem szybko ze zmęczenia zasypiam.

Następne miesiące upływają jak we śnie. Chodzę wiecznie niewyspana, mało jem i cały czas jestem w pełnym napięciu, co przyniesie kolejny dzień. Nawet jazda na Szajce nie daje mi satysfakcji. Dni robią się coraz krótsze, czuję jak wszystko wokół umiera. Babcia przestaje wstawać z łóżka. Zaczyna zapominać kim jest, gdzie jest i kim my jesteśmy. Mama zatrudnia pielęgniarkę. Zastanawiam się, która z nich gorzej wygląda: babcia czy mama. Tata ma ciężki okres w pracy. Zamknięcie roku. Choć wiem, że Pan Tadeusz robi wszystko, żeby tata mógł być częściej w domu, to nadal wydaje mi się, że jest zdecydowanie za rzadko.

Przychodzi grudzień i zbliżają się święta. W takich chwilach chciałoby się zatrzymać świat i powiedzieć, że musi mi dać chwilę, bo nie nadążam. A on pędzi na oślep, jak pijak z kosą na żniwach.

Wigilię spędzamy w szpitalu, babcia miała kolejny atak. Dobrze, że mama nic nie ugotowała. Wszystko poszłoby do kosza. Nie jesteśmy głodni. Aż do Sylwestra snujemy się między domem, a szpitalem. Dwa dni po Nowym Roku, babcia zostaje wypisana do domu, choć dla niej już było wszystko jedno, gdzie się znajduje. Już wiem, że nie odzyska pamięci, przepadła bezpowrotnie. A my wyglądamy na mocno zrezygnowanych i pokonanych.

Zbliża się koniec semestru. Oceny mam w miarę dobre, więc totalnie odpuszczam z nauką. Cały czas pozostaję w kontakcie z Piotrkiem, który czeka cierpliwie na każdy mój telefon. To trudne chwile, kiedy z jednej strony tęsknisz do babci, której już w niej nie odnajdujesz, z drugiej patrzysz jaka teraz się stała i ciężko Ci to spokojnie znieść, a z trzeciej nie umiesz sobie wyobrazić, że zaraz jej nie będzie. Huśtawka emocjonalna.

Ostatnie trzy miesiące jej życia są dla nas jak życie w zawieszeniu. A później w maju zapomina wziąć oddech i bezpowrotnie zasypia. Z pogrzebu niewiele pamiętam. Mama płacze, tata ogarnia sytuację, a ja nic nie czuję. Kompletna pustka. Nawet mamę przeraża moja reakcja. Parę dni później przychodzi do mnie do pokoju i pyta, czy nie potrzebuję wizyty u psychologa. Odpowiadam, że dziękuję, ale sobie poradzę i żeby lepiej pomyślała teraz o sobie. A później rzucam się w wir poprawiania ocen, kompletnie odcinając się od wszystkich. Piotrek nawet nie próbował się ze mną kontaktować. Chyba jako jedyny rozumiał mój stan, bez zbędnych słów.

W czerwcu przyjeżdża po mnie i mówi nie pytając, że jedziemy na łękę. Spędzamy tam pół dnia, siedząc w milczeniu i patrząc przed siebie. Wtedy, po raz pierwszy od pogrzebu, zaczynam płakać. Ale nie chcę być pocieszana. Potrzęsam tylko głową, gdy próbuje się do mnie zbliżyć. W końcu odwozi mnie do domu i całuje w policzek na pożegnanie. A ja zaciskam szczęki, odwracam się na pięcie i zamykam drzwi. Zbyt dużo emocji na raz.

I jest 25 czerwca, tuż po zakończeniu roku szkolnego. Tata zamiast tak jak zawsze, pojechać do pracy, wchodzi do kuchni i mówi:

- Dobra dziewczyny, trzeba coś z Wami zrobić, bo wszyscy przez Was oszaleją. – Patrzymy z mamą po sobie w pełnym zdumieniu. – Jutro wyjeżdżamy na miesiąc do moich rodziców.

Wszystko jest zaplanowane, pozostaje Wam się spakować. – Wtedy trzeźwieję, jak wyrwana z koszmaru i wsadzona w kolejny, nowy koszmar.

- Co?! Ja nigdzie nie jadę! Przecież mam konia w stajni – oznajmiam, jakby to mogło stanowić jakąkolwiek dobrą wymówkę.

- Piotrek zaoferował, że zajmie się Szajką jak Cię nie będzie. Czy są jakieś inne przeciwwskazania? – Spytał, a mnie rozsadza od środka. To Piotrek o tym wszystkim wie i jeszcze potulnie się zgodził? Na pomoc na szczęście ruszyła mama:

- Nie ma mowy, cały sad będzie owocować w lipcu. Kto to wszystko pozbiera? A Twoja praca? – Uff, dobrze, że to wymyśliła.

- To również przewidziałem. Poprosiłem Helenę, przyjaciółkę Twojej mamy Klary, która kiedyś co roku jej pomagała w zbiorach, zanim z nią zamieszkaliśmy po śmierci dziadka. Powiedziała, że będzie zaszczycona mogąc nam pomóc, a przy okazji spędzi trochę czasu na wsi i powspomina swoją zmarłą koleżankę. – Pięknie, myślę. Dlaczego mój mózg teraz nie działa! Normalnie wymyśliłabym setki racjonalnych powodów, dla których musimy zostać. – A co do pracy, to mogę pracować zdalnie. Wszystkie większe tematy zostały zamknięte, a resztą zajmie się Tadeusz. A skoro słyszę ciszę, to szybciotko zaczniście się pakować. Macie na to jeden dzień.

- I wyszedł z domu po zakupy.

Siedzimy z kilkanaście minut zanim zdołamy się otrząsnąć z szoku, a później w nerwach biegniemy do swoich pokoi, mama żeby pakować walizki, a ja żeby tam sobie swobodnie popłakać z narastającej frustracji. Żadna z nas nie miała teraz siły na kłótnie i myślenie, co dalej. Przynajmniej dziadki może nas trochę rozruszają. Godzinę później napisałam do Piotrka, bo tak naprawdę tylko o nim myślałam, kiedy tata poruszył temat wakacji:

- Właśnie się dowiedziałam, że od jutra przez pół wakacji otrzymałeś pod opiekę moją klacz. Traktuj ją dobrze, czytaj, masz obowiązek przytulać Szajkę i mówić jej słodkim głosem, że jest dobrym, kochanym zwierzątkiem.

- Tak jest, proszę Panienki. Nie martw się, będzie odpowiednio wygłaskana i zmęczona, do czasu Twojego powrotu. Zastanawiałem się, kiedy Twój tata raczy Wam powiedzieć o swoim pomysle i powoli wątpilem, czy w ogóle się odważy. Niestety rozminiliśmy się w te wakacje. Mój tata planuje urlop na sierpień i zwiedzanie Norwegii, co obiecałem mu zeszłego lata, gdy wyjeżdżałem do wujka. – Po przeczytaniu poczułam, że robi mi się przykro. A potem wrażenie zniknęło. Tak jakby ktoś rzeczywiście wyrwał mi już całe serce. Strasznie głupie odczucie. Czytam jeszcze raz. Powoli. I odpisuję:

- Dziękuję, wiem, że zostanie w dobrych rękach. Będę za Wami tęsknić (mam na myśli Ciebie i Szajkę, a nie Twojego tatę). Idę się pakować, bo nie zostało mi za wiele czasu do wyjazdu...

- Myślę, że ta podróż może Wam bardzo pomóc (mam tu na myśli Ciebie i mamę). Pamiętaj, że jestem pod telefonem. Daj znać, jak dojedziecie. - Nie napisał, że będzie tęsknić. Odłożyłam telefon, lekko niepokieszona. To był trudny rok. Mimo, że upłynął w jednostajnym smutku, dłużał się niemiłosiernie. A my nadal jesteśmy w tym samym punkcie. Przyjaciele.

Hiszpania okazała się być strzałem w dziesiątkę, choć żadna z nas nie przyznałaby tego nigdy ojcu. W końcu zabrał nas tu podstępem, musi teraz odpokutować. Dziadki wprost oszalały z radości. Codziennie zabierają nas na różne wycieczki, organizują obiady ze znajomymi. Dawno nie byłam tak zmęczona od natłoku wrażeń. Południowe słońce spaliło moja białą skórę – oczywiście wina taty, bo nie zdążyłam kupić kremu z filtrem. Wracam do kraju opalona, jak nigdy. Gdzieś w środku tli się we mnie nadzieja, że Piotrek jeszcze nie wyjechał, ale niestety wyleciał dzień wcześniej. W trakcie wakacji dzwoniłam do niego co tydzień, opowiadając o miejscach, które widziałam. Wysłałam mu też kilka fotografii, ale tylko takich, na których mnie nie było. Drugą część wolnych od szkoły dni spędziłam czekając na wieści i zdjęcia od niego. Norwegia okazała się być pięknym miejscem. Pod koniec sierpnia udało mi się zmusić do ruszenia się z domu (poza oczywiście stadniną). Zamierzam jechać na cmentarz. Po drodze kupuję sadzonkę wrzosów, które zasadzę przy grobie babci Klary i dziadka Stefana. Siedzę w autobusie, kiedy dzwoni mój telefon. Odbieram.

- Cześć, gdzie jesteś? – pyta Piotrek.

- Jadę na cmentarz z kwiatami. A Ty? – odpowiadam smutno.

- Niedawno przylecieliśmy. Wsiadam na motor i jadę do Ciebie. Nie powinnaś być tam sama. – I się rozłącza. Wkurzające. Oczywiście dojechał pod bramę przede mną, co każe mi sądzić, że jechał zdecydowanie za szybko. Przytula mnie mocno i zabiera doniczkę z ręki.

- Gdzie masz łopatkę? – Pyta, a ja pacam się w czoło. Więcej danych nie potrzebuje. Kieruje się w stronę sklepu po drugiej stronie drogi i kupuje odpowiednie narzędzie. Wracamy na cmentarz. Zastanawiam się, jak iść do dziadka. Przecież tyle razy tu byłam, a nagle nie pamiętam. Piotrek podąża pewnym krokiem, co rusz skręcając w odpowiednią alejkę, więc muszę mu zaufać, że wie co robi. Zerkam na niego co chwilę i rozmyślam, czy on wie, jak jego opieka jest dla mnie ważna. Kiedy zbliżamy się do celu, odechciewa mi się podnosić stopy. Jakby nagle ktoś przymocował do nich ciężarki. Piotrek delikatnie obejmuje moje plecy i dłońią popycha do przodu. Potem pomaga mi usiąść na ławce i zajmuje się wrzosami. Wykopał mały dołek po lewej stronie od nagrobka. Pewnie wie, że jeszcze wiele kwiatów tu przyniosę. A później zajmuje miejsce obok mnie. W głowie mam dziwną wizję, jak kolejne pokolenia wpadają parami do wielkiego zbiorowego grobu i robi mi się niedobrze. Wydycham głośno powietrze przez usta i patrzę w inną stronę, za plecy Piotrka. Przełykam głośno gromadzącą się w gardle żółć z żołądka i kręcę mimowolnie głową.

- Na dzisiaj wystarczy Em. Choć, odwiozę Cię do domu – mówi stanowczo. Nie dyskutuję. Kiwam głową i pozwalam mu się poprowadzić. Pali mnie w klatce. Ciężko mi się oddycha. Powstrzymuję się od złapania za okolicę serca, żeby nie robić scen. Zmuszam nogi do poruszania, a gardło do przełykania. I idę bezmyślnie przed siebie. Wspaniałe zakończenie wakacji, prawda?

Drugą klasę rozpoczynam od uważnego przyglądnięcia się moim kolegom i koleżankom z klasy. Jakiś czas temu obiecałam sobie, że postaram się na nich otworzyć. Nie chcę przesiedzieć ostatnich lat młodości na ciągłym zamartwianiu. Z przodu siedziały kujony. Sympatyczne, ale strasznie zarozumiałe. Po lewej i prawej stronie, w tylnych rzędach zasiadały dzieci bogatych i wpływowych mieszczan, wiecznie imprezujące. Kompletnie nie moja bajka. Mój środkowy rząd był dość osobliwy. Kilku chłopców z drużyny koszykarskiej, o przyjemnej aparycji i równie ładne dziewczyny. Parokrotnie usłyszałam od kolegów kilka komplementów, więc uznałam, że mogę śmiało się do tej grupy zaliczyć. Od pierwszej klasy siedziałam sama w ostatniej ławce, gdyż mój bałagan, nie pozwalał na czyjąkolwiek obecność obok. Pewnego dnia, do sali wpada, zaraz po dzwonku, zdyszana Katarzyna, która zazwyczaj siada w strefie kujonów.

- Cześć. Przepraszam, mogę się dosiąść? – I nie czekając na moją zgodę, siada przesuwając moje graty jednym ruchem ręki, wydając przy tym drugą ręką swój zeszyt. No cóż, dobrze zorganizowana. Może tego mi trzeba?

- Cześć. Jasne – odpowiadam rozbawiona, wskazując jej po fakcie miejsce, które już zajęła. Zaczęłyśmy się śmiać, co nie spodobało się nauczycielce. Od tego dnia zaczęła się nasza wieloletnia przyjaźń. I pomyśleć, że gdyby nie ten autobus, na który nie zdążyła, moje życie wyglądałoby później zupełnie inaczej.

Wracając po lekcjach do domu, piszę Piotrkowi, że może być ze mnie dumny, bo chyba odnalazłam bratnią duszę. Chwilę nie odpisuje, a później dostaję pytanie, czy powinien czuć się zazdrosny o nowego przyjaciela. Odpisuję, że nie przyjaciela, a przyjaciółkę. Wysyła keciuk do góry i uśmiechniętą buźkę. Na tym kończy się nasza bujna rozmowa.

Po raz pierwszy od śmierci babci, czuję rosnącą we mnie radość. Życie znów nabiera barw, wstaję rano bez bólu ciała, a myśli są spokojniejsze. Chyba moja żałoba dobiegła końca. Pozostaje cicha tęsknota.

Coraz częściej toczę liczne dyskusje na przerwach z Kasią i z koszykarzami z klasy. Okazują się być bardzo mili i otwarci, a także rozbijającą szczerzy. Lubię z nimi przebywać. Często piszę do Piotra o naszych śmiesznych sporach i wygłupach. Jest mi to teraz bardzo potrzebne. Mam tylko wrażenie, że Piotrek nie do końca jest z tego zadowolony. A może zazdrosny?

W połowie września postanawiam, że w tym roku zrobię urodzinowe party, bo w końcu obchodzę sweet sixteen! Informuję mamę o swoich planach, choć wiem, że od śmierci babci minęło mało czasu. Mama od razu szuka notesu, żeby rozpisać niekończącą się listę gości. Zapomniałam, że zawsze była fanatyczką takich uroczystości.

Wynajmujemy na koniec września pięknie położony lokal, zaraz przy jeziorze, z własnym pomostem i prywatną plażą. Zapraszam znajomych z klubu jeździeckiego, podstawówki oraz liceum. No i oczywiście Piotra z tatą (którego do żadnej grupy nie mogę zaliczyć). Mama zaprasza chyba wszystkie swoje koleżanki z dziećmi będącymi w podobnym do mnie wieku. Nawet dziadki z Hiszpanii obiecali, że się pojawią. Mamy zamówiony tort, Dj-a i kwiaty w donicach. Dokładnie w takiej kolejności. A na koniec zostawiamy wisienkę na

torcie – czyli wybór sukni. Na tydzień przed imprezą urodzinową, zaglądam po szkole do ulubionego sklepu, koło którego przechodzę codziennie. Znajduję ciemnoszarą suknię i wysyłam mamie zdjęcie. Dzwoni do mnie i akceptuje ją bez żadnego „ale”. Kupuję kreację, bez zbędnego żalu wydając masę pieniędzy z konta. Jej konta.

Dziadki przylatują dzień wcześniej i zatrzymują się u nas. Bardzo cieszy mnie ich obecność. W dniu imprezy, zanim wyjdę z domu, przeglądam się w lustrze chyba z tysiąc razy. I nadal nie mogę uwierzyć, że tak dobrze wyglądam. Materiał lśni jak poświata księżycy, jest delikatny i zwiewny. Pozwoliłam sobie na większy niż zazwyczaj dekolty i zdecydowanie krótszy fason. Na stopach mam swoje pierwsze buty na obcasie, posrebrzane i wyszywane drobnymi perełkami. Mama zapina mi na szyi swój ulubiony łańcuszek z białego złota i wkłada bransoletkę na rękę, do kompletu. W uszach mam maleńkie diamenciki. Po raz pierwszy mam pomalowane oczy na srebrno a czarnym tuszem rzęsy, które podkreślają błękit moich oczu. W końcu słyszę z dołu zniecierpliwionego tatę, który woła nas do samochodu.

Po przyjeździe na miejsce o godzinie 18.05, zaproszeni goście już na mnie czekają. Wchodzę na salę w towarzystwie rodziców. Mama ubrana w czarną, satynową sukienkę, a tata w ciemny garnitur. Słyszę ochy i achy wśród zebranego tłumu, szczególnie od strony grupy kolegów z klasy. To ma być mój dzień. Dzień, w którym chcę udowodnić, sobie i innym, że w pełni nad sobą panuję. I z takimi intencjami przystępuję do świętowania. Patrząc na to z perspektywy lat, w gruncie rzeczy była to udana impreza. Do czasu aż przestaje nią być, gdzieś o godzinie 21. Do tej pory wszystko idzie gładko. Muzyka gra z głośników, goście tańczą lub jedzą przekąski. Żadnej awantury, bijatyki, nic co zapowiada nadchodzącą katastrofę. Kelner o ustalonej godzinie wjeżdża z piętrowym ortem z napisem 16. Nagle widzę, że brakuje świeczki. Myślę, że kelner też się zorientował, bo wybiega w stronę zaplecza. Ja w tym czasie rozglądam się, aby przeprosić gości za zwłokę, ale przypadkowo zauważam leżące na pobliskim stoliku race tortowe. Nie czekając na powrót kelnera, biorę jedną do ręki i wtykam w sam środek tortu, a następnie sięgam z uśmiechem do leżącej obok zapalniczki i odpalam... petardę. Nie ma sensu opisywać teraz na czym tort wylądował, łatwiej będzie wymienić, gdzie go nie można znaleźć. Całe szczęście po zapaleniu knota odsuwam się od tortu na wystarczającą odległość, by nie stracić oka. I zamiast wyglądać na przerażoną, zawstydzoną, albo zażenowaną, co jest oczywistym zachowaniem w takiej sytuacji, zaczynam się histerycznie śmiać. Ku mojej wewnętrznej równoległej rozpacz, do mojego śmiechu dołączają chłopcy z klasy. Dopiero wtedy przychodzi do mnie myśl, że większość zaproszonych osób będzie uważać moje zachowanie za potwierdzenie tego, że wybuch, którego dokonałam był zamierzony. A ja nie potrafię przestać się śmiać! Wyglądam jakbym całkiem dobrze się teraz bawiła. Mama kręci głową z niedowierzaniem, a po jej sukience spływa truskawkowy krem. Jestem strasznie zła na siebie, że nie umiem się opanować i przestać się uśmiechać. Sądzę, że po tych wszystkich miesiącach tłumienia swoich emocji, ten wybuch jest mi niezbędny do całkowitego ocknięcia. Wreszcie czuję, że żyję i mam 16 lat. To jest bolesny, ale bardzo potrzebny moment, który zapewne zostanie upamiętniony na wielu zdjęciach. Ta świadomość nagle mnie przeraża. Słyszę jak tata pyta wszystkich, czy nic się nikomu nie stało. Większość pań i dziewczyn udaje się do łazienki, a ja odwracam się na pięcie i biegnę na pomost, a następnie skoczę wprost do wody, żeby się otrzeźwić z nadmiaru niekontrolowanych emocji. Niestety trzech chłopców z

drużyny szkolnej których ostatnio polubiłam, postanawia, że to świetny pomysł i rozbierając się po drodze, dołączają do mnie. Katarzyna podchodzi do brzegu, strasznie klnie i wskakuje za nimi. W tym czasie zażenowani goście opuszczają imprezę. Głównie Ci, których zaprosiła mama. Moja nowa wodna ekipa świetnie się bawi, chlapiąc się i śmiejąc. Widzę, że Piotrek stanął na schodach i się zawahał. Spogląda w moją stronę. Moje serce wykonało dziwaczny półobrót. Żałuję, że nie widzę stąd wyrazu jego twarzy, ale jego postawa zdradza wielkie rozczarowanie moją osobą. Nie dam rady nic do niego krzyknąć, głos więźnie mi w gardle. Po kilku sekundach, trwających wieczność, odchodzi z ojcem do samochodu i odjeżdża. Na brzegu pojawiają się moi rodzice z dziadkami. A ja nadal stoję jak słup soli, po pas zanurzona w wodzie.

- Jeszcze nigdy się tak na Tobie nie zawiodłam. Brak mi słów – podsumowuje mama i rusza na parking.

- Emilio masz 5 minut, żeby wyjść z wody i przyjść do auta. Wracamy do domu, natychmiast! – burczy wściekły tata. Nigdy nie widziałam go tak złego. Odchodzi za mamą. Dziadek chwilę czeka z przemówieniem. Pewnie szykuje niezły atak. W końcu mówi:

- Dobra robota dzieciaki, na takiej imprezie jeszcze z babcią nie byliśmy! To się nazywa świętować z przytupem! – I po cichu zaśmiewając się, ruszają do auta. A ja pierwszy raz w życiu czuję się pełną gębą jak typowa nastolatka. I w brudnej, mokrej sukience, żegnam moją nową grupą wsparcia. Czasem przypadkowe sytuacje budują przyjaźnie na całe lata. I tak się właśnie stało tym razem.

Zakładam, że przez parę dni rodzice się pewnie do mnie nie odezwą, a ja nie będę próbować im nic wyjaśniać. Takie mam postanowienie. Założyli, że mają niegrzeczną córkę, to skoro we mnie zwątpili, to ja nie zamierzam się teraz starać. Co innego, jeśli chodzi o Piotra. Jak tylko dojeżdżam do domu, wparowuję do swojego pokoju, dopaam telefon i wybieram jego numer. Nie odbiera. Dzwonię ponownie. Nadal cisza. To mnie wkurza i przeraża jednocześnie. Ale skoro nie chce moich wyjaśnień, to jest taki sam jak moi rodzice. Rzucam telefonem w poduszkę i zwijam się w kłębek. Nie jestem w stanie z nerwów zasnąć do 5 nad ranem.

Niedziela jest trudna, od panującej złowrogiej ciszy w całym domu. Złość ustępuje i pojawia się niepewność. Dziadki są w mieście, więc nie mam nikogo, kto by mnie uratował. Czuję jak znowu opadam z sił i zaczynam ciężko oddychać. Zamykam się w swoim pokoju na resztę dnia. I płaczę.

W poniedziałek, zanim wstaję do szkoły, tata odwozi dziadków na samolot. Żałuję, że nie mogę choć im powiedzieć prawdy. Droga do szkoły w pociągu ciągnie się niemiłosiernie. Nie mam ochoty nic czytać. Telefon dramatycznie milczy. Wchodzę do liceum i zostaję napadnięta. Morze osób gratuluje mi wypasionej imprezy, pokazując rozesłane przez gości zdjęcia i rolki na znanej aplikacji. No cóż, chyba właśnie stałam się popularna, a przynajmniej rozpoznawalna. Nie do końca czuję z tego powodu radość, a rosnąca panika rysująca się na mojej twarzy na szczęście zostaje dostrzeżona przez Kaśkę, która rusza mi na ratunek. Zaciąga mnie do naszej klasy. Oczywiście tam czeka druga tura, którą przerywa pytanie Karola:

- Ej, Em, a teraz powiedz nam szczerze, czy Ty wiedziałaś do czego służą te race? Bo mamy tu mały zakład. – Na to chłopaki zaczęły poszturchiwać się, śmiejąc.

- Szczerze, to myślałam, że to race do tortu. – Wszyscy wybuchają śmiechem, jakby spodziewali się takiej odpowiedzi i im ulżyło, że nie jestem aż tak walnięta.

- Trzymaj się nas –powiedział Karol, wskazując na swoją bandycką trójkę – a te licealne lata, będą najlepszymi latami w Twoim życiu! - Myślę, że niestety jest taka szansa. To był zwariowany poniedziałek, na szczęście we wtorek w szkole pojawia się nowy, gorący temat do plotek. Agnieszka zostawiła Tomasza na poczet Oli. No cóż, nie zamierzam się w to zagłębiać. Ważne, że nie dotyczy to mojej osoby. Piotrek dalej nie oddzwonił.

Z perspektywy czasu, myślę, że mama mogła postąpić specjalnie złośliwie wobec mnie. Tydzień po moich hucznych urodzinach, oznajmia, że jutro po południu mam umówioną i opłaconą wizytę u dentysty. Wręcza mi wizytówkę, na której zapisany jest adres oraz godzina. Ma przy tym taki babciny błysk w oku, który podświadomie notuję, ale wtedy nie skojarzyłam go z zagrożeniem. Dziękuję jej i obiecuję, że na pewno pójde.

Na drugi dzień, siedząc na fotelu dentystycznym już nie uśmiecham się tak szeroko. W zasadzie od tego czasu przez ponad pół roku nie uśmiecham się publicznie. Dentysta ostatecznie zakłada mi aparat na zęby, twierdząc, że mam nieznacznie skrzywiony zgryz i najlepiej jest to teraz skorygować, tym bardziej, że w przyszłym roku czeka mnie podobno bal debutantów. O mało nie zjeżdżam z krzesła.

W środę, przez mój szpecący drut kolczasty znów staję się tematem rozmów w klasie. Czuję się jak więzień. Gdyby nie Kaśka i jej liczne zapewnienia, że pełno osób nosi aparaty i żebym odpuściła, to chyba wpadłabym w depresję. Postanawiam, że muszę się jej jakoś odwdzińczyć, za to ciągle podnoszenie mnie na duchu. Mówię jej o moim koniu i pytam, czy nie chciałaby kiedyś się ze mną wybrać do stajni. Nigdy nie widziałam jej tak uradowanej jak teraz. Jak się okazało, jeździła konno jako mała dziewczynka, a później przeprowadziła się z rodzicami do miasta. Zajęcia dodatkowe – balet, angielski, zajmowały jej całe popołudnia i konie poszły w zapomnienie. Umawiamy się na piątek, że prosto ze szkoły pojedziemy odwiedzić Szajkę i pojeździć. To jest bardzo udany dzień. Bez żadnego „ale”.

Od tamtej pory, co tydzień w piątki, przez całą drugą klasę, towarzyszy mi w jeździe w teren. Nigdy z nikim się tak dobrze nie bawiłam. Zawsze przy niej jestem sobą, bez napięcia i niepotrzebnych dodatkowych emocji. Rozmawiamy o wszystkim, nie ma tematów tabu. Wie, co czuję do Piotrka, choć uważa, że powinnam skupić się teraz na sobie. Jest jak głos rozsądku, a ja pozwalam się jej wygadać na każdy temat. Potrafi opowiadać i to w sposób ciekawy, przez całą godzinę, bez tracenia głosu. Wyjątkowa i imponująca zdolność.

W grudniu dostaję kolejny, niezapomniany upominek od rodziców. Podczas sobotniego obiadu, tata zaczyna opowiadać o przygotowaniach Piotrka do czerwcowego balu debutantów. Myśli, zdając sobie sprawę z tego, że nie mamy już ze sobą kontaktu, że na pewno zaciekawii mnie informacja, z kim na tym balu zatańczy. Niedawno wybrał sobie partnerkę, Marię i z tego,

co tata słyszał, została serdecznie przyjęta przez Pana Tadeusza. A potem rozwodzi się na jej temat. Z jego słów zapamiętałam, że jest prześliczną córką wybitnego kompozytora Lecha i bardzo znanej malarki Małgorzaty. Oczywiście chwilę później znajduję ją na odpowiednim portalu. Jest cholernie ładna, w dodatku wygląda na osobę rozsądną, spokojną i dojrzałą, czyli zrównoważoną psychicznie. Kompletne moje przeciwieństwo. Kilka dni temu wrzuciła dwa zdjęcia z Piotrkim, a status brzmiał: w związku. Krew mnie zalewa. Dokańczam pospiesznie obiad i pędzę zadzwonić do Kaśki. Próbuję jej wszystko wyjaśnić, ale chyba bardziej krzyczałam i dukałam, bo nic nie rozumie. Rozłączam się i piszę sms: ten dupek umawia się z Marią. I tu podaję link do jej profilu. I tak jestem z siebie dumna, że wysłałam go do niej, a nie z nerwów do niego. O jedną katastrofę mniej. Po chwili odpisuje: „Przykro mi.” I w zasadzie to właśnie czułam, tylko nie umiałam tego nazwać. Dlatego właśnie potrzebuję Katarzyny, zawsze trafiała w punkt. A później płaczę całą noc.

Na drugi dzień przyjeżdża do mnie z wielkim, słodkim ciastem i kubelkiem lodów. Siedzimy u mnie w pokoju, oglądając pod rząd kilka komedii romantycznych, obydwie płacząc jak bobry. Co ja bym bez niej zrobiła?

Za oknem krajobraz zmienia się na zimowy. Wszystko zasypuje śnieg. Mam nadzieję, że Marię również. Do lutego chodzę przemarznięta i dygocząca. Dopiero w marcu, gdy robi się ciepło, rozumiem, że nie trzęsę się z powodu pogody. Straciłam przyjaciela przez niedopowiedzenia, a może nawet szansę na miłość. Ale tak patrząc z boku, sama sobie trochę w tym dopomogłam. W końcu do mojego mózgu wkrada się kojąca myśl „mam nadzieję, że jest szczęśliwy”. To mnie na chwilę uspokaja. Wiosna jest w tym roku deszczowa i szara, jak ja. Coraz częściej odwiedzam grób babci i dziadka, stojąc długo z parasolem w ręce. I patrzę na pierwsze zasadzone wrzosi. Wspomnienia są jak sól na rany. Ale jest też pozytywna zmiana. Oficjalnie uznano, że mam proste zęby, a aparat zostanie ściągnięty pod koniec kwietnia. Od czasu jego założenia oduczyłam się uśmiechać do ludzi, więc nawet nikt nie zauważy, że już go nie mam. W maju zaczęłam boleśnie tęsknić do Piotrka, a wyobraźnia ciągle podsuwała mi obraz, jak zabiera Marię na przejażdżkę, na łąkę. Dobrzełam do zakończenia roku szkolnego, nawet z całkiem przyzwoitym świadectwem. Kasia też była zadowolona ze swoich osiągnięć. Przyjaźń z nią utrzymuje mnie przy życiu.

A później, po zakończeniu roku szkolnego, odbędzie się bal, na który mieli iść rodzice. O poranku wstaję zła. Chwilę później dochodzi rozgoryczenie. A później wpadam w furję. W myślach widzę przytulonych w tańcu Piotra i Marię, szczęśliwych, planujących wspólną przyszłość. Gratulujących im moich rodziców. Sielanka. A ja siedzę w domu i zwijam się z bólu. Ta wizja powoduje, że schodzę na dół, podchodzę do gotowych do wyjścia rodziców, którzy wyglądają na radosnych i wreszcie znajduję w sobie odwagę na powiedzenie im prawdy. Atakuję tatę, a później płynnie przechodzę do pretensji do nich obojga:

- Nigdy więcej nie opowiadaj w tym domu o Piotрку, bo nie jestem w stanie tego słuchać bez bólu. Twoja grudniowa tyrada na temat Marii, była najgorszym upokorzeniem w moim życiu. A odpalając race do tortu nie miałam pojęcia, że to petarda. Śmiałam się, bo wpadłam w histerię! Byłam cała oblepiona tym gównem, więc pobiegłam to zmyć, bo miałam wszystkiego już dość. A później nie mogłam uwierzyć, że w prezencie urodzinowym straciłam zaufanie w

oczach własnych rodziców i najlepszego przyjaciela, którzy zamiast mnie zobaczyć i wesprzeć, to założyli najgorsze i mnie zostawili! - Kręcę głową, nie tłumiąc już łez i uciekam z pokoju. Zamykam się szczelnie w swojej sypialni i nie odpowiadam, kiedy próbują ją otworzyć. Później słyszę podniesione głosy i trzaśnięcie drzwiami. Poszli na bal. Świetnie.

Jest wczesny ranek, rodzice jeszcze śpią. Pisze szybko sms do ekipy sprzątającej umysł – czyli kolegów z klasy oraz Kaśki. Wymykam się z domu, a godzinę później jestem nad jeziorem. Zamierzam się dziś poopalać. Po chwili podjeżdża wyczekiwany przez mnie samochód. Konrad urodził się w kwietniu i w ramach urodzinowego prezentu dostał od taty nowiutkie audi coś tam coś tam. Czarne. A że kochał jeździć, to woził nas, gdzie tylko zechcieliśmy. Wysiada Kasia i reszta chłopców. Cały dzień spędzamy na plaży, nie chcę wracać do domu. Wieczorem namawiam ich i urządzamy ognisko. Po raz pierwszy w życiu się upiłam. Strasznie śmieszne uczucie, ale jakoś mniej śmiesznie jest na drugi dzień rano. Niestety idąc po wodę, wpadam na tatę:

- To nie przystoi dziewczynce z dobrego domu, żeby wyprawiała takie rzeczy. Jak Cię mama zobaczy w tym stanie, to Ci nigdy tego nie zapomni. A wierz mi, nie ma nic gorszego niż wkurzona matka. Zmykaj szybko do siebie, natychmiast – mówi pospiesznie tata. Dziwne, wygląda bardziej na przestraszonego, że mnie mama zobaczy w tym stanie, niż na wkurzonego, że się do niego doprowadziłam. Kiwam głową w niemym podziękowaniu zrozumienia mojej ciężkiej sytuacji, co zabolalo w okolicach płata czołowego. Biorę szklankę wody, proszek z szuflady i odmaszerowuję do siebie do pokoju.

Będąc już w połowie schodów odwracam się do taty i łykając tabletkę, składam przysięgę, że to się nigdy więcej nie powtórzy. Tata uśmiecha się, pewnie prawie mi wierząc i popędza gestem żebym już sobie poszła. Nagle ktoś puka do drzwi. Myślę, że to pewnie Kaśka, bo zostawiła u mnie w torebce szminkę, a ona ją kocha nad życie, więc ruszam do drzwi. Kto inny mógłby przyjść do kogoś rano w wakacje, w poniedziałek? Nie rozumiem co teraz tata próbuje pokazać mi na migi. Za późno. Otwieram zamasyście drzwi, jak niegdyś babcia. Uśmiech szybko schodzi mi z twarzy. Przecież mógł po prostu krzyknąć, żebym nie otwierała!

- Dzień dobry, Em. – A niech Cię diabli, myślę i gryzę się w język, żeby nie wypowiedzieć tych słów na głos. Następnie patrzę z wyrzutem na ojca, który próbuje uciec z pola rażenia. Wracam wzrokiem do Piotrka, bezczelnie lustrując go z góry do dołu. Skoro on mógł, to i ja mogę. Niewiele się zmienił, za to wygląda na bardzo zdenerwowanego.

- Niedobry, Piotrze – odpowiadam po cichu, wskazując na swoją głowę i przymykając powieki. No to popisałaś się dojrzałością. Teraz przynajmniej rozumiem, dlaczego tata zasugerował mi pozostać dzisiaj niewidoczną, ale zamiast podać prawdziwy powód, którym była wizyta Piotra, zasłonił się wściekłą matką. Uduszę go. Na jego usprawiedliwienie pozostaje fakt, że dopiero przed chwilą zrozumiał, że dziś żadnych gości nie powinnam przyjmować.

- Myślałem, że zdołam dzisiaj z Tobą porozmawiać, ale to chyba nie najlepszy moment – Wow, brawo panie mądrała. Szkoda, że nie chce mi się wymiotować, bo mam ochotę pobrudzić mu te wypucowane buciki. Więc odpowiadam słodkim, niewinnym i pełnym żalu głosikiem:

- Ja też chciałam z Tobą porozmawiać...

- Naprawdę? – pyta wyraźnie zaskoczony, a ja dokańczam zdanie.

- Po ostatnich moich urodzinach pod koniec września – cedzę słowa przez zęby i zamykam z hukiem drzwi. Chwytam się za głowę, bo nie przemyślałam tego trzaskania. Osuwam się po ścianie, płacząc. Jak ja go nienawidzę i uderzam głową w tynk. Znowu brakuje mi tchu.

Szkoda, tylko że nie pomyślałam również o zamknięciu drzwi na zamek, bo Piotr słysząc mój szloch otwiera je szybko, bierze mnie na ręce i zanosz do pokoju na moje łóżko. Powinnam się jakoś bronić, szarpać, ale nie umiem zrobić mu krzywdy. Nienawidzę go jeszcze bardziej. Leżę, a mój płacz przechodzi powoli w ciche łkanie. Chyba na chwilę zasnęłam. Kiedy się budzę, Piotrek nie ma w pokoju. Słyszę na dole ożywioną rozmowę. Jak ja nie mam ochoty na ten cyrk. Idę do łazienki, biorę prysznic, ubieram się w pierwszy lepszy dres i schodzę do salonu. Siedzą w trójkę, wpatrzeni we mnie jakbym miała zaraz odpalić opcję zabijania wzrokiem. Zastanawiam się czemu do cholery oni się mnie boją, skoro to ja zaraz będę mieć przerąbane.

- Usiądź proszę, córciu. Chcemy z Tobą porozmawiać. – Mówi tata, odsuwając dla mnie krzesło obok mamy. Patrzę na niego z nieukrywaniem zdziwieniem i siadam. Przyglądam się każdemu po kolei, na końcu zatrzymując się długo na Piotrze. Nie odwraca głowy.

- Mam kaca – mówię szczerze – pierwszego w życiu – dodaję – i nie mam sił na cokolwiek co sobie teraz wymyśliliście. Z przyjemnością jutro wysłucham Waszych żalów, pretensji, złości na mnie. Ale nie dzisiaj. – Dopiero teraz widzę, że wszyscy patrzą w stół, jakbym to ja miała tajną moc, o której nawet nic nie wiem. – Halo, o co Wam chodzi? To jest niepokojące – mówię niepewnie, wskazując na nich.

- Chcieliśmy Cię bardzo przeprosić – zaczyna tata, a ja po tym jednym zdaniu, wyobrażam sobie co zrobił. Piotr, bał, piękna Maria i mój tata, który psuje im tą wymarzoną chwilę, soczystą przemową na temat moich ostatnich urodzin i wszystkiego co im rano oznajmiłam przed balem. I znów czuję jak tracę oddech. – Ja chciałbym Cię bardzo przeprosić, Emilko. Błędnie założyłem Twoją winę, nigdy nie zadając sobie grama trudu, żeby z Tobą porozmawiać szczerze. A moje późniejsze opowieści, były poniżej krytyki...

Przełykam głośno ślinę. Nie jestem na to przygotowana. Ani na słowa, które padną z ust matki, a już na pewno nie na to, co powie Piotrek. Zaczynam nerwowo oddychać, kiedy zaczyna mama:

- Emilko, jest mi wstyd, że tak Cię wtedy potraktowałam. Ale Twoje zachowanie potwierdzało moje najgorsze obawy. – Dodała próbując się tłumaczyć. Rozumiem, też bym tak postąpiła. Nie ma to już jednak znaczenia. Nie da się cofnąć czasu, a straciłam jakieś poniosłam, żadne słowa nie załagodzą. Z drugiej strony, w tym roku nauczyłam się bardzo wiele o sobie. – Przepraszam, że wyciągnęłam błędne wnioski i byłam dla Ciebie szorstka. Czas od śmierci babci musiał być dla Ciebie bardzo trudny i samotny. Tego żałuję najbardziej. – To mówiąc, mama zaczyna płakać. Świetnie.

Czuję, że zaraz nastąpi chwila, której zupełnie nie chcę. Wstaję więc trzymając się stołu, pokazując całą sobą, że nie dam rady. Łapię się za serce, bo pali jak diabli. To natychmiast

sprawia, że tata łapie mnie za talie i prowadzi na sofę. Krzyczy do mamy, żeby znalazła walerianę. Mama przestaje płakać i zaczyna działać. Piotrek stoi na środku pokoju, nie za bardzo wiedząc, co powinien teraz zrobić. Jakby kompletnie się w sobie zapadł. Tata zwraca się do niego, żeby pojechał do domu i czekał na telefon ode mnie, jak się uspokoję. A ja sobie myślę, że w życiu do niego nie zadzwonię. I omdlewam leżąc. Jak widać mam lepszy sposób od waleriany. Budzi mnie głos obcego człowieka. Okazuje się, że zatroskani rodzice wezwali lekarza rodzinnego. Ten ich uspokoił, powiedział, że jestem w stanie szoku i że potrzebuję teraz ciszy i spokoju. Jak mam mieć ciszę i spokój, jak moje myśli ciągle galopują do Piotrka. Z jednej strony nie chcę go więcej widzieć. Z drugiej chcę usłyszeć, co ma mi do powiedzenia. Z trzeciej wcale nie chcę wiedzieć, co ma mi do zakomunikowania. Patowa sytuacja. Przeleżałam resztę poniedziałku i pół wtorku. W końcu proszę rodziców, żeby przestali wokół mnie skakać i zaczęli traktować normalnie. Udało się.

W środę po południu biorę do ręki telefon. Nieodebrane trzy połączenia, od Kaśki dwa razy i jedno od Konrada. Oddzwaniam najpierw do Konrada, bo pewnie to jakaś duperela. Odbiera i mówi, że chciał tylko spytać, jak dużego mam kaca. I dodaje rozbawiony, że skoro oddzwaniam trzy dni później, to był to całkiem konkretny kac. Gratuluje mi i się rozłączamy. Dzwonię do Kaśki.

- Cześć. Tak wiem, mam Twoją szminkę. Nie zgubiłaś jej. – Wyprzedzam jej pytanie.
- Całe szczęście, już wszystko przeszukałam. Czemu nie oddzwoniłaś natychmiast?! – mówi z pretensją w głosie.
- Miałam małe urwanie głowy. Takie małe tornado w środku domu. To nie jest temat na telefon. – Mówię do niej w skrócie, bo jeszcze nie jestem gotowa na szczerą rozmowę.
- Ok, jasne. Pogadamy w piątek w stajni. Trzymaj się Em, w cokolwiek znowu wdepnęłaś. - Wzdycham głośno i się rozłączam.

Trzeci telefon. Nie, nie zamierzam do niego dzwonić. Chodzę po pokoju i mnie nosi. Schodzę na dół, mówię rodzicom, że idę na rower się przewietrzyć. Znajduję swój zakurzony pojazd w garażu. Sprawdzam opony i ruszam w trasę. Dobrze wiem, dokąd jadę, choć całą drogę wmawiam sobie, że zawsze mogę zawrócić. Po 20 km docieram do miasta, pod dom Piotrka. Byliśmy tu kiedyś kilka razy z moimi rodzicami na obiedzie. Przyglądam się zadbanej fasadzie budynku i przez chwilę zapominam, po cholerę tu przyjechałam. Słońce grzeje jak w piekarniku. Jestem cała spocona, a nie wzięłam wody. To przekonuje mnie, żeby jednak zsiąść z roweru i zapukać do drzwi. Otwiera zdziwiony Pan Tadeusz, a ja wymyślam najgorsze epitety pod własnym adresem, że z góry założyłam obecność Piotrka w domu. Przecież jego może tu nie być! Albo jest i to co gorsza, z Marysią!

- Dzień dobry Panie Tadeuszu, czy zastałam Piotra? – Mówię, czując wyraźnie suszę w moim gardle. Widzę, jak nerwowo przełyka ślinę. Wiedziałam! Jest z Marysią. Już mam się odwrócić, kiedy słyszę:
- Tak, oczywiście Emilko. Jest w ogrodzie. Rąbie drewno na opał – dodał niepewnie, jakby zastanawiał się jak przyjmę tę ostatnią informację. Przypominam sobie, że mamy lipiec.

Podnoszę brew i postanawiam nie komentować. Piotrek musi być na coś mocno wkurzony. Jego tata prowadzi mnie przez hol, do wyjścia na patio. Wskazuje ręką swojego syna, który niestety postanowił pracować bez koszulki. Myślę, że to trochę utrudni naszą rozmowę.

- Dziękuję. – Odwracam się w stronę Piotrka i zapominam, że miałam poprosić o wodę. Nawet Niagara, by teraz nie pomogła. Idę powoli, z nadzieją, że po drodze wpadnę na to, co chciałam mu powiedzieć. Nie widzi mnie. Zbieram się na odwagę, gryzę do krwi wargę, żeby się ogarnąć i mówię:

- Cześć. – A następnie odczuwam ulgę, kiedy siekiera przelatuje mu koło nogi. Nadal ma dwie, jupi! Patrzy na mnie w wyraźnym szoku, a ja podaję mu koszulkę, którą porzucił na pobliskiej ławce. Przez chwilę stoimy gapiąc się na siebie, aż w końcu wydusza:

- Cześć. Miałem nadzieję, że zadzwonisz i dasz mi szansę na rozmowę. Ale nie spodziewałem się, że po tym wszystkim będzie Ci się chciało mnie odwiedzić. Jak się tu dostałaś? – pyta niedowierzając, że mnie widzi.

- Em przyjechała na rowerze, synku – mówi jego tata, zbliżając się ze szklanką wody. Jak to dobrze, że o tym pomyślał! Dziękuję mu i wypijam całą na raz. – O widzę, że jesteś bardzo spragniona. - I puszcza do mnie oko. Oczywiście od razu mam rumieńce. – Mam nadzieję, że niebawem zgłodniejecie, bo za pół godziny zapraszam Was na obiad, na taras. – Po czym odchodzi, nie czekając na odpowiedź. Tak, teraz już wiem po kim Piotr to ma.

- Na rowerze? – powtarza z niedowierzaniem Piotrek. – Przecież to jest ponad 20 km – dodaje. A ja powoli czuję te kilometry w nogach, więc siadam na ławce.

- Tak. Jadąc tutaj doszłam do wniosku, że też sobie kupię motor – mówię jęcząc z bólu.

- Nie wyrażam na to zgody – odpowiada, jakby był moim ojcem. – Wystarczy, że się na coś zdenerwujesz i na pewno zrobisz sobie krzywdę. - No tak, jakie inne zdanie, może mieć o mnie Piotr?

- Bo to ja zawsze sobie sama robię największą krzywdę, prawda? – pytam smutno.

- Dobrze wiesz, że nie to miałem na myśli. Znasz mnie – odpowiada pokornie Piotrek.

- Znałam Cię – poprawiam go szybko i dobitnie. Widzę, że go to boli. Ale to nie jest moja wina. Nie ja do tego doprowadziłam. Ufałam mu, a on mnie porzucił. Wreszcie nazwałam swoje myśli i mi trochę ulżyło.

- Przepraszam. Popełniłem błąd i cholernie tego żałuję. – Słyszę, że głos mu więźnie w gardle i po raz pierwszy widzę go w takim stanie. Jakby miał się zaraz rozkleić. –Zadzwoniłaś do mnie tego wieczoru po urodzinach, ale ja byłem na Ciebie tak zły, że nie byłem w stanie odebrać. Później nie wysłałaś nawet SMS. Twój tata przez cały rok wierzył, że Twoje zachowanie było celowe i wielokrotnie o tym rozmawiał z moim. Słyszałem. Ale tak szczerze Em, kiedy zobaczyłem Cię w tym jeziorze ze znajomymi, byłaś taka szczęśliwa. Jakbyś nareszcie znalazła swoje miejsce, w którym niezależnie od sytuacji, czujesz się dobrze.

- Było minęło, czasu nie cofniemy – mówię szorstko, powoli rozumiejąc, że wszystko nie jest takie proste. - I masz rację, zawiodłeś mnie, ale nauczyłam się z tym żyć. To doświadczenie mnie wzmocniło. Teraz wiem, że nie ma rzeczy niemożliwych do pokonania. Co do ostatniej niedzieli, jak widzisz nadal mam problem z natłokiem skrajnych emocji. Żywię jednak nadzieję, że kiedyś przyjdzie dzień, w którym i to pokonam. – Czuję, że mówiąc to, staję się wewnętrznie silniejsza. Jakby coś przestawiało się w mojej głowie. I chyba to była najdłuższa wypowiedź w moim życiu?

- Tego Ci życzę Em. Mam też nadzieję, że znajdziesz w sobie siłę, żeby mi kiedyś wybaczyć – dodaje niepewnie z nadzieją w głosie.

- Nie żywię do Ciebie urazy, Piotrze. I niczego od Ciebie nie oczekuję. To po prostu wtedy zabolalo. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko, chodźmy na obiad. Zrobiłam się bardzo głodna. - I dumna z siebie, dodaję w myślach. Zapanowałam nad słowami, utrzymałam swoje emocje na wodzy, a w dodatku powiedziałam prawdę na chłodno. Można by pokusić się o stwierdzenie, że ostatnio trochę dorosłam, prawda?

Ruszyliśmy na patio, Piotr idzie za mną. Chciałabym móc się teraz do niego odwrócić i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Ale tyle odwagi nie posiadam. Obiad jest przepyszny. Proszę o dokładkę, co mi się rzadko zdarza. Od razu poprawia mi się humor. Dziękuję za gościnę i zaczynam kierować się do wyjścia.

- Poczekaj, odwiozę Cię. A Twój rower przywiezie jutro mój tata. Mają się u Was spotkać z Twoim tatą na obiedzie. – Dobrze wiedzieć, że mają takie plany. Wnioskuje jednak, że Piotrek nie będzie przy tym obecny. Dziękuję za propozycję, z której chętnie korzystam. Chciałabym spytać, czy Marysia nie będzie mieć nic przeciwko naszej wspólnej jeździe, ale znów gryzę się w język. Jak tak dalek pójdziesz, to do osiemnastki zostanie mi tylko pół.

Widzę już lekko podniszczoną Yamahę i uśmiecham się do niej. Tęskniłam, więc głaszczę ją po zbiorniku paliwa i mówię „dzień dobry”. Jak można się domysleć, Piotrek kręci głową z niedowierzaniem i rzuca mi kask. Wypowiada bezdźwięcznie - wariatka. Mrużę oczy, jak na dorosłego kota przystało, wbijam mu w klatę zapuszczony pazur i mówię szeptem z poważną miną:

- Uważaj kolego, bo się doigrasz. – Po czy siadam delikatnie i powoli za jego plecami. Czekam chwilę odchylona, aż się zniecierpliwi i stęskni za moim rękami, aż w końcu nachyliam się i powoli łapię go za brzuch. Czuję jak długo wypuszcza nagromadzone powietrze. Żałuję, że nie widzę w lusterku jego twarzy. Odjeżdżamy z podjazdu.

Po około 15 km docieramy w okolicę przystanku na Czeremchach. Wspominam ławkę pod drzewem. Jak dużo czas upłynęło i jak bardzo się od siebie oddaliliśmy. Świetnie, znowu szlocham zaciskając ciśniej ręce wokół Piotrka. Ten czując co się dzieje, zatrzymuje motor na przystanku i pyta:

- Chcesz porozmawiać? – Brzmi na zatroskanego.

- Nie. Przypomniało mi się, jak pierwszy raz poznałam Yamahę, o tu, na tej ławce. – Wykorzystuję, że teraz nie widzi mojej twarzy i kłamię jak z nut. Kręci głową z

niedowierzaniem i rusza dalej. Nagle przystaje, zawraca i rusza w stronę swojej łąki. Nie za bardzo mam jak zaprotestować. Daje się zawieźć pod sam las. Ostatnim razem, byliśmy tu, gdy umarła moja babcia. Mam odczucie, jakby to się wydarzyło dopiero wczoraj.

Zsiadamy z motoru, ściągam swój kask i kładę go na ziemi. Ocieram łzy, patrząc przed siebie z groźną miną. Każde z nas jest w swoim świecie. Drzwi do mojego są szczelnie zamknięte.

- Czy moglibyśmy zacząć od początku, Em? – pyta łagodnie.

- Mam udawać, że jestem teraz na wagarach? Czy, że właśnie spadłam z konia? – Nie patrzę na niego, gdy to mówię. Zastanawiam się tylko, gdzie w tym wszystkim jest Marysia!?

- Od nowa, od czegoś czego jeszcze nie było – odpowiada spokojnie.

- W sensie na stopie koleżeńskej czy przyjacielskiej? Sprecyzuj – rzucam chłodno. Ostatnio jakoś przyjaźń nie za bardzo nam wyszła.

- Na stopie damsko-męskiej. – Wygląda jakby mówił poważnie. Przyglądam mu się ze zdziwieniem i powątpiewaniem. Mrużę oczy.

- I jesteś pewien, że na tej stopie to udźwigniesz? – pytam przekornie. Nie uśmiecha się, patrzy prosto w moje oczy. A ja cały czas myślę, gdzie się tu ta cholerna Marysia zmieści.

- Jestem.

- A Marysia? – No masz, musiałam. Po prostu wypadła mi z ust.

- Rozstaliśmy się jeszcze przed balem. To nie była moja bajka. – Na te słowa odwracam głowę, zastanawiając się, czy on jest moją bajką? Nie jestem pewna. Znowu wszystko na raz i za szybko. Nie podoba mi się, oddech mi przyspiesza.

- Myślę, że obecnie musimy najpierw nauczyć się ze sobą rozmawiać, zanim przejdziemy do bajek – odpowiadam ze smutkiem, ale tak właśnie czuję. Od razu się uspokajam.

- Masz rację. Chciałem tylko, żebyś wiedziała jakie mam wobec Ciebie zamiary. To wszystko. – mówi beczelnie pewny siebie, lekko się uśmiechając.

- Mam więc prostą radę dla Ciebie, na przyszłość. Więcej nie zostawiaj mnie bez rozmowy, to może bajka dobrze się skończy. – Gdybym wtedy wiedziała, że moje słowa będą prorocze, to może dobitniej, bym mu to powiedziała. Żeby zapamiętał to zdanie na długie lata.

Dzisiejsza rozmowa z nim, choć wyczerpująca, zakończyła się odrobiną nadziei. Wkładałam kask i czekam, aż zrobi to samo. Nic więcej nie ugramy tymi kartami. W tym czasie, w równoległym wszechświecie mieszącym się w mojej głowie, odnalazłam ciekawą myśl. Pozytywny aspekt tego, że nie widziałam Piotra od września – nie widział mnie w tym koszmarnym aparacie!

Piątkowe popołudnie z Kasią minęło na przyjemnej jeździe, na której mnie sromotnie wymagłowała. Oczywiście, wszystko jej opowiedziałam. Trochę była zaniepokojona, że znowu czeka mnie huśtawka emocjonalna. Obiecałam jej, że nie zamierzam więcej się tak spalać i że tym razem w pełni kontroluję swoje uczucia. Mój wywód podsumowała prychnięciem.

Tata w weekend uroczyście oznajmił, że od przyszłego tygodnia zapisał nas na naukę tańca. Sądził, że się ucieszę. Zmroziło mnie. Nie potrafię tańczyć, jestem sztywna jak kołek. Myślę, że dlatego już rok przed balem postanowił ze mną ćwiczyć. To na pewno będzie niezapomniany bal, już wtedy to czułam.

Sądziłam, że będziemy mieć teraz z Piotrem więcej czasu dla siebie. Pierwsze wakacje razem, oczywiście na stopie koleżeńskej. Na razie. Szybko jednak przekonałam się, że nie będzie to takie proste. Przedpołudnia spędzał na lekcjach jazdy samochodem. Najwidoczniej motor mu już nie wystarczał. Biedna, porzucona Yamaha. Trzy razy w tygodniu odbywał praktyki w firmie ojca. Niestety ja miałam zajęte pozostałe dwa dni. W piątki jeździłam z Kasią do stadniny, a we wtorki odbywałam koszmarnie lekcje walca. Zostały nam więc weekendy. W sobotę spotykaliśmy się na wspólnych obiadach, które były organizowane w różnych restauracjach, w większym gronie kolegów naszych ojców ze świata finansów oraz ich rodzin. Zazwyczaj było dosyć sztywno i nudno. Rekompensowało to pyszne jedzenie. Czasem udało nam się z Piotrkim zamienić kilka zdań na osobności, ale po chwili dołączały do nas pozostałe dzieci inwestorów. Kończyło się na ich opowiadaniu o podróżach po świecie, zakupie nowych samochodów, planach na przyszłość. Pamiętam, że raz spytali o to Piotrka, a ten się zawahał i odpowiedział, że jeszcze nie zdecydował, co będzie robić po maturze. Czasem zapominałam, że jest ode mnie rok starszy i czeka go zaraz wielki świat. Studia, może praca, pewnie u swojego taty – tak zakładałam. Szkoda, że go o to wtedy nie dopytałam!!

W niedzielę często jeździliśmy nad jezioro, oczywiście z moją szkolną ekipą. Czasem dołączał do nas Piotrek z kolegą Markiem i jego dziewczyną Asią. Bardzo ich polubiłam. Na szczęście wszyscy jakoś się ze sobą dogadywali. Czułam tylko przeszywający mnie wzrok Katarzyny, która analizowała każdy mój gest i słowo wypowiedziane do Piotrka. Miałam wieczną ochotę ją utopić. Szczególnie, gdy za pierwszym razem się tam pojawił.

To było w połowie lipca. Leżę na plaży z Kasią i opalamy swoje boskie ciała, a chłopcy rzucają piłkę do rugby w wodzie – chyba wynaleźli nowy sport, w którym są całkiem nieźli. Konrad raz na czas zerka w naszą stronę. Przypuszczam, a nawet jestem przekonana, że nie patrzy wtedy na mnie. Ciekawe czy Kaśka zdaje sobie z tego sprawę? Myślę, że sama musi do tego dojść, więc uśmiecham się tylko pod nosem i nic jej nie mówię. Pozostała dwójka: Tomek i Filip są jak ogień i woda – ciągle się o coś kłóć i droczyć. Ale dzięki temu nigdy nie ma nudy. Bardzo się do nich wszystkich przywiązałam.

Nagle dzwoni telefon. Podrywam się jakby bomba spadła obok mnie. Kaśka patrzy na mnie z dezaprobatą. Krzywię się przepraszaając i szukam komórki w torebce. Jak zwykle się gdzieś ukryła, mamrocze i wyrzucam wszystkie drobiazgi na piasek. Jest, mam. A potem myślę, o nie. Kaśka patrzy czujnym okiem, a ja zerkam to na nią, a to na telefon. Piotrek dzwoni.

- Mam Ci powiedzieć, jak się odbiera? Taka zielona słuchawka, spróbuj delikatnie ją nacisnąć.
– Mówi, robiąc sobie ze mnie żarty. Należało mi się.

- Cześć. – Dukam zdyszana do telefonu, jakby nagle przebiegła maraton. Kaśka kiwa głową na boki z niedowierzaniem.

- Cześć. Gdzie jesteś? - No i co mam mu teraz powiedzieć, że „jestem na plaży”? On wtedy spyta, „co tak dyszysz?”. A ja, że „odbieranie telefonu jest bardzo męczące”?

- Pojechaliśmy nad jezioro trochę się poopalać i popływać. – Genialna odpowiedź sama przechodzi przez moje usta. – Chłopaki próbują grać w rugby, ale ewidentnie brakuje im osób do gry – opisuję dalej sytuację w jakiej się znajduję, nie widząc konsekwencji mojej wypowiedzi.

- Rugby mówisz. No cóż, w podstawówce graliśmy z Markiem w jednej drużynie. Zaraz do niego zadzwonię i do Was przyjedziemy. Zobaczymy co Ci Twoi koledzy potrafią – mówi z przekorą i oczywiście się rozłącza. A ja patrzę w telefon i nie wierzę. Co ja zrobiłam! Muszę być bardzo blada, bo Kaśka pyta, czy potrzebuję reanimacji już, czy za chwilę. Odpowiadam jej środkowym palcem i padam na ręcznik, jęcząc głośno. Już nie czuję się jak bogini na plaży. Zaczynam analizować sytuację. Nie pomalowałam paznokci u nóg. Dostrzegam kilka niedogolonych włosków na łydkach. Brzuch może i płaski, ale niezbyt wysportowany. Skóra blada, bo wiecznie używam kremu z mocnym filtrem. Strój kąpielowy zeszłoroczny, niestety zdecydowanie bardziej wypełniony tego lata krągłościami. Powinnam była kupić sobie nowy! Twarz nieumalowana, włosy rozpuszczone, mokre od wody i brudne od piasku. Wydaję z siebie cichy jęk. To będzie katastrofa. Chłopcy wybiegają z wody i kropią nas jej resztkami.

- Co tam dziewczyny? Może byście gwiazdy jakkolwiek się dziś poruszały? – pyta ironicznie Konrad.

- Jeśli czujesz się znudzonym, to zaraz przyjedzie jej Piotrek z kolegą i zamierzają z Wami pograć – odpowiada uśmiechnięta Kaśka, a ja na to słowo „jej” kulę się w sobie.

- O, czyżby ten sławetny Piotrek, którego nigdy więcej nie chciałaś widzieć na oczy Em? – dopytuje rozbawiony Konrad.

- W rzeczy samej. – I dodaję. – Sytuacja uległa zmianie. Powiedzmy, że daliśmy sobie szansę na nowy początek.

- To wspaniale, im nas więcej tym weselej! – wtrąca Tomek, próbując w tym samym czasie podciąć Filipowi nogi i powalić go na ziemię. Oni chyba nigdy nie dorosną i kompletnie nie mają z tym problemu.

Pół godziny później słyszę dźwięk ulubionego motoru, ale zamiast radości, czuję jak tonę bez wchodzenia do wody. Siadam na ręczniku. Kaśka też siada. Przygląda mi się uważnie i pyta:

- Czy chciałabyś zostać teraz spoliczkowana, w celu przywrócenia kolorów na Twojej twarzy? To wszystko dla Twojego dobra, Em. - Mrużę groźnie oczy, na co odpowiada mi tym samym. Trwamy tak przez chwilę bez ruchu. Podchodzi Konrad i mówi, spoglądając to na jedną, to na

drugą, że jeszcze nigdy nie widział walki kotów na piasku, czym wywołuje śmiech u niebezpiecznie już blisko stojącego Piotрка. Chłopcy podają sobie dłonie, przybiega Tomek i Filip. Oni również się z nim witają.

Nadchodzi jakaś para w naszą stronę – to pewnie Marek ze swoją dziewczyną. Następuje wzajemne przedstawianie się, co wymaga ode mnie podniesienia tyłka z ręcznika. Czuję na sobie palący wzrok i nie muszę się odwracać, żeby wiedzieć do kogo należy. Tym razem nie do Kaśki. Gdy już formalności zostały dopełnione, chłopcy ruszają w stronę wody na dalsze rozgrywki. Piotrek kładzie swój ręcznik niebezpiecznie blisko mojego, ściąga koszulkę i biegnie z Markiem do jeziora. Słyszę Kaśkę:

- Oddychaj.

- Spierdalaj. – Wrywa mi się brutalnie. Sama siebie nie poznaję, więc spuszcza głowę w zawstydzeniu. Kasia z Asią patrzą po sobie i wpadają w gromki śmiech. No tak, mam przesrane po całości, a je to bawi. Chłopcy na ich radosny wybuch, patrzą w naszą stronę. Na szczęście są za daleko, by nas mogli usłyszeć.

Dziewczyny świetnie się dogadują, szybko znajdują wspólne tematy. Czuję się trochę zbędna, ale nawet nie próbuję nic zmienić. Muszę się uspokoić. W końcu odnajduję mentalny zen i wstaję.

- A Ty, żuczku, gdzie się wybierasz? – pyta mnie z ironiczną troską w głosie, Kaśka.

- Popływać. Tu jest za gorąco, jak dla mnie – odpowiadam wykończona psychicznie.

- A, rozumiem. Myślisz, że jak do nich pójdziesz, to się schłodziś? – Znowu topię ją w myślach, a Asia chichocze.

- Myślę, że jeśli tu dłużej zostanę, to zaraz się ugotuję i to przeważało na mojej decyzji skorzystania z uroków zimnej wody – mówiąc to, ruszam w stronę jeziora. Słyszę, że się zrywają, jak moje prywatne muszkieterki, gotowe rozprawić się z konsekwencjami złego wyboru, jakiego właśnie dokonałam.

Chłopcy są tak zajęci grą, że nawet nie zauważają jak dumnie kroczymy po piasku. Znowu czuję przypływ wewnętrznej bogini i z uśmiechem na twarzy zanurzam stopę w wodzie. Zadziwiająco ciepła, myślę. Dziewczyny stoją w odległości metra, po obu moich stronach, wyglądając, jakby chciały mnie przed czymś ochronić. Nie zauważam, że zagrożenie nadciąga od strony jeziora. W ostatniej chwili widzę wysoko i szybko lecącą piłkę, która nagle nurkuje w dół, wbijając się w płyciznę, kilka centymetrów przede mną. Kiedy rozbryzg piachu zmieszanego z wodą obsypuje mnie aż po czubek głowy, zamykam oczy, gotowa udusić osobę, która rzuciła piłkę. Dziewczyny jęknęły przestraszone, również z powodu mojego wyglądu, a ja słyszę, jak Piotrek woła, przekrzykując śmiejących się kolegów:

- Przepraszam! – Ty dziadu, myślę. Ostentacyjnie ocieram twarz, piersi i nogi, schylam się po piłkę i wąż ją w rękach. Zanim zdążę ją w niego rzucić, choć zakładałam, że i tym razem się uchyli, Kaśka mi ją wrywa. Nie spodziewałam się tego zupełnie.

- Dlaczego? – pytam wyraźnie zaskoczona.

- Bo możesz go nią teraz zabić. Widzę, to w twoich oczach. A później będziesz tego żałować. Muszę uratować Cię przed samą sobą, docen to, zamiast się na mnie wkurzać. – Myślę, że jej zachowanie docenię jutro. Teraz jednak moje wszystkie emocje zmieniają się w narastającą złość, skupioną na Katarzynie.

- Kociaki kontratakują! – woła Konrad, ale między mnie, a Kaśkę wpada nagle Piotrek, łapie mnie za ramiona i pyta czy nic mi nie jest. Niechętnie patrzę na niego.

- Oprócz urażonej dumy, nic – odpowiadam przez zęby. Czuję, jak wszyscy nagle zastygają i przestają oddychać. Patrzę po znajomych. Nie sądziłam, że mam na nich taki wpływ. – Muszę to z siebie splukać, przepraszam – w końcu odzywam się z rezygnacją i odsuwam od Piotrka. Ruszam samotnie na głębszą wodę. Pływam, póki się całkiem nie opanuję. Wychodząc z jeziora, wyciskam wodę z włosów i przeczesuję je palcami. Mam wrażenie, że ktoś na mnie patrzy. Rozglądam się po plażowiczach. Filip z Tomkiem zajądają się zapiekankami, Marek i Asia leżą przytuleni, a Kaśka dyskutuje o czymś z Konradem. Piotr siedzi na ręczniku, patrząc centralnie na mnie. Mam do przejścia jakieś 20 metrów, żeby do nich dotrzeć, a każdy krok sprawia, że czuję się coraz bardziej naga. Żałuję, że nie mam okularów przeciwsłonecznych, żeby chociaż oczy zasłonić, nie mówiąc już o chęci nałożenia kominiarki, w celu ukrycia rumieńców. W odległości 10 metrów zaczynam marzyć, o ruchomych piaskach, które teraz mogłyby mnie pochłonać, żebym tylko nie musiała iść dalej. Ale jakimś cudem wytrzymuję rosnące między nami napięcie i patrząc mu w oczy, podchodzę mówiąc:

- Chyba nie jest nam dane, Piotrze, pograć ze sobą w piłkę. Zdziwiająco źle się to zawsze kończy, nieprawdaż? – pytam, starając się utrzymać wszystkie gotujące się we mnie emocje. Cisza jaka nastąpiła, potwierdza moje najgorsze przypuszczenia, że wszyscy nasi znajomi są ciekawi naszej relacji. Trochę też przerażeni. Nawet Tomek i Filip przestają jeść. W zasadzie specjalnie podkładałam się Piotrkowi, żeby mógł teraz publicznie zrugać mnie za moją niekontrolowaną emocjonalność, która utrudnia jakąkolwiek grę ze mną, kiedy on odpowiada:

- Myślę, że będzie bezpieczniej, jeśli zostaniemy przy naszych jabłkach. – I uśmiecha się tak, że odbiera mi mowę. Odwzajemniam uśmiech i kładę się obok na ręczniku, z głupkowatym wyrazem twarzy. Nikt nie rozumie, naszej wymiany zdań. Przynajmniej przestaję myśleć o Kaśce. Choć w głębi duszy życzę jej, żeby Konrad ją pożarł w całości...

Wakacje strasznie szybko się kończą. Chciałabym, żeby potrwały jeszcze kilka miesięcy. W pierwszym dniu trzeciej klasy oznajmiam mamie, że tegoroczne urodziny spędzę w domu z najbliższymi przyjaciółmi, co przyjmuje z wyraźną ulgą. Pewnie myśli, że jeśli mam narobić wstydu, to przynajmniej nie przed znajomymi jej i taty. Zapraszam ekipę, oficjalnie poszerzoną o trzech nowych członków ze strony Piotrka. W planach mam ogrodowe party, bez tortu i świeczek, za to z mnóstwem kolorowych ciasteczek prosto od babci z Hiszpanii. Tym razem dziadki nie zamierzają przyjeżdżać, choć bardzo żałują – dziadek się rozchorował i słabo się czuje. Z dorosłych osób zapraszam wyłącznie moich rodziców i tatę Piotrka. Jego ojciec pęka z dumy, bo pod koniec wakacji Piotrek zdał na prawo jazdy za pierwszym razem. W tajemnicy powiedział mojemu tacie, że na jego 18-te urodziny, które są w grudniu, planuje

kupić mu samochód. Tata oczywiście powtórzył wszystko mamie, a ja przypadkowo usłyszałam. Dzięki temu i ja mam teraz pomysł na prezent dla niego. Oprócz oczywistej propozycji odkupienia jego motocykla.

W dniu skromnego przyjęcia, ozdabiam wszystkie stoły czerwonymi, soczystymi jabłkami. Już nie mogę się doczekać miny Piotrka. Tym razem ubieram błękitną sukienkę, która bardzo podkreśla kolor moich granatowych oczu. Kasia przyjeżdża wcześniej, przed wyznaczoną godziną. Stwierdza, że musi odbyć inspekcję. Lustruje mnie wzrokiem, a następnie zaczyna chodzić po domu udając, że szuka niebezpiecznych materiałów. Później przyjeżdżają wszyscy na raz, więc powstaje mały chaos. Wyprowadzam towarzystwo do sadu, gdzie ustawiłam wcześniej stoły. Kaśka ze zdziwieniem patrzy w niebo i mówi głośno, że to niespotykane, ale chyba dzisiaj nie będzie burzy, więc jest szansa, że przyjęcie się uda. I wydęła usta w irytującym grymasie. Wszyscy parsknęli śmiechem, oprócz Piotrka, który patrzy na mnie, wgrzyzając się w jedno z jabłek. Myślę, że gdybym kiedyś policzyła ilość moich nagłych bezdechów przy tym człowieku, to okazałoby się, że częściej przy nim nie oddycham, niż oddycham.

Impreza przebiega w miłej, rodzinnej atmosferze. W zasadzie po latach, ciężko mi przypomnieć sobie o czym rozmawialiśmy. To był sympatyczny wieczór i tyle z tego pamiętam.

W październiku dostajemy taką masę zadań i projektów, że dochodzę do siebie dopiero w grudniu. Piotrek też pisze, że przed maturą ma teraz mało czasu. Lekcje tańca z tatą idą jak po grudzie, kompletnie tego nie czuję. Z każdym upływającym dniem narasta we mnie napięcie, że nie dam rady. A tata patrzy na mnie ze smutkiem. Kaśka oficjalnie chodzi z Konradem – szybko poszło. Ale zdecydowanie łatwiej rozwijać relację, kiedy widzisz się z kimś na co dzień. Zazdroszczę im takiej możliwości. Niestety powoduje to negatywne konsekwencje dla mnie. Jedyne mój kontakt z Kasią, kiedy możemy ze sobą porozmawiać w cztery oczy, mam w piątki na koniach. A wyłącznym tematem naszych rozmów, jest jej związek. Znowu czuję się samotnie. Jakby każdy żył we własnym wszechświecie. Tylko mój, jest bardzo pusty.

Dostałam zaproszenie na imprezę 18 grudnia. Dzień, w którym Piotr osiągnie pełnoletność. Jego tata poszalał i zaprosił prawie 100 osób! Chyba nigdy nie byłam, na tak hucznym wydarzeniu. Kaśka dopytuje, czy mam sukienkę. Ona rezerwuje czerwień, jakby w ogóle brała pod uwagę, że mogłabym kiedykolwiek wybrać taki kolor? W sobotę 4 grudnia siedzę w salonie, nerwowo przeglądając strony internetowe z sukniami wieczorowymi. Tak się wierzę na krześle, że w końcu podchodzi do mnie mama i patrzy mi przez ramię.

- Masz już coś na oku? – pyta niepewnie.

- Te trzy są całkiem ładne. – I pokazuję jej zapisane zrzuty z ekranu. Wszystkie są do siebie podobne, w kolorach kremowo-różowych.

- A nie wolałabyś trochę zaszaleć? – Nie za bardzo wiem, o jakich szaleństwach wolno mi myśleć, więc milczę zamiast odpowiedzieć. – To znaczy, pójść w bardziej wyraziste kolory? – dodaje mama.

- Jest jedna sukienka, ale chyba byłaby przesadnie rzucająca się w oczy. – Otwieram podstronę, na której widnieje jej zdjęcie. Mama rozdziawia usta. Czuję, że mój pomysł właśnie odpadł. – Wiem, strasznie ciemny kolor i jeszcze taka krótka... Poza tym zawsze ubieram się na jasno.

- Nie, ależ skąd! Jest przepiękna. Zdecydowanie powinnaś ją kupić! – Moja mama nie przestaje mnie zadziwiać. Szukam potwierdzenia w jej postawie i nie znajdując dysonansu z tym, co właśnie powiedziała, klikam „dodaj do koszyka”. Fajnie, jedno z głowy. Teraz muszę zamówić bilety na koncert. Piotrek kiedyś mówił do chłopaków nad jeziorem, że przyjeżdża jego ulubiony zespół, ale niestety to jest gdzieś na Mazurach i nie za bardzo ma jak tam dojechać bez auta, więc w tym roku musi odpuścić. A skoro dostanie samochód, to otrzyma również i bilet. Dwa bilety oczywiście. Tak to sobie chytrze zaplanowałam. Znajduję odpowiednią stronę, kupuję i drukuję prezent. Szczelnie zaklejam w srebrnej kopercie i podpisuję „Dla Solenizanta”. Super, a teraz wracam do nauki...

Parę dni później przysłali aksamitną sukienkę w kolorze głębokiego, ciemnego granatu. Gdy ją widzę na żywo, zaczynam nerwowo krążyć po pokoju, myśląc, że chyba kompletnie oszalałam. Przymierzam. Ma długi rękaw, ale z dużym dekoltem, w dodatku ciasno przylega do górnej części ciała. U dołu rozszerza się i pięknie układa podczas obrotu. Wchodzi mama i uśmiecha się niekontrolowanie. Szybko woła tatę. Ten jest bardziej sceptyczny. Później dodaje, że na szczęście to urodziny Piotrka, na pewno będę bezpieczna. To sprawiło, że znów zaczynam mieć wątpliwości, czy to jest dobry pomysł, żeby ją ubierać. Moje negatywne rozmyślenia popiera Kaśka, która w dniu imprezy przyjeżdża do mnie wcześniej. Rodzice mają z nami pojechać, więc zawiozą nas do wynajętego przez Piotra dworku.

- Nie ma mowy – stwierdza na mój widok. – W tej sukience wyglądasz tak, że musiałabym mieć paralizator, żebyś wyszła z tych urodzin cała! – Dobrze, że taty nie ma w pokoju, bo pewnie faktycznie, by mnie teraz nie wypuścił z domu.

- Czy mówiłam Ci już, że Marysia będzie na imprezie? – odpieram atak z wymuszonym uśmiechem. Wiem, że ta informacja zmieni wszystko. Kaśka jęczy i mówi:

- Masz tu moją szminkę, tylko użyj, jak wysiądziesz z auta, żeby Twoja mama mnie nie zabiła. – Odczytuję jej słowa jako cichą zgodę i schodzimy na dół do samochodu.

Dojeżdżamy po 25 minutach. Parking jest prawie pełny, a zostało jeszcze piętnaście minut do oficjalnego rozpoczęcia. Żałuję, że nie przyjechaliśmy wcześniej. Łatwiej jest wchodzić na pustą salę, a teraz wszyscy będą się na nas patrzeć. Mama mówi, żebyśmy nie czekały na nich i macha do nadchodzących znajomych ze strony taty. Biorę Kasię pod łokieć, cała drżąc. Patrzy na mnie i przypomina mi o szmince. Szybko aplikuję to dziadostwo i przeglądając się w telefonie. Faktycznie fajna ta szminka. Telefon nagle dzwoni, prawie wypada mi z ręki.

- Cześć, gdzie jesteście? – odzywa się Piotrek.

- Właśnie przyjechaliśmy. Idziemy z Kasią przez parking, zaraz dotrzemy do budynku. – Słyszę ciszę, więc mówię „halo”. Nie do wiary, rozłączył się. Już mam go soczyście zwymyślać do

Kaśki, kiedy kątem oka dostrzegam, że Piotr staje w drzwiach, patrzy na mnie i po dłuższej chwili zbiega po schodach.

- Twój tata do mnie napisał, że powinienem Wam towarzyszyć przy wejściu. Ale sądziłem, że niesiecie bardzo duży prezent dla mnie... teraz jednak chyba rozumiem, co miał na myśli. – To mówiąc, lustruje mnie od stóp do głów. Robi mi się słabo. Od razu wtrąca się Kaśka:

- No cóż, cieszę się, że tu jesteś, bo obawiam się, że ja tego – to mówiąc wskazuje ręką na moją osobę - dziś nie ogarnę. – Wymija Piotrkę i rusza w poszukiwani Konrada. Miło. Zdobywam się na mój najszybszy uśmiech i mówię:

- Wszystkiego najlepszego Piotrze. – Staję w szpileczkach na palcach, żeby pocałować go w policzek, na co mi pozwala. Odsuwam się i pytam ze śmiechem. – To co, gotowy na katastrofę?

- Nie, ale czy mam wyjść? – pyta rozbawiony, a ja kiwam głową, że nie bardzo. Chwytam go pod rękę i idziemy na salę. Oczywiście, że wszyscy na nas patrzą, ale teraz mogę sobie wmawiać, że patrzą na solenizanta. A kiedy dostrzegam w tłumie Marię, od razu się prostuję. Piotrek na szczęście prowadzi mnie do naszej ekipy, a nie do niej. Nie mam ochoty jej poznawać. Chłopcy gwizdzą przeciągle, co komentuję mocno mrużąc oczy w udawanej dezaprobacie. Asia rzuca mi się na szyję, odsuwa i zakręca mną wokół.

- Wyglądasz jak laleczka, Em! Taka do schrupania. – No cóż, na komentarze chłopców w miarę się przygotowałam, ale tego się nie spodziewałam. – Piotrek nie mógł dostać lepszego prezentu. – Zatkęło mnie. Z odsieczą rusza Kaśka, bo widzi, jak robię się biała z powodu braku dostępu tlenu.

- Myślę, że Em nigdy nie pozwoliłaby na to, by jakikolwiek facet na świecie, potraktował ją jako swoje trofeum – karci Asię. I udaje mi się wziąć wdech. Posyłam jej uśmiech pełen wdzięczności. Nie patrzę na Piotrkę, to teraz niezbyt bezpieczne. Podchodzi do nas jakiś Pan. Mówi do niego, że wszyscy już są i można zaczynać. Piotrek przeprasza nas i odchodzi w stronę swojego taty.

Potem następuje uroczyste powitanie gości, przemówienie jego ojca, a następnie zapraszają do tańca i poczęstunku. Muzyka zaczyna grać, a na parkiecie pojawiają się pierwsze pary, głównie w wieku naszych rodziców. Wychodzę ze znajomymi na zewnątrz. Mam nadzieję, że tam znajdę coś dobrego do degustacji. I mam rację. Stoły uginają się od przystawek i ciasteczek. Jestem w raju! Kaśka chwyta mnie za łokieć i mówi do ucha, tak żeby nikt nie słyszał:

- Nie tak prędko laleczko. Jak objesz się ciastek, to będziesz wyglądać w tej sukience, jakbyś była co najmniej w 5 miesiącu. A tak się składa, że Marysia cały czas na Ciebie patrzy. - Dołącza do nas Piotrek, więc nie mam nawet czasu ocenić, jak daleko jestem od celu rażenia.

- Głodna? – pyta rozbawiony i pewny, że zaraz będę mieć pełny talerzyk.

- Szczerze, to nie bardzo. – Widzę, że sprawiło mu to przykrość. – Ale za chwilę, na pewno czegoś spróbuję – dodaję pospiesznie, bo w końcu to jego urodziny i powinien być zadowolony.

Co chwilę podchodzą do niego różne osoby i składają życzenia. Parę razy gdzieś z gośćmi odchodzi, zawsze upewniając się wcześniej, czy jestem z kimś obok. Za trzecim razem przewracam wyraziście oczami, bo chyba trochę przesadzają. Kaśka mruga do Piotrka i szturcha mnie w brzuch, a ja zginam się w pół udając, że umieram z bólu. Piotrek patrzy na nas z powątpiewaniem i odchodzi. Nadal nie dałam mu prezentu.

W końcu przychodzi kulminacyjny moment. Na salę wnoszą tort. Piotrek patrzy na mnie i uśmiecha się do mnie konspiracyjnie. Później pokazuje na migi Kaśce, żeby mnie teraz przytrzymała, a moja ekipa pęka ze śmiechu. Widzę, że mama z tatą też się śmieją. Po zjedzeniu ciasta, jego tata wychodzi na środek sali i zaprasza wszystkich gości przed dworek, na parking. Dodaje jednak szybko, by nie wsiadali do swoich aut i nie odjeżdżali, bo impreza jeszcze się nie skończyła. Wszyscy spodziewają się, co teraz nastąpi. To dość popularne, że dzieciaki z bogatych rodzin dostają swój pierwszy samochód przy okazji 18-tych urodzin. Patrzę na Piotrka, jest trochę zdenerwowany. Chyba też nie lubi być tak długo w centrum uwagi.

- Hej, jak Ci się nie spodoba, to możesz mi sprezentować. – Mówię szczerząc się do niego. Widzę, że go to rozbawiło, więc kontynuuję wychodząc z nim do holu. – A tak na marginesie. Gdybyś chciał sprzedać swój motocykl, to byłabym...

- Nie ma mowy – przerywa poważnym głosem. – Jeśli będziesz potrzebować się przejechać, to wystarczy, że zadzwonisz. - A potem puszcza oko i kieruje się do wyjścia przed budynek. Specjalnie zwalnim i zostaję z tyłu ze znajomymi. Fajnie jest z nim spędzać tyle czasu, ale nie chcę, żeby ktoś wysnuł za daleko idące wnioski. Cóż, Kaśka by teraz powiedziała ironicznym głosem – trochę na to za późno, Em.

Widzę szczerą radość malującą się na twarzy Piotrka, kiedy oficjalnie odsłania pokrowiec. Czyli to jest auto jego marzeń. Pomyślałam, że gdybym była czyimś rodzicem, to raczej nie kupiłabym swojemu dziecku samochodu, z tak mocnym silnikiem. Oczywiście w trosce o jego życie. Ale Piotrek jak na swój wiek jest opanowany i stabilny emocjonalnie, nie to co niektórzy. Tak, mam na myśli siebie. Trzy literki z przodu załśniły na czarnej karoserii, a M3 jest wypisane ze wszystkich stron. Ładna Misia, myślę. Piotrek wyjmuję kluczyki z kieszeni, wsiada i szybko odjeżdża. Wszyscy są bardzo podekscytowani. Większość gości wraca na salę. Po małym kółku na parkingu podjeżdża pod schody, gdzie stoimy z ekipą, otwiera drzwi od strony pasażera i mówi do mnie:

- Wskakuj. – Chyba szpilki zapuściły korzenie, bo nie mogę ruszyć nogami. Kaśka mnie popycha. Prawie spadam ze schodów. Rzucam morderczy wzrok za siebie w ramach podziękowania i wsiadam do auta. A potem przytulam twarz do przedniej deski.

- Co Ty robisz? – słyszę, gdy Piotrek siada na miejscu kierowcy. – Zapnij pasy, Em.

- Ona jest taka mięciutka – mówię, głaszcząc deskę. – Sam zobacz.

- Ona? Nigdy nie zrozumie Twojego traktowania rzeczy jak istoty żywe. – Odpala silnik, a ja zapinam pasy.

- Wszystko jest kwestią pojmowania materii, Piotrze – wyjaśniam mu powoli. Wygląda jakby był w szoku, dziwnie mruga oczami i bez słowa rusza.

- Nie dostałem od Ciebie prezentu. – Nagle stwierdza, zerkając na mnie.
- Bo musiałam poczekać, aż dostaniesz ten. Tylko musisz się gdzieś zatrzymać. – Widocznie zadowolony, parkuje wóz na końcu placu. Wyciągam szybko kopertę z torebki, zanim zdąży mieć dwuznaczne myśli i podaję mu, jeszcze raz życząc wszystkiego co najlepsze. Wyjmuje dwa bilety i unosi brwi, a po przeczytaniu śmieje się radośnie.
- No tak, masz rację, teraz to ma sens. – Zastanawiam się czy chodzi mu o kolejność otrzymywania podarków, czy o to, że bilety są dwa. – Dziękuję, już nie mogę się doczekać, kiedy tam pojedziemy. – Uzyskuję pewność, komu da drugą wejściówkę, więc oblewam się rumieńcem. Piotrek zaciska mocniej ręce na kierownicy i rusza. Wyjeżdża na boczną drogę, prowadzącą do magazynów na terenie parku i patrzy na mnie z wyraźnym wyczekiwaniem na moją zgodę. Nie myśląc długo, przytakuję klaszcząc w ręce. Patrzy zadowolony przed siebie i wciska gaz do oporu. Hm, może nie do końca jest taki opanowany, jak zakładałam? Z ogromnymi wypiekami na twarzy wracamy do dworku i dołączamy do reszty naszych znajomych.
- Nawet nie pytam, jak było. Obydwoje wyglądacie, jakbyście nie wiadomo co tam robili! – Karci nas od wejścia Kaśka.
- To przez Misię – odwarkuję, chcąc uciąć temat. Wszyscy na mnie patrzą.
- Jaką Misię? – pyta zdziwiony Piotr.
- No, Twoje M3, tak ją nazwałam – stwierdzam zdziwiona, jak mógł się nie domyśleć.
- A to dobrze wiedzieć. Czy mój motor też ma jakieś imię? – dopytuje zaskoczony.
- Oczywiście, że tak. Yami – odpowiadam z irytacją w głosie.
- Czemu ja spytałem – mówi powoli, udając zrezygnowanego, a wszyscy się śmieją. Nagle poważnieje, nerwowo zaciska palce u rąk i mówi niepewnym głosem:
- Em, chciałbym Ci kogoś przedstawić. – Patrzy w moje oczy, wyczekująco-prosząco, z lekkim strachem. Dobrze, wiem o kogo mu chodzi. Kaśka wbija Konradowi paznokcie w rękę. Miałam nadzieję, że ten moment już nie nastąpi. Przecież zaraz wszyscy mają rozjechać się do swoich domów. Czuję, jak pali mnie od środka, a to oznacza tylko jedno. Zbliża się atak paniki.
- Spodziewałam się, że mnie o to poprosisz i szczerze, to niezbyt chętnie z Tobą do niej pójde. – Muszę mówić prawdę, żeby mnie zrozumiał. – Nie czuję się w tej sytuacji ani pewnie, ani komfortowo i muszę wiedzieć, że zdajesz sobie sprawę z tego, że może to doprowadzić do kolejnej imprezowej katastrofy?
- Wiem – odpowiada smutno, zwieszając przy tym głowę. Przynajmniej nie stara się kłamać.
- Prowadź – mówię. Idę obok niego we wskazanym kierunku, choć mam ochotę wybiec do ogrodu i zniknąć. Piotrek nagle łapie mnie za łokieć i szepcze do ucha:
- Zerwałem z nią w maju, bo nawet kiedy przestaliśmy mieć ze sobą kontakt, to ciągle myślałem tylko o Tobie. Powiedziałem jej o tym, a ona poprosiła, że jeśli kiedyś się pogodzimy,

to chciałaby Cię poznać. – Przytakuję ze łzami w oczach. Ta opowieść mnie zaskoczyła. Nie przypuszczałam, że Piotr żywił wtedy do mnie jakiekolwiek uczucie. Cholera, nie mogę teraz uciec, to byłoby nie w porządku.

Maria stoi z rodzicami i ich znajomymi. Kiedy nas dostrzega, odsuwa się od nich, ruszając w naszym kierunku. Zastanawiam się, czy Piotr najpierw powie: Marysiu czy Emilko, a może Mario i Emilio. Tak, to ma ogromne znaczenie!

- Em, chciałem żebyś poznała Marię. – Grzeczny chłopiec, myślę. – Mario, to jest Emilia. – Normalnie szóstka.

- Cześć. – Maria nieco zawstydzona wyciąga do mnie rękę. W pierwszej chwili mam ochotę ją pacnąć, ale wiem, że pół sali na nas patrzy. Czuję ich wzrok na karku. Oby Kaśka już zorganizowała butlę z tlenem i karetkę przed wejściem. I to raczej z myślą o mnie, nie dla Marii. Chociaż, kto wie?

- Cześć. – Odpowiadam i podaję swoją dłoń. Jej jest ciepła, ale strasznie delikatna. Cofam więc szybko rękę, żeby przypadkowo nie ścisnąć jej dłoni za mocno. A mam na to dziką ochotę.

- Jak Ci się podobało? Piotrek wyglądał, jakby dostał gwiazdkę z nieba – pyta frywolnie Maria.

- No raczej. – Uśmiecham się lubieżnie i przeczesuję włosy. A potem myślę, ale to było słabe z mojej strony. Na moje usprawiedliwienie, mam bujną wyobraźnię i Marysię widziałam z Piotrem już chyba we wszystkich możliwych pozycjach w mojej chorej głowie. – A, mówisz o samochodzie? – dodaję z udawanym rozczerowaniem w głosie. Piotrek dobrze wie, że odstawiam szopkę. Już mam mu burknąć, że przecież obiecałam podejść, a nie że będę miła, kiedy mówi stanowczo:

- Em jest z natury dobrą osobą, ale gdy czuje zagrożenie, przeistacza się w prawdziwą bestię, skłonna zniszczyć każdego kto stanie na jej drodze. – I rzuca jej przepraszające spojrzenie. Gdzie do cholery jest moja butla z tlenem!? Wbijam wkurzone oczy w Piotra i potakuję głową.

- Tak, nie jest to dla mnie najprzyjemniejsze, kiedy jestem zmuszana do spokojnego stania między dwójką ludzi, z których jedno kochałam, a drugiego nienawidziłam. – Dlaczego ja to mówię na głos! Pora na karetkę. Maria uśmiecha się smutno ze zrozumieniem i spuszcza na chwilę głowę. Potem odpowiada:

- Masz rację, przepraszam. Zmusiłam Piotra do obietnicy, której jak widzę nie przemyślałam. Dla mnie też jest to niekomfortowe i raczej nie będziemy się kolegować. Chciałam tylko wiedzieć, kto sprawił, że mój świat wywrócił się do góry nogami. – Tu z groteskową miną wskazuję na Piotrka i mówię z uśmiechem:

- On. – Przecież to jego вина, nie moja. Co dziwne Marysia, zaczyna się śmiać. Żegnaj się z nią kulturalnie, już bez napięcia. Piotrek wyprowadza mnie na zewnętrzne patio, zamiast do ekipy, która stoi i śledzi każdy nasz ruch, w oczekiwaniu na spadającą bombę.

- Kochałaś? – pyta, jak tylko wyszliśmy przed budynek.

- Tak, byłam wtedy Tobą zauroczona. Ale udało mi się pokonać to uczucie. Miałam na to sporo czasu po urodzinach – mówię patrząc na ogród. Czuję w sobie smutek tamtych dni. Pamiętam, jak było mi ciężko. Najpierw straciłam babcię, później jego. Kręcę głową, powstrzymując napływające łzy. Piotr ściąga marynarkę i okrywa moje ramiona. A potem przytula mnie i czeka cierpliwie, aż się uspokoję. Odwracam się i już mam mówić do niebezpiecznie blisko stojącego Piotra, że możemy wrócić do środka, gdy przychodzi jego wujek.

- Przepraszam, że Wam przeszkadzam, ale zaraz muszę jechać, a chciałbym jeszcze zamienić z Tobą słowo o studiach w Londynie – mówi wyraźnie podekscytowany wujek, a mnie staje serce. Piotrek patrzy na mnie z przerażeniem w oczach i odpowiada wkurzony wujkowi, że zaraz do niego przyjdzie. Wujek patrzy na nas i chyba dochodzi do niego, że o niczym nie wiem. Wyraźnie zmieszany, szybko znika za drzwiami.

- Em, wysłuchaj mnie. Jeszcze nie podjąłem żadnej wiążącej decyzji. Mam możliwość studiowania zarządzania w finansach i odbywania praktyk u wujka w firmie, ale tata też chciałby, żebym tutaj został i wdrażał się do pracy u naszych rodziców. Sam jeszcze nie wiem, co zrobić. Na razie chcę zdać maturę najlepiej jak potrafię i tylko na tym się teraz skupiam.

- Byłbyś szalony nie korzystając z takiej możliwości, Piotrze. Studia w Londynie umożliwią Ci pracę na całym świecie, a zostając tu, ograniczałbyś swoje możliwości. – Nie wiem skąd, biorę w sobie siłę, by to powiedzieć. Myślę, że to wszystko przez te cholerne romansidła, w których zawsze pozwala się odejść osobie, na której Ci zależy. Działam teraz jak na autopilocie. Pewnie jutro będę żałować wszystkich wypowiedzianych właśnie słów. – Wracajmy. Wszyscy na nas czekają. – Oddaję mu marynarkę. Piotrek przygląda mi się uważnie i pozwala mi odejść.

Po wejściu na salę uderza mnie głośność muzyki i szum rozmów, przez które przebijają dochodzące z różnych stron, punktowe wybuchy radości. Kieruję się w stronę ekipy. Piotrek patrzy na mnie smutno i rusza na poszukiwania wujka.

- Tlen czy karetka? – pyta zaniepokojona moim wyglądem Kaśka, jakby czytała mi w myślach.

- Myślę, że od razu karawan i trumienka – mówię śmiejąc się przez łzy. – Chciałabym już wrócić do domu. – Czuję, że zaczynam dygotać. Kaśka rzuca przepraszające spojrzenie w stronę Konrada i popycha mnie w kierunku rodziców. Potem nie za bardzo wiem, co się dzieje. Chyba można powiedzieć, że to było angielskie wyjście?

Budzę się rano w swoim pokoju, zwinięta w kłębek, nadal ubrana we wczorajszą sukienkę. Jak na grudzień jest bardzo ciepło i świeci słońce. Mam ochotę, je zgasić. Przez cały dzień mama próbuje wmusić we mnie jedzenie, ale nie daję rady nic przełknąć. Telefon co chwilę piszczy, kolejne wiadomości spływają. Nikt nie wie co się stało. Wszyscy pewnie się martwią, a ja nie mam siły o tym mówić. Wieczorem tata przypomina, że za dwa dni zmienię otoczenie i jak stwierdza z pewnością w głosie, to mi na pewno pomoże. Powoli przypominam sobie, że mamy jechać do dziadków do Hiszpani na święta. Wstaję od stołu, bez słowa. Nie ma takiej opcji, zamierzam przeleżeć najbliższy tydzień w swoim pokoju. I płakać.

Nastaje poniedziałek, zrywam się, gdy słyszę trzaśnięcie drzwiami. Myślałam, że to może Piotr, ale jest zbyt cicho na dole. Pewnie tata poszedł do pracy. Mama krząta się po swoim

pokoju i ewidentnie się pakuje, bo co chwilę dociera do mnie dźwięk otwieranej komody. Dzwoni telefon, Kaśka.

- Wstawaj. Idziemy pojeździć, Em. Ja już jadę do stajni. – Po czym się rozłącza. Widzę, że uczę się złych nawyków od Piotrka. Na samo wspomnienie o nim, znów zaczynam płakać. Chyba muszę się pozbierać, to do niczego nie prowadzi. Tym bardziej, że ma mnie nie być tu przez tydzień. Muszę pożegnać się z Szajką. Gdzieś bezwiednie w swoim umyśle godzę się z faktem, że wyjeżdżamy. Proszę mamę, czy mogłaby mnie zawieźć do stadniny. Obiecuję, że jak wrócę, to się spakuję. Patrzy na mnie badawczo, po czym kiwa głową i idzie po kluczyki. Po dojechaniu na miejsce, Kaśka oczywiście już jest. Po tym jak mama odjeżdża, od razu przechodzi do konkretów:

- Co się wydarzyło, Em? – pyta wyraźnie spięta. Więc jej opowiadam. O Marysi, o naszych uczuciach w zeszłym roku i o studiach w Londynie, na które w sumie to go wypchnęłam.

- Jutro wyjeżdżam do dziadków – dodaję pospiesznie, zanim całkiem się znów rozkleję.

- To chyba jedyna pozytywna informacja, jaką usłyszałam – mówi i przytula mnie z całych sił. Długo stoimy w objęciach, co jest całkiem relaksujące. Może i ma ostatnio mało czasu dla mnie, ale w sytuacjach kryzysowych, zawsze mogę na nią liczyć.

- Co zamierzasz dalej? – pyta zatroskana Kasia.

- Wsiąść na Szajkę i się zmęczyć. Na razie nie mam ambitniejszych planów – mówię poważnie i zabieram się za przygotowanie konia. Jeździmy ponad dwie godziny. Mama odbiera mnie i wracamy do domu się pakować.

Wieczorem słyszę, jak tata mówi do mamy, że chyba wie, co się wydarzyło na urodzinach, bo rozmawiał z ojcem Piotrka. Nie mam ochoty tego słuchać, więc uciekam do swojego pokoju. Kilka minut później dostaję SMS od Piotra:

- Cześć. Słyszałem, że jutro wyjeżdżacie. Tata namówił mnie na narty w górach, więc też czeka mnie podróż. Kiedy wracasz? – pyta, a ja mam ochotę odpisać, że „możliwe, że za 5 lat”.

- Cześć. Będziemy w Polsce 29 grudnia. A Wy? – Biorę się w garść.

- Też. Masz plany na Sylwestra? – Zastanawiam się, czy zamierza mnie gdzieś zaprosić. Nie chcę się z nim teraz widzieć w cztery oczy, ale nie umiem kłamać.

- Tak, jak co roku. Kocyk, herbatka i mnóstwo strasznych filmów. Rodzice wychodzą na jakąś imprezę. Twój tata chyba też tam będzie? – Jeśli sądzi, że go do siebie zaproszę, to się myli.

- Tak. Marek i Asia mają do mnie wpaść. Pomyślałem, że mogłabyś zebrać swoją ekipę i dołączyć? Zapewnię Ci kocyk i herbatkę. – Przydałaby mi się teraz impreza w większym gronie, ale myślę, że wolałabym coś mocniejszego niż herbata. Znając chłopców, będzie z czego wybierać.

- Dziękuję za zaproszenie. Napiszę do Kaśki i dam znać – tym samym przyjmuję zaproszenie. Wybieram pospiesznie numer do Kaśki i informuję ją, że jeśli nie mają planów na Sylwestra, to idziemy do Piotrka. Jest w ciężkim szoku, że chcę w tym teraz uczestniczyć. Na szczęście

nie mają jeszcze planów, więc nie ma argumentów. Konrad zajął się powiadomieniem Tomka i Filipa, a ja odpisuję do Piotrka, krótko:

- Będziemy.

- Bardzo się cieszę. Udanego wyjazdu i pozdrów dziadków. – Udanego wyjazdu, powtarzam w myślach i się nakręcam. Ciekawe, czy liczy na to, że za pół roku usłyszysz ode mnie to samo zdanie!? Czemu ja się na tego Sylwestra zgodziłam? Jeszcze kilka godzin temu umierałam myśląc, że mogę go na wiele lat stracić. A teraz, tak po prostu zamierzam się z nim spotkać i świętować Nowy Rok! Nie wiem, na co ja liczę? Wszystko w środku we mnie krzyczy, że muszę natychmiast zagłuszyć swoje myśli i emocje, a nie ma nic lepszego niż beztraska zabawa, czyż nie? No, to się zabawię.

Następnego dnia po południu dolatujemy do Barcelony. Kocham to miasto, a o tej porze roku, da się tu swobodnie oddychać. Wsiadamy do pociągu i ruszamy na południe, do małej miejscowości położonej nad samym morzem. Dom dziadków jest bardzo przestronny i jasny. Uwielbiałam ich ogród, a teraz kiedy temperatura oscyluje wokół 15 stopni, można wylegiwać się całymi dniami na hamaku. Babcia na powitanie upiekła moje ulubione, kruche ciasteczka. Dom pachnie wyśmienicie od ugotowanych potraw świątecznych. Za to dziwnie wyglądają przystrojone lampkami i łańcuchami palmy.

Babcia zbyt długo mnie przytula na powitanie, więc pewnie o wszystkim wie. Rodzice są też dla mnie miłsi niż zwykle. Oczywiście dziadek dopytuje o moje umiejętności tańca walca, co mnie bardzo denerwuje. Nadal nie opanowałam kroków, a tata jest z tego powodu widocznie zawiedziony.

Święta spędzam na porządnym objadaniu się i oglądaniu starych filmów z dziadkami. Często chodzę na samotne spacerunki po plaży. Odnajduję tam trochę wewnętrznego spokoju i nabieram kolorów.

Po powrocie do kraju, znów czuję się lekko przytłoczona. Na drugi dzień jadę do stajni. Kasia jest już umówiona z Konradem i nie da rady do mnie dołączyć. Ostatnio zdarza się jej to coraz częściej. W nocy krajobraz nareszcie zmienił się na zimowy i wszystko pokrył biały puch. Rano, w dniu imprezy wsiadam w autobus, a później w pociąg i jadę do miasta na zakupy. Długo szukam sukienki, która nie byłaby zbyt krzykliwa, ani zbyt obcisła. Wychodzę z trzydziestego sklepu ze srebrną, długą kiecką, bez dekolty. Wieczorem, kiedy ją zakładam, cieszę się, że nie będę się w niej rzucać w oczy. I dobrze.

Rodzice podrzucają mnie do Piotrka i odjeżdżają na swój bal Sylwestrowy. Dzwonię do drzwi. W progu staje przerażona Kaśka, ubrana w piżamę i z miną zbitego psa:

- O matko, Em! – pisnęła zasłaniając twarz, a za nią pojawia się Piotrek w dresie.

- Dlaczego jesteś tak ubrana? – pyta zdziwiony, a mnie krew odpływa. To by było na tyle z pozostania niezauważoną.

- To moja wina! – przyznaje Kaśka. – Kompletnie zapomniałam jej napisać, że będzie piżama party – tu zwraca się do Piotra. - Chłopcy ustalili to wczoraj wieczorem.

- Fajnie, ale zaraz Wam tutaj zamarznię – stwierdzam opanowanym głosem, bo na prawdę jest mi zimno. Kaśka odsuwa się od drzwi i przepuszcza mnie do środka. Zdejmuję płaszcz i podaję bez słowa Piotrowi. Odstawiam szpilki w kąt i przechodzę do salonu przywitać się z resztą gości.

- Kaśka Ci nie napisała, co? – stwierdza spokojnie Konrad, jak tylko weszłam do salonu. Potwierdzam jego jakże trafne przypuszczenie ruchem głowy. – To czego się napijesz? – dopytuje.

- A co masz? – pytam zdołowana.

- Łatwiej byłoby spytać czego nie mam. – Uśmiecha się szeroko Konrad.

- W takim razie poproszę szklankę whisky z jedną kostką lodu – czuję na sobie lodowate spojrzenie Piotra. Trudno, musi to przełknąć, że małolata będzie dziś znów pijana.

- Już się robi, Mademoiselle. – Udaję ukłon i nalewa trunek. Podaje mi szklankę i wznosimy toast za dzisiejszy wieczór. Kaśka wzdycha głośno, chyba jej również nie podoba się moje zachowanie. Wiem, że ma mocne postanowienie nie picia alkoholu do osiemnastych urodzin, które będzie obchodzić pod koniec maja. Ja nigdy nie robiłam sobie takich założeń. Napój smakuje bardzo intensywnie. Zawsze, kiedy tata go sobie nalewał, lubiłam unoszący się w pokoju zapach. Coś czuję, że jutro będzie mnie bardzo boleć głowa.

Chłopcy kłócą się, który pierwszy puści swoją listę przebojów. Aśka rozmawia z Kasią o jakichś bliżej mi nieznanych postaciach z telewizji, której nie oglądam. Staję w oknie, patrząc na zimowy krajobraz i uśmiecham się do stosu drewna. Przypominam sobie jak Piotr rąbał je z pasją i to w jakim stroju! Policzki mi płoną.

- Widzę, że szybko wchodzi Ci ten drink, Em. Może powinnaś zwolnić tempo, jeśli masz zamiar wytrzymać do północy? – Na szczęście myślę, że kolor mojej twarzy spowodowany jest alkoholem, a nie wspomnieniami jego spoconej klatki piersiowej. Nie zamierzam wyprowadzać go z błędu. Mógł mi sam napisać o tych piżamach, a nie liczyć na Kaśkę.

- Nie martw się, zaraz zwinę się grzecznie w kłębek pod kocykiem, popijając herbatkę. O ile pożyczysz mi jakąś swoją koszulkę, bo nie zamierzam spędzić całego wieczoru w tej sukni – mówię stanowczym głosem, nadal koncentrując wzrok na kłodach. Teraz wyobrażam sobie jak uderzam go śnieżką, która topi się na jego rozgrzanym ciele.

- Zaraz coś odpowiedniego dla Ciebie znajdę – patrzy na mnie pytająco, po czym rusza na górę. Po chwili wraca i mówi, że położył wszystko na swoim łóżku i mogę pójść się przebrać. Przez chwilę tłumaczy mi, jak mam tam dotrzeć, ewidentnie nie chce iść tam ze mną. Kaśka pyta, czy potrzebuję pomocy. Ofukuję ją z irytacją i wychodzę bez słowa.

Jego pokój jest przestronny, chyba większy od mojego. Na ścianach ma wyłącznie jasnoszare tapety. Szafa, komoda i duże drewniane biurko, na którym stoi elegancka czarna lampa i zdjęcie jego mamy. Podchodzę, żeby się jej przyjrzeć. Była bardzo piękną, młodą

kobietą, a jej oczy lśniły blaskiem szczęścia na zrobionej fotografii. Ciekawe, kiedy zrobiono jej to zdjęcie? Odkładałam ramkę na miejsce i kieruję się w stronę łóżka. Do wyboru mam długi podkoszulek, granatową bluzę i wielgaśne, szare spodnie dresowe. Wybieram czarny T-shirt. Przebieram się, spinam włosy w koński ogon i schodzę dumnie na dół, w podkoszulku sięgającym do połowy uda.. No cóż, nie sądziłam, że zrobię większą furorę niż w sukience, ale o dziwo tak się dzieje. Na szczęście gra głośno muzyka, a większość towarzystwa tańczy przed rozpalonym kominkiem. Piotrek stoi z butelką piwa, jakby miał zamiar właśnie ją otworzyć. Patrzy na mnie długo, odkłada butelkę i sięga po szklankę z wodą. Dobry wybór, myślę. Ktoś dziś powinien pozostać trzeźwy, bo ja nie zamierzam. Idę w jego kierunku, uśmiechając się jak dzika kotka.

- Dobry wieczór, ja w sprawie kocyka. Czy mogę na niego teraz liczyć? – Pytam głosem tajemniczej kusicielki. Patrzy na mnie z nieprzejeźdnym wyrazem twarzy i mówi:

- Miałem nadzieję, że ubierzesz wszystko co Ci przygotowałem. – Ta informacja bardzo mnie rozbawia, bo wyobraziłam sobie siebie w tych ogromnych spodniach, więc zaczynam się śmiać. – Myślę, Em, że chcesz się dziś na mnie odegrać. Mam jednak nadzieję, że wiesz co robisz – mówi zdenerwowany, a ja nie przestaję się uśmiechać, tym razem zalotnie. – Zaraz przyniosę Ci Twój wymarzony koc i liczę, że długo pod nim zostaniesz – to mówiąc, odwróca się i wychodzi z pokoju. Wzruszam ramionami. Podchodzi do mnie Konrad z kolejną szklaneczką wypełnioną złotym płynem.

- Proszę, wyglądasz jakby miało Ci się dzisiaj dużo tego przydać. – Unika lecącej w jego stronę poduszki, którą wystrzeliła Kaśka. Ona ma na ten temat inne zdanie. Podchodzę do niej i siadam obok na sofie, wyciągając nogi na stojący obok fotel. Konrad siada z drugiej strony Kasi. Marek tańczy z Asią salsę, wyglądają razem bosko. Tomek i Filip kłócą się z boku o następną piosenkę, a ja sącę alkohol i czuję, jak zaczyna działać. Zamykam oczy, odchylam głowę kontemplując przyjemne, rozchodzące się ciepło wewnątrz mojego ciała. Tego mi było trzeba. Kaśka podaje mi jakiś talerzyk z przekąskami, chyba doszła do wniosku, że inaczej szybko odpłynę. Wraca Piotrek i widzę, że jest bardzo niezadowolony. Unosi moje nogi, żeby przejść i siada obok mnie na sofie. Moje nogi lądują z powrotem na fotelu. Rozkłada koc, posłusznie podnoszę w górę ręce z talerzem i szklanką, żeby mógł mnie szczelnie okryć.

- Ile się płaci za taką obsługę? – pyta zaczepnie Konrad. A że usta mam pełne boczku ze śliwką, wyjaśnienia pozostawiam Piotrowi.

- A co, chciałbyś żebyś otulił Cię kocykiem, Kondzio? – odpowiada pytająco Piotrek.

- Waham się? – I wybuchają śmiechem.

Asia z Markiem kończą swój występ, więc niechętnie robię im miejsce na fotelu i podkurczam nogi pod siebie.

- Hej, czy możecie mi powiedzieć, jak Wy to robicie? – pytam zaciekawiona. Wszyscy patrzą na mnie wyczekująco, zaczynam rozumieć, jak to mogło zabrzmieć, więc dodaję:

- Chodzi mi oczywiście o taniec. Ile lat trzeba się uczyć, żeby być w stanie tak wywijać na parkiecie?

- Asia chodziła kilka lat na taniec latynoski. Jak się poznaliśmy, to mnie namówiła żebym spróbował i do dziś tańczymy w klubie – odpowiada Marek.

- To takie romantyczne – mówię rozmarzonym głosem. Niestety mimowolnie powiedziałam to na głos! Pożarłam kolejny przysmak z mojego talerza, w nadziei, że jak będę mieć zajęte usta, to przestanę niekontrolowanie paplać.

- Ostatnim o co Cię podejrzewałam, jest romantyczność. – Wypowiada swoją kąśliwą uwagę Kaśka. – Może pora napić się herbatki, co Em? – To był już cios poniżej pasa.

- No cóż, gdybyś miała czas mnie lepiej poznać, to może zdołałabyś to już we mnie dostrzec – mówiąc to, mam na myśli ostatnie pół roku, w którym nie ma czasu na naszą przyjaźń. Chłopcy odwracają wzrok, niechętnie przysłuchując się dalszej wymianie ciosów.

- A może znam Cię lepiej niż byś chciała, Em? I jestem przekonana, że próbujesz na mnie odreagować to, co Cię tak na prawdę gryzie! – Co za franca. Przecież nie mogę jej dać wygrać. Staram się odzyskać jasność umysłu, ale ta wypita prawie do dna szklanka mi w tym nie pomaga.

- A może to Ciebie gryzie sumienie, o ile je masz i próbujesz teraz odwrócić kota ogonem? – Niezbyt dobry tekst, ale przestaję trzeźwo myśleć.

- A może... - zaczyna wypowiedź Kaśka.

- Przestańcie do cholery – przerywa odważnie Konrad. – Ostatnio obydwie zachowujecie się wobec siebie, jakbyście byli na wojnie. Naprawdę zależy Wam, żeby się do siebie przestać odzywać, czy to tylko taka udawana drama? – No cóż, wróg mojego wroga jest moim wrogiem. Czy jakoś tak?

- Chyba się trochę zagalopowałeś, Konradku – cedzi przez zęby wkurzona Kaśka.

- Czy ja Ci mówię, jak masz się zwracać do swoich kumpli? Nie? To proszę Cię o to samo. – dodałam. Konrad zbladł widząc, że znalazłyśmy nowy cel do ataku. Wstaje i pyta pajacując:

- Piotrze, czy masz ochotę ze mną zatańczyć?

- Z przyjemnością – odpowiada Piotr z wyraźną ulgą w głosie. Po czym obydwoje idą groteskowo pisać przed głośnikiem. Zaraz podchwycił to Tomek z Filipem, a później Marek i Asia.

- Chcesz kawalek kocyka? – pytam w ramach pojednania.

- Poproszę – odpowiada z rezygnacją w głosie Kasia. Dzielę się nakryciem. Odstawiam pustą szklankę i talerzyk na stolik. Zaczynam ziewać, czuję się zmęczona.

- Czemu z nimi nie tańczysz Kasiu? – pytam po chwili.

- Bo lubię z Tobą siedzieć. A Ty? – mówi szczerze.

- Bo nie umiem – odwdzięczam się tym samym.

- Trzeba to koniecznie naprawić, Em. – przekonuje mnie Kasia.

- Myślę, że to nie jest dobry pomysł. A nawet jestem tego pewna – dodaję.
- Wiesz, że za rok pewnie nie spotkamy się w tym gronie? Co masz do stracenia? – Wiem, że mówi to nie po to, żeby sprawić mi przykrość, ale żeby mnie zmusić do życia, tu i teraz.
- Nikt inny nie potrafi mnie tak pocieszyć, jak Ty Kasiu... – odpowiadam zrezygnowana.
- To co, jeden taniec? – mówi zachęcająco.
- Pod warunkiem, że pozwolisz wypić mi jedno piwo i nie będziesz kręcić przy tym głową. – Na moje słowa, Kasia przewraca oczami. Wstaje, idzie po puszkę, otwiera ją i udaje, że chce się napić. Patrzy na Konrada, który na ten widok prawie dostaje zawału, a później szczyrzy się i podaje mi alkohol.
- Wypij moje zdrowie, Em, bo ja złożyłam śluby trzeźwości i zapraszam na parkiet. – Robię naprawdę duży łyk, a potem drugi, jeszcze większy. Następnie ściągam kocyk, podaję jej rękę i idziemy do reszty.
- Jeśli mnie teraz puścisz, to jest spora szansa, że się wywrócę. Te bąbelki są zabójcze - mówię jej do ucha.
- Nic się nie martw, trzymam Cię. – I zaczyna mną wywijać w takt muzyki. Jest mi dziwnie błogo, więc pozwalam jej się prowadzić. Zdecydowanie lepiej tańczy niż mój tata. Zaczynam się dobrze bawić, choć trochę się potykam o jej nogi i czuję się jak guma. Nagle przerywa nam Piotr, łapie mnie w pasie i pyta z gniewem w głosie Kaśki:
- Konrad powiedział, że właśnie podałeś jej puszkę piwa? – I nie czekając na odpowiedź, kontynuuje. – Przecież, ona zaraz fiknie! Najpierw nalewacie jej dwie szklanki mocnego alkoholu, a teraz bąbelki? O czym Wy myślicie?! – Brzmi jak starszy, karcący brat, czym bardzo mnie rozśmiesza. Zasłaniam usta ręką, żeby tak głośno się nie śmiać.
- Ja nie wiedziałam, nigdy nie piłam alkoholu. – Tłumaczy się blada Kasia. Piotrek kręci tylko głową i odprowadza mnie na sofę. Ponownie przykrywa kocem i mówi, żebym się stąd nie ruszała. Następnie gdzieś odchodzi. No cóż, nawet gdybym chciała to mam taki helikopter, że prędzej stąd odleczę. Znowu zaczynam się śmiać, a Kaśka robi się coraz bardziej przeźroczysta. Pociesza ją Konrad, coś tam jej tłumaczy, a mnie jest wszystko jedno. I gdyby nie te zawroty w głowie, to byłoby naprawdę miło. Do północy zostały dwie godziny. Myślę, że jest spora szansa, że zasnę wcześniej.

Po chwili Piotr wraca z herbatą. Stawia ją na stoliku, żeby przestygła i siada obok mnie. Układam głowę na jego kolanie i wyciągam podkulone nogi. Muszę się zdrzemnąć. Czuję, jak gładzi mnie po włosach i automatycznie przechodzę w tryb czuwania, nadal mając oczy zamknięte. Przestaje, jakby nagle zrozumiał, że to spowodowało we mnie napięcie. Zasnąłam. Po godzinie zrywam się, jakby ktoś mnie zrzucił z łóżka. Nawet Piotrek podskoczył. Rozglądam się po pokoju. To chłopcy zaczynają wcześniej świętować i odpalają petardy przed domem. Nachodzą mnie złe wspomnienia. Pytam jak długo spałam i sięgam po zimną herbatę. Wypijam cały kubek na raz. W tym czasie notuję, że nie mam już helikoptera, a Kaśka

obściskuje się na fotelu z Konradem. Nie widzę nigdzie Marka i Asi. Chyba nadal jestem pijana, ale czuję, że odzyskuję nad swoimi kończynami kontrolę.

- Muszę iść do toalety. Zaraz wracam – mówię do Piotra, który bacznie mnie obserwuje i ocenia sytuację. Nie wnosi sprzeciwu, więc może nie wyglądam tak źle?

- Tylko idź do tej w moim pokoju. Na dole jest zajęta, od dłuższego czasu... – Mówi niezadowolony. Chwilę się zastanawiam nad sensem jego słów i pacam się w głowę, kiedy rozumiem, co ma na myśli. Obydwoje się śmiejemy. Wstaję wymijam pewnie stół i idę prosto do holu. Schody wyglądają trochę złowieszczo, ale udaje mi się je pokonać. Ponownie odwiedzam jego pokój i korzystam z ubikacji. Po wyjściu postanawiam na chwilkę usiąść na jego łóżku, żeby odpocząć. Chyba włożyłam resztę sił w dotarcie tutaj. Ziewam przeciągle i zwijam się w kłębek na skraju łóżka, myśląc, że się szybciotko zregeneruję i zaraz wrócę na dół. Budzę się wyspana, przeciągam porządnie i słyszę głośny, niezadowolony wydech kogoś leżącego obok mnie. Czuję zapach perfum, mam pewność, że to Piotrek.

- Dzień dobry – mówi mi do ucha. Szybko analizuję, co pamiętam z ostatniej nocy i mój film urywa się na potrzebie oddania moczu. Jego koszulkę nadal mam na sobie, choć niebezpiecznie się podwinęła. Ze zdziwieniem odnotowuję fakt, że nie boli mnie głowa.

- Jeszcze nie wiem czy dobry. Niewiele pamiętam, od momentu jak tu przyszłam – odpowiadam niepewnie.

- Zasnąłaś na łóżku. Gdy długo nie wracałaś na dół, poszedłem sprawdzić i spałaś jak suseł. Położyłem Cię wyżej, żebyś nie spadła i przykryłem kołdrą. Później jak się domyślasz, był Sylwester i fajerwerki, których nie widziałaś. Mam Ci przekazać życzenia od wszystkich, a Kasia prosi o telefon jak wstaniesz. – To się nazywa perfekcyjna relacja.

- Jak bardzo jesteś na mnie zły? – pytam przestraszona, a w myślach podejmuję decyzję, że już nigdy nie zamierzam pić alkoholu. Poważnie.

- Nie jestem na Ciebie zły Em, tylko się o Ciebie martwię. – Na te słowa oddycham swobodniej, obracam się w jego stronę i mówię:

- W takim razie, dzień dobry Piotrze. – I posyłam mu mój najbardziej powalający uśmiech. On też się do mnie uśmiecha. – Masz może zapasową szczoteczkę do zębów? – Wolę nie dodawać, co czuję w ustach.

- Jak wejdiesz do łazienki, to wszystko masz przygotowane na blacie. – Patrzę na niego z niedowierzaniem i ruszam wziąć prysznic. Faktycznie, nawet świeża koszulka na mnie czeka. Po piętnastu minutach wychodzę jak nowo narodzona, z mokrymi włosami, z których woda ocieka na biały podkoszulek. Piotrek już się przebrał i siedzi teraz na łóżku. Podnosi wzrok i patrzy na mnie wyraźnie zmieszany.

- Przyniosę Ci suszarkę mojej mamy. Ja nie używam. – Tłumaczy się przeczesując włosy, wstaje z łóżka i zastyga niebezpiecznie blisko mnie. Czuję, jak powietrze między nami jest napięte do granic możliwości, aż robi mi się słabo. Wygląda jakby chciał mnie pocałować. Oczywiście

dzwoni telefon. Mój telefon! Jak nie kiedyś źle skończy. Natychmiast obydwójce przytomniejemy. Poznaję ustawiony dzwonek i wiem, że niestety muszę odebrać.

- Cześć, mamó. Tak. Nie, nie ma takiej potrzeby. Piotrek mnie odwiezie zaraz po śniadaniu. Dobrze. Pa – odpowiadam zdawkowo na wszystkie pytania. – Przepraszam, ale założyłam, że będzie lepiej, jeśli tata teraz tutaj nie przyjedzie?

- Tak, to całkiem rozsądne założenie. Idę po suszarkę. – Piotrek odzyskuje głos i władzę w nogach.

- Piotrek? – Zatrzymuję go w drzwiach. – A gdzie jest twój tata? – Znowu przeczesuje nerwowo włosy, więc już boję się tej odpowiedzi.

- Zadzwoń do niego złożyć mu życzenia i wyjaśnię mu sytuację. Postanowił, że będzie nocować w hotelu obok przyjęcia. Przyjedzie za godzinę. – Pięknie, czyli rodzice też wszystko wiedzą. Wzdycham i siadam zrezygnowana na łóżku. Piotrek wychodzi. Po chwili wręcza mi suszarkę i idzie na dół zrobić nam śniadanie. Szybko suszę włosy i koszulkę, która jak się okazuje jest cała mokra i prześwitująca, a potem zbiegam do kuchni, czując zapach jajecznicy. Pochłaniam jedzenie jakby mnie nikt nie karmił od tygodni, co sprawia, że na twarzy Piotrka znów pojawia się uśmiech.

- Pycha, dziękuję. – mówię z pełnymi ustami.

- Widzisz, ja też już nauczyłem się robić śniadania – odpowiada zaczepnie, a ja przypominam sobie jak niedawno jadł moje kanapki, zdziwiony, że sama je zrobiłam. Niedawno, czyli dwa lata temu...

- Muszę przyznać, że urosła mi konkurencja. – Chwalę jego gotowanie i wznoszę za niego toast kubkiem z kawą.

- A ja muszę przyznać, że zaskakująco dobrze wyglądasz, jak na to, ile wczoraj wypijaś. – I ma rację, czuję się świetnie. Jakbym dostała jakiś nadprzyrodzony zastrzyk energii.

- Czuję się wyśmienicie – przyznaję. Już mam dodać, że ma bardzo wygodne łóżko, ale źle by to zabrzmiało – Myślę, że Twoja wczorajsza herbatka była magiczna.

- To mam nadzieję, że następnym razem przy niej zostaniesz. – Nie udaje mi się nie oberwać za alkohol, ale słusznie to powiedział. Uśmiecham się w odpowiedzi.

- Możliwe, że dobrze wyglądam z powody Twojej koszulki, ale myślę, że zanim mnie odwieziesz, byłoby rozsądniej, jak przebiorę się w swoją sukienkę. – Puszczam oko i idę się odpowiednio ubrać. Z ociąganiem wracam do holu, chciałabym tu zostać dłużej. Pewnie w najbliższych miesiącach będzie ciężko nam znaleźć dla siebie czas. Wszystkie emocje znów do mnie wracają jak fala. Biorę się w garść, żeby jeszcze chwilę wytrzymać i nie pokazać tego po sobie. Piotr nerwowo chodzi przed drzwiami wejściowymi. Widząc mnie na schodach, bierze do ręki mój płaszcz. Wkładam buty i daję mu się ubrać. Otula mnie ciasno od tyłu, jakby nie chciał mnie nigdzie puścić. Wzbiera we mnie płacz, chcę tu zostać, ale nie mogę. A im dłużej to trwa, tym jest mi ciężiej. Powoli odsuwam się od niego, kładę mu rękę na sercu i zaciskam

szczękę. Niechętnie mówię, że musimy już jechać. Wymija mnie, otwiera drzwi i puszcza przodem.

- Cześć Misia. – Witam się z autem, gładząc po zmarzniętej masce. Piotrek zrezygnowany kiwa głową, ale widzę, że oczy mu się uśmiechają. Wsiadamy do M3 i ruszamy z podjazdu. W drodze martwię się tym, co usłyszę od rodziców. Pewnie, że to nie przystoi – tylko nie wiem co bardziej, pijana dziewczynka, czy że spędziłam noc u chłopaka? Musiałam mieć przerażony wyraz twarzy, bo Piotr złapał mnie za dłoń i szepną, że dam radę. Podziękowałam smutnym uśmiechem.

Sądziłam, że tata przed domem rozstawi co najmniej jakiś obóz, z liczną bronią i amunicją. Ale jest zaskakująco pusto. Piotr podjeżdża pod samo wejście, wysiada z auta i otwiera mi drzwi. Po chwili stoję koło niego, chcę się pożegnać. Wiedziałam, że jak przekroczę próg, to już nie będzie nam dane zamienić ani jednego słowa więcej.

- Przepraszam – mówię z głębi serca, ze łzami w oczach. – To było bardzo niedojrzałe zachowanie z mojej strony.

- To prawda, ale powinienem bardziej na Ciebie uważać. Obiecałem to Twoim rodzicom i nie dotrzymałem słowa. – A więc to go tak gryzło.

- Jesteś ode mnie starszy o niecały rok, a cały czas czuję się jakbyś starał się być kimś o wiele dojrzalszym. Może pora przestać brać odpowiedzialność za coś, na co nie masz wpływu? – Doskonale wiem, skąd ta jego potrzeba opieki wynika. Uśmiecha się smutno i odwraca wzrok. Wykorzystuję ten moment i przytulam go z całych sił. Wtula się we mnie tak, jak jeszcze nigdy. Gdy otwieram oczy, mama i tata stoją w oknie, patrzą na nas rozanieleni.

- Mamy publiczność, wyglądają jak psychopatyczne dzieciaki, które zjadły za dużo cukierków – mówię do niego zadzierając głowę do góry. Kiwa ze zrozumieniem i z nieukrywaną niechęcią, odsuwa się ode mnie. Dzisiejszy dzień sponsoruje „cykl niewykorzystanych momentów na pierwszy pocałunek”

- Powodzenia Em. Pisz do mnie, proszę – stwierdza to w taki sposób, jakby już jutro miał wyjechać na stałe, a mnie znowu jest słabo.

- Ty też – odpowiadam, a on całuje mnie delikatnie w policzek, ale o wiele za blisko moich ust, Przechodzi mnie dziwny dreszcz. A później wsiada do auta i szybko odjeżdża. Musiałam długo stać na podjeździe, bo w końcu mama po mnie wychodzi i prowadzi do domu. Tata już zrobił moje ulubione mleko truskawkowe. Może nie będzie tak źle, jak myślałam, jeśli chodzi o przeprawę z rodzicami? I tak, nie ma nic gorszego od tego, co teraz czuję, kiedy odjechał.

Do marca wszystkie dni zlały się w jeden. Myślę, że to przez zimową, szarą aurę i ciemne popołudnia, które sprawiają, że po szkole chce mi się wyłącznie spać. Dwa razy w tygodniu chodzę na konie, a co dwa tygodnie, w soboty, nadal próbujemy z tatą choć raz zatańczyć poprawnie walca. Jak dotąd bezskutecznie. Piotrek utonął w nauce do matury, codziennie mając liczne korepetycje i dodatkowe kursy językowe. Często do siebie piszemy,

ale raczej skupiamy się na tematach bezpiecznych. Pod koniec stycznia byliśmy na wspólnej pizzy z ekipą, a w lutym w kinie. To są jedyne dwa razy, kiedy go widziałam. Kaśka całkowicie odpuściła przyjazdy do stajni, na rzecz rozwijającego się związku z Konradem, z którym spędzała chyba każdą sekundę swojego życia. Czuję, że zapadam się w sobie coraz głębiej. Rodzice nic nie zauważają, bo zamykam się szczelnie w swoim pokoju na wiele godzin, mówiąc, że mam strasznie dużo zadań. A nie mam ich prawie wcale. Gdyby ktoś wtedy powiedział mi, że mam klasyczne objawy depresji, wyśmiałabym go. Teraz wiem, że miałby rację.

Jest marcowa sobota. Tata z samego rana jedzie pilnie do pracy, bo ma jakieś komplikacje i zwołuje naradę. Przed wyjściem obiecuje, że dotrze na czas na salę taneczną w mieście. Biorę więc szybki prysznic i schodzę do mamy na śniadanie. Potem pakuję odpowiednią sukienkę oraz buty i udaję się na pociąg. Dojeżdżam przemarznięta, bo nie działało ogrzewanie w przedziale. Przechodzę kilka przecznic i docieram do szkoły tańca. Przebieram się szybko w szatni. Po wyjściu, udaję się w kierunku swojej sali, zanim jednak do niej dochodzę, widzę stojącego na korytarzu Piotra.

- Cześć, co tu robisz? – pytam zdziwiona jego obecnością.

- Twój tata do mnie zadzwonił, że utknęli z ojcem w papierach, a Ty jedziesz na próbę walca i czy nie dałbym rady podjechać do Ciebie – mówi spokojnie.

- A, ok, to pójde się przebrać – odpowiadam, sądząc, że z próby nici.

- Nie ma mowy, tak łatwo się nie wywiniesz. Musisz ćwiczyć, bo podobno masz małe trudności w opanowaniu kroków. Wziąłem swoje buty do tańca. Chodź – odpowiada i rusza na salę. On chyba zwariował?! Włącza nagranie i idzie w moją stronę. Automatycznie cofam się kilka kroków, a Piotrek zaczyna się śmiać.

- No tak, to może być cięższe niż zakładałem – mówi rozbawiony. Biorę głęboki wdech i łapię go za rękę. Przez chwilę bardziej walczymy niż tańczymy, Piotrek zatrzymuje się i mówi:

- Em, musisz dać mi się poprowadzić. Nie możesz wyprzedzać moich ruchów, bo nic z tego nie będzie. A teraz zamknij oczy, wyrównaj oddech i przestań myśleć – Łatwo powiedzieć. Próbuję się uspokoić. Po minucie moje bicie serca wraca do normalnego rytmu. Piotrek włącza ponownie muzykę i czeka na odpowiedni moment, a później zaczynamy tańczyć. Z każdym krokiem czuję się pewniej, ale nadal zaciskam zamknięte powieki. Zapominam, gdzie jestem i z kim, odczuwam rosnącą przyjemność. Jakby całe napięcie opuściło moje ciało. Po prostu trwam tu i teraz, jak lekkie piórko na wietrze. Nie wiem kiedy muzyka cichnie, a ja powoli otwieram oczy. Patrzę w czarne źrenice Piotra i nic więcej się nie liczy. Nasze oddechy się zsynchronizowały. Wydaje mi się, jakby minęła wieczność, kiedy za plecami słyszę brawa.

- Nareszcie! Gratulację Piotrek. Nie wiem, jak dokonałeś tego cudu! – woła uradowany tata, a ja bardzo niezadowolona, sztywno odsuwam się od Piotra. – Jak tak ze mną zatańczysz w czerwcu, to zrobisz furorę na balu! - Ledwo powstrzymuję się, żeby nie nakrzyczeć na tatę. Jak mógł przerwać mi tak piękną chwilę!? Z całego serca go teraz nienawidzę. Piotr patrząc na moją minę i postawę, jak zwykle szybko zrozumiał moje myśli bez słów.

- Em jest bardzo pojętną uczennicą, tylko trzeba jej dać czas na uspokojenie, zanim zacznie się taniec – odpowiada poważnie. Tata nieświadomy sytuacji, kiwa uradowany głową i nadal się uśmiecha.

- Bardzo Ci dziękuję za pomoc. Idź się przebrać kochanie, wracamy do domu. – A później zwracając się do Piotrka, dodaje: – Może dałbyś się namówić na wspólny obiad w drodze powrotnej?

- Niestety nie mogę, zaraz zaczynają się moje dodatkowe zajęcia z angielskiego – mówi przeproszającym głosem Piotr, żegna się i wychodzi. Cała odczuwana przeze mnie złość na tatę, ustępuje miejsca ogromnemu smutkowi, jakby mi ktoś serce wyciął.

- Wracajmy do domu tato, mama na pewno coś ugotowała – stwierdzam zrezygnowana i odchodzę do szatni się przebrać. I trochę popłakać. Tak upłynął marzec, na narastającej rozpacz i bezsilności.

Na początku kwietnia czuję, że budzę się ze snu. Przyszła wiosna, słońce coraz dłużej świeci i w ciągu dnia przyjemnie ogrzewa moje przemarznięte kości. Na drzewach w sadzie pojawiają się pierwsze pąki, a trawa robi się soczyście zielona. Przypominam sobie, że za dwa tygodnie jedziemy z Piotrem na koncert. Problem w tym, że od czasu jego urodzin nie rozmawialiśmy na ten temat. Może zapomniał? Jest niedziela, pewnie jedzie na zajęcia. Wyjmuję telefon i piszę:

- Cześć. Wiem, że nie masz czasu o tym teraz myśleć, ale koncert jest za dwa tygodnie. Jak chcesz to mogę zająć się rezerwacją pokoi w hotelu? – piszę zdecydowanie, żeby nie próbował się z tego wymigać. Muszę z nim spędzić trochę czasu bez osób trzecich, bo zwariuję.

- Właśnie miałem do Ciebie napisać. Masz teraz czas? – pyta w odpowiedzi.

- Tak, a co? – odpisuję zdenerwowana, a serce podskakuje mi w przypływie nadziei.

- Dzisiaj mam wolne. Za pół godziny przyjadę po Ciebie na motorze, pojedziemy na przejażdżkę – odpowiada, a ja skaczę z radości, bo chyba czyta w moich myślach! Biegnę na górę poszukać odpowiedniego stroju, a mama z tatą patrzą na siebie wymownie, robiąc głupie miny. Wcale nie pędziłam jak szalona nastolatka! Przeszukuję szafę, robiąc olbrzymi bałagan. W końcu wybieram czarne legginsy i obcisły top. Do tego narzucam za dużą bluzę, którą będę mogła kokieteryjnie rozpiąć, jak tylko zsiądę z Yami. Potem patrzę w lustro i myślę, że coś musi być ze mną grubo nie tak. Płaczę przez parę miesięcy, a potem cieszę się jak mysz do sera. Krzywię się, potrząsam głową i wybiegam z pokoju. Akurat podjechał Piotrek, więc rzucam przez ramię:

- Pa! Nie czekajcie na mnie z obiadem. – I wychodzę z domu. Piotrek nie zsiada z motocykla, więc gramolę się szybko za niego i zakładam kask. A teraz czeka mnie najprzyjemniejszy moment, kiedy mogę przylgnąć do jego pleców. Delektuję się tą chwilą, jego zapachem, ciepłem i próbuję wszystko zapamiętać, na zawsze. Jestem tak skupiona na nim, że nawet nie zauważam, że dojechalśmy na jego łąkę pod lasem. Nie jestem zaskoczona jego wyborem, bardzo polubiłam to miejsce. Zdejmuję kask, robię kilka kroków w stronę łąki i rozpinam bluzę. Niestety z tej radości zapominam, żeby zrobić to w bardziej efektowny i ostentacyjny sposób.

Poprawiam włosy i odwracam się do Piotra uśmiechnięta. Stoi wpatrzony we mnie na skraju lasu, w jednej ręce trzymając koszyk i przewieszony przez ramię koc. Mój kocys! Musiał ukryć to wcześniej za drzewem, bo nie miał tych gadżetów, jak po mnie przyjechał. Zaskoczona, ruszam w jego kierunku.

- A co Ty tam masz, w tym koszyczku dziewczynko? – mówię udając wilka z bajki. Piotrek się śmieje i szepcze tajemniczo, że to niespodzianka. Rozkłada w cieniu koc i gestem zaprasza mnie do zajęcia miejsca. A później wyjmuje różne owoce z całego świata i ostry nóż.

- Pomyślałem, że muszę Cię nakarmić czymś słodkim, zanim odpowiem na Twoje pytanie z sms 'a. – Poczułam ucisk w gardle. A więc to tak, pewnie chce mnie wystawić i jechać z Markiem. Przynajmniej nie z Marysią... Nie mogłoby choć raz odbyć się bez problemów?

- Wolę, żebyś mnie najpierw dobił, a później karmił owocami – odpowiadam szczerze.

- Jak chcesz. Mam dobrą i złą wiadomość. Od czego mam zacząć? – pyta, a ja mam ochotę go udusić za to, że przeciąga moją męczarnię.

- Nie ma znaczenia, po prostu powiedz. – Popędzam go. Widzę, że bierze większy wdech.

- Nocleg mamy załatwiony. – Po jego słowach wnioskuję, że to jest ta dobra informacja. Ok, czyli jedziemy razem. Nie jest źle. Czekam na cios. – Ale Marek i Asia jadą z nami. – Mówi przerażony i patrzy na moją reakcję. Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale za bardzo nie wiem co, więc zamykam je z powrotem z rezygnacją i patrzę przed siebie w dal. Rozumiem, że jedyna szansa na chwilę tylko dla nas, to ta łąka, tu i teraz. Później już nie mam co liczyć, że znajdziemy dla siebie czas na osobności. Zamykam oczy i staram się pogodzić w myślach z zaistniałą sytuacją, a Piotrek próbuje załagodzić napięcie kontynuując. – Marek wczoraj spytał mnie w szkole, co mi właściwie dałaś w prezencie urodzinowym. Jak powiedziałem, że bilety na kwietniowy koncert, to się strasznie ucieszył. Dopiero później zrozumiałem czemu. Powiedział, że oni też się wybierają, ale tata nie dał mu samochodu na weekend. Spytał, czy mogą się z nami zabrać i czy już coś wynajęliśmy, bo oni mają duży apartament nad jeziorem.

- W porządku – odpowiadam dziwnie spokojnie. Będąc na jego miejscu, też bym się zgodziła. Powinnam była założyć, że to co chcę i tak się nie uda. Zawsze tak jest.

- Naprawdę nie jesteś na mnie zła? – pyta zaskoczony Piotr.

- Nie. A teraz pokrój mi proszę ten dziwny owoc, muszę coś zjeść – mówiąc to, pokazuję Piotrowi, o który mi chodzi. Nie znam nazwy, nigdy takiego nie widziałam.

- To jest karambola - odpowiada Piotrek, a ja zaczynam się śmiać. Ten owoc idealnie pasuje do mojego życia. A później kładę się wygodnie na kocu, ciesząc się z tej chwili, w której się znajduję. W zasadzie mało rozmawiamy tego dnia. Jemy i odpoczywamy przytuleni, czasem opowiadając sobie coś śmiesznego z naszego dzieciństwa. Przez chwilę myślę, czy zapytać go o mamę, ale dochodzę do wniosku, że kiedyś sam zacznę ten temat. Słońce zaczyna zachodzić i szybko robi się chłodno. Składamy rzeczy i chowamy za drzewem. Piotrek wyjaśnia, że przyjedzie po to w drodze powrotnej. To jest bardzo udany dzień. Tym samym dobiega mnie, że już się skończył. Chciałam bardzo go pocałować, ale nie znalazłam w sobie odwagi.

Nadszedł 15 kwietnia, dzień, na który najpierw czekałam przez parę miesięcy, a od rozmowy na łące, czyli od dwóch tygodni, przestaję czekać. Podjeżdżają pod mój dom o 6 rano. Czekają nas sześciogodzinna trasa. Koncert zaczyna się dopiero o 17, więc możemy zatrzymać się wcześniej na obiad i pojechać do apartamentu. Asia wygląda na najbardziej podekscytowaną i jest oburzona, gdy mówię, że nie znam ani jednej piosenki tego zespołu. Katują mnie ich hitami przez całą drogę. Na szczęście nie są najgorsi, więc przekazuję tę cenną informację na głos. Przyjmują to z wyraźną ulgą. Nigdy nie byłam niczyją fanką, ich zachowanie jest mi kompletnie obce. Co również im tłumaczę.

Gdy wchodzimy do wynajętego mieszkania, widzę przestronny salon, z którego rozpościera się przepiękny widok na jezioro, błyszczące na złoto w pełnym słońcu. Rzucam torbę z rzeczami w kąt i wychodzę na taras. Marek z Asią wybierają największy pokój i zamykają za sobą drzwi. Uśmiecham się ciesząc ich szczęściem. Piotr też gdzieś odchodzi, pewnie odkłada swoje rzeczy. Później do mnie dołącza i wręcza mi butelkę schłodzonej wody. Może zostałam tutaj, zamiast iść na koncert, myślę z nadzieją, jakby było to możliwe.

- Tylko się tu nie rozsiadaj w tym fotelu, Em. Zaraz wychodzimy. Trzeba być wcześniej i zająć miejsce bliżej sceny – stwierdza Piotr, jakby odczytał moje myśli, a ja jęknęłam w przejawie niezadowolenia. Przecież ja nie wytrzymam tego huku prosto z głośników przez parę godzin! Reguluję przyspieszony oddech i odnajduję wewnętrzny zen.

- Za dobrze mnie znasz Piotrze i to zaczyna stanowić dla mnie nie lada problem. – Mrugam do niego zaczepnie. Zanim zdąży odpowiedzieć, wchodzi Marek i skarży się:

- Zostałem wygoniony z pokoju, bo musi się teraz skupić. Ma jedną walizkę, a krzyczy na mnie, że nie wie w co się ubrać, a ja dodatkowo jej w niczym nie pomagam...

Podnoszę się niechętnie z fotela, wzdychając teatralnie i ruszam z odsieczą. Są rzeczy, których żaden facet nigdy nie ogarnie.

- Jak tam? – pytam po wejściu do pokoju.

- Katastrofa! – woła Asia. – Nie wzięłam bluzki na ramiączkach, mam tylko stary, podkoszulek z dziurą na dole. Jak ja się tak pokażę publicznie!?

- Spokojnie, zaraz coś na to zaradzę – to mówiąc, wychodzę z pokoju i rozpakowuję w korytarzu swoją torbę. Chłopaki patrzą na mnie przerażeni. Jest. Wracam do Asi i podaję jej mój czarny top. – Proszę.

- Ojej, Em, dziękuję! Jestem Twoją dłużniczką! – Po czym szybko wkłada moją bluzkę, jakby się bała, że mogę zmienić zdanie. Zabawne. – A Ty masz w czym iść? – dopytuje, jakby nagle pomyślała o kimś innym niż o sobie.

- Jasne – odpowiadam i pokazuję na jej podkoszulek. Widzę, jak kręci głową i próbuje zabrać w proteście T-shirt, ale jestem szybsza. Zmieniam ubranie i zawiązuję w pasie supełek, żeby ukryć stan bluzki.

- Sprytnie – mówi Asia, lustrując mnie wzrokiem. – Na Tobie nawet największa szmata, może wyglądać, jak najdroższy ciuch!

- Dzięki – odpowiadam zawstydzona. Wychodzimy z pokoju i idziemy do chłopców.

- Gotowe, możemy ruszać! – woła podekscytowana Asia, a ja myślę, że to będzie bardzo długi i trudny dzień. Marek na widok Asi odzyskuje wewnętrzny spokój i uśmiecha się, mówiąc do mnie bezdźwięczne „dziękuję”. Potem patrzę na Piotrkę, a on patrzy na mój odsłonięty brzuch. Tak, to będzie trudne popołudnie, dla nas obojga.

Docieramy pół godziny przed czasem. Tłum ludzi skupia się głównie przy stoiskach z jedzeniem i napojami. Pędzimy w stronę sceny i po niezrozumiałym dla mnie krążeniu pośród ludzi, znajdujemy odpowiednie miejsce. Na szczęście nie pod samą sceną i z dala od głównych kolumn. Pytam ich co piją i oferuję się, że z przyjemnością skoczę po napoje. Piotrek nie do końca jest z tego zadowolony, ale widzę, że żadne z nich się stąd nie ruszy, a jednak mieliby ochotę na zimne piwo. Ruszam na zakupy i dopiero wtedy zastanawiam się, czy mi sprzedadzą alkohol. Na szczęście było tak wiele osób w kolejce, że nie mają do tego głowy. Kupuję trzy piwa dla nich i jedno bezalkoholowe dla mnie. Zamierzam wytrwać w swoim sylwestrowym postanowieniu. Przeciskam się przez coraz większy tłum. Przez chwilę boję się, że ich nie znajdę, ale po chwili widzę jak Marek do mnie macha. Wszyscy są mi bardzo wdzięczni za poświęcenie, a ja myślę, że dla mnie to raczej była ulotna chwila wybawienia. Wchodzi support i zaczyna się koncert. W przerwie znów ruszam na podbój barów, tym razem z Asią, bo obydwie potrzebujemy skorzystać z toalety. Gdy kupuję piwo 0,0%, patrzy na mnie pytająco. Proszę ją, żeby zachowała tę informację dla siebie i nigdy nie mówiła Piotrowi, że odstawiłam alkohol. Nie mam ochoty nikomu się z tego tłumaczyć. Później wracamy na miejsce i bawię się tak, jakbym naprawdę wypila o kilka piw za dużo. Na początku nikt na mnie nie zwraca uwagi, później czuję jak co chwilę zerka na mnie Piotr. A niech myśli co chce. Kiedy zespół o godzinie 20 znika ze sceny, prawie jak słońce za horyzontem, pytam czy komuś jeszcze chce się pić.

- Tobie to już raczej wystarczy. – Mówi stanowczo lekko zdenerwowany Piotr. Widzę, jak Asia otwiera buzię, a ja patrzę na nią morderczym wzrokiem i kiwam przecząco głową. Mam nadzieję, że zrozumiała przesłanie.

- Tak jest kapitanie – odpowiadam udając, że poprawiam mu koszulkę. Chwyta mnie za nadgarstki, obraca i popycha w stronę wyjścia. Na szczęście mieszkamy blisko. Idziemy wzdłuż plaży, a ja nagle zatrzymuję się przy pomoście. Mówię do idących za nami Asi i Marka, żeby bawili się dobrze i informuję ich, że wrócimy do apartamentu za godzinę. Po czym obracam się i wchodzę na pomost, na którego końcu siadam. Cóż, niech chociaż oni mają wymarzony wyjazd. W końcu też rzadko się teraz widują.

Piotrek dołącza do mnie. Pyta czy nie jest mi zimno. Temperatura szybko spada o tej porze roku, choć w dzień było dziś upalnie.

- Nie, dobrze mi robi jak trochę ochłonę. – Mam na myśli wszystkie bulgoczące we mnie emocje. Piotrek pewnie myśli, że mówię o procentach, bo kiwa głową z dezaprobatą. Zdziwiająco mnie to bawi.

- Tylko jakbyś mogła powstrzymać się od skakania do jeziora, to będę wdzięczny. – Przywołuje wspomnienie o moich urodzinach.

- Nie, dzisiaj nie będzie takiej konieczności. Nie lepi się do mnie nic, co sprawiałoby mi ból. Nie mam też ochoty utopić się ze wstydu. – Widzę, że przez jego twarz przechodzi szereg emocji.

- To, dlatego wtedy pobiegłaś do wody? – pyta zaskoczony.

- Tak, a myślałaś, że czemu? – odpowiadam.

- Żeby uciec przed konsekwencjami utraty nad sobą kontroli. – Odpowiada szczerze, po czym mnie obejmuje. Zastanawiam się i dochodzę do wniosku, że on chyba ma mylne wyobrażenie o mnie. To niezwykle boli. Mam ochotę strącić jego rękę, ale jest mi zimno.

- Piotr?

- Tak?

- Czemu chcesz się ze mną spotykać, skoro o mnie źle myślisz? – Na moje słowa widzę, jak mruga nerwowo.

- Zawsze zakładałam najgorszy scenariusz w swoim życiu, żeby później się nie zawieść na nierealnych oczekiwaniach. – Ta odpowiedź daje mi do myślenia. Czyli to nie chodzi tylko o mnie. – Widzę, że już wytrzeźwiałaś. Wracajmy, zanim zamarzniesz. – Powoli się podnosi i pomaga mi wstać. Czyżby to był koniec rozmowy na dziś? Poznawanie go, niewątpliwie zajmie mi lata świetlne.

- Może najpierw napisz do nich sms'a – mówię do niego po chwili, idąc brzegiem jeziora.

- Właśnie to zrobiłem – odpowiada i chwyta mnie za rękę. Od razu mi cieplej. Jakie to niemądre, że jeden jego dotyk i wszystko inne traci na znaczeniu. Czuję się słaba i zależna. – Dziękuję, że z nami przyjechałaś. Bałem się, że zrezygnujesz. Chciałbym móc z Tobą spędzać każdy weekend, a przez maturę nie mam takiej możliwości – dodaje ze smutkiem w głosie. Ściskam go mocniej za dłoń i przytulam policzki do ramienia. Ja też za nim strasznie tęsknię.

- Jeszcze miesiąc i będzie po wszystkim. To tylko czas, pamiętasz? On sam nie potrafi nic zmienić. – Pocieszam go jak umiem, a on całuje mnie w czubek głowy z wdzięcznością. Ale gdzieś z tyłu głowy wyłania się koszmarna myśl, że za miesiąc nic się nie zmieni, a za dwa stracę go bezpowrotnie. Nagle przestaję oddychać i łapię się za okolice serca. Widzę strach w jego oczach.

- Em, co się dzieje?! – Sadza mnie na piasku i kuca przede mną, patrząc z troską. Ledwo słyszę co do mnie mówi, serce dudni jak szalone. Muszę natychmiast uspokoić Piotra, bo zaraz sam zemdleje. Ta myśl wyciąga mnie z obezwładniającej paniki.

- W porządku, zaraz mi przejdzie. Daj mi pięć minut. – Mówię lekko zdyszana, bo dalej ściska mnie pod żebrem. Czuję, że po policzku płyną mi łzy i nie wiem czy bardziej z bólu czy wstydu. Siada obok i mnie obejmuje, cały czas bacznie obserwując moje zachowanie. W końcu stabilizuję oddech.

- Przepraszam, czasem wpadam w taki dziwny stan nerwowy, jakbym zaraz miała umrzeć i kompletnie mnie wtedy odcina. Nie mam nad tym kontroli. – Muszę mu wyjaśnić, żeby nie myślał, że naprawdę dolega mi coś poważnego.

- Czy Twoi rodzice o tym wiedzą? – pyta zdenerwowany.

- Nie. Nie chcę ich martwić. Słuchałam kiedyś podcastu, że to normalne u dziewczyn w moim wieku, z powodu nagłych skoków poziomu hormonów. Pewnie za rok mi samo przejdzie. – Tak sobie codziennie wmawiam i tłumaczę. Piotrek znów wygląda na opanowanego, jakbym podała mu cudowne antidotum, zwane logiką.

- Byłbym znacznie spokojniejszy, gdybyś zechciała potwierdzić to u lekarza, dobrze? – To już jest wymuszanie i manipulacja. Ale jak mam mu teraz odmówić?

- Oczywiście, zajmę się tym po powrocie. – A w myślach dodaję, że kiedyś, w dalekiej przyszłości. – Wracajmy, strasznie mi zimno – dodaję szybko, żeby zakończyć rozmowę na ten temat. Pomaga mi wstać i idziemy do apartamentu, w którym było ciemno i zadziwiająco cicho. I Pomyśleć, że nastolatki potrafią zasnąć o 22.

Budzi mnie pukanie do mojego pokoju.

- Wszystko u Ciebie dobrze, Em? – pyta zatroskany Piotrek, więc automatycznie się podnoszę. Wyspałam się. Zerkam na zegarek, 9.30. Nic dziwnego, że się wyspałam, skoro odpłynęłam na tyle godzin!

-Tak, zaraz się zbiorę! – wołam, pewna, że wszyscy już dawno wstali.

- Wstawaj księżniczko, śniadanie czeka. – Na te słowa, szybko się ubieram i dołączam do pozostałych siedzących w kuchni. W zasadzie, to tylko ja jeszcze nic nie zjadłam.

- Od dawna jesteście na nogach? – pytam z zaciekawieniem, smarując tost masłem orzechowym. Piotrek lustruje mnie wzrokiem, jakby chciał się upewnić, że wszystko już ze mną jest w porządku.

- Ja i Marek o 7. Dziś świętujemy naszą trzecią rocznicę. Byliśmy na romantycznym spacerze po plaży o wschodzie słońca – mówi rozmarzona Asia. To musi być przyjemny stan.

- Obudzili mnie po 8, jak po powrocie konsumowali ten romantyczny spacer. Więc zrobiłem im romantyczne śniadanie, żeby odzyskali utracone kalorie – dodaje rozbawiony Piotrek patrząc przez okno. Asia robi się purpurowa, a ja zaczynam się śmiać.

- Miło na Was patrzeć z rana – mówię szczerze i zabieram się za kolejną kromkę. Piotrkowi ewidentnie spodobało się moje stwierdzenie. Po skończonym śniadaniu, sprzątam kuchnię i ruszam do łazienki. Muszę wziąć zimny prysznic przed trasą.

Kilometry uciekają nieubłaganie. Chciałabym, żebyśmy mieszkali znacznie dalej. Marek i Asia zasnęli wtuleni w siebie. Ktoś tu tej nocy nie pospał, myślę patrząc na nich z zazdrością.

- Jak się czujesz? – pyta szeptem Piotr.

- Dobrze. Nic się nie martw, proszę. – Coś czuję, że codziennie będę dostawać sms'a z pytaniem, czy już byłam u lekarza...

- Nie umiem się o Ciebie nie martwić, Em. – Zaciska szczęki i palce na kierownicy. – Ciężko mi nie myśleć o tym, że mogę Cię stracić – mówi, a ja zastanawiam się czy chodzi mu o to, że mogę być na coś śmiertelnie chora, czy o jego zbliżający się wyjazd. Zanim zdążę znaleźć słowa, by go jakoś dopytać o sens jego ostatniego zdania, staje na stacji benzynowej i budzi nasze śpiochy. Zerkam na wskaźnik paliwa i widzę, że ma jeszcze pół baku. Wcale nie potrzebował zatankować auta. Marek i Asia idą do środka budynku, pewnie do toalety. Wychodzę z auta i przystępuję do ataku:

- Jeśli martwisz się o moje zdrowie, to naprawdę niepotrzebnie. Gwarantuję Ci, że nie jest to żaden przejaw jakiegś poważnej choroby, bo już dawno bym nie żyła. Od wielu lat się z tym borykam. – Stoję obok niego i wiem, że nie ma gdzie teraz uciec, więc musi mnie wysłuchać. – Bardzo Cię proszę, żebyś odpuścił. Mam to pod kontrolą. Musisz mi w końcu zaufać – dodaję.

- Jak sobie życzysz – odpowiada bardzo zdenerwowany. A ja mam nadzieję, że dotrzyma słowa.

Nasza zakochana i niczego nieświadoma para wraca ze stacji, wsiadamy do auta i ruszamy w dalszą drogę. Po godzinie docieramy do miasta, gdzie wysiadają. Nareszcie sami! Tylko jakoś nie mamy o czym ze sobą rozmawiać. W ciszy podjeżdża pod mój dom. Wysiadam z ociąganiem, a on podaje mi torbę z bagażnika. Mówi ciche „cześć” i odjeżdża nie czekając na moją reakcję. Może niepotrzebnie go tak przyszpiliłam przy tym aucie?

Piszemy do siebie codziennie, na szczęście nie wraca do pytań o to, jak się czuję. W ostatnich dniach kwietnia zaczynam chodzić nerwowo po domu, martwiąc się o wyniki jego matury. Znowu pali mnie w klatce piersiowej. Staram się go wspierać, jak umiem najlepiej. Najczęściej kończy się to rozśmieszaniem go przez pisanie, co znowu wymyślili chłopcy z mojej klasy lub jakiś niedawno zasłyszany żart od taty.

Jeszcze w kwietniu dzwonię do dziadków. Babcia mówi, że dziadek jest w złym stanie. Ma ostatnio ogromne skoki ciśnienia i żadne leki nie pomagają. Bardzo się tym denerwuję.

Nadal mam problemy z walcem, ale jest już zdecydowanie lepiej. Myślę, że zabolęło tatę, kiedy zrozumiał, że partner do tańca odgrywa kluczową rolę. Tym też się cały czas martwię. Podobnie jak brakiem kontaktu z Kasią. Parę razy pisałam do niej, czy ma czas w jakiś dzień po południu, ale zawsze była zajęta. Od początku maja nie mamy zajęć ze względu na egzaminy maturalne odbywające się w szkole, więc nie mam pojęcia co u niej słychać.

Piotrek pisze po pierwszym egzaminie, że poszło gładko. No ale, to dopiero język polski poziom podstawowy. Największa przeprawa czeka go na maturze rozszerzonej z matematyki i angielskiego. Z nerwów nie mogę spać.

Dwa tygodnie później dzwoni, że zdał ostatni egzamin ustny i teraz pozostaje mu czekać na wyniki, które otrzyma na początku lipca. Ale z tego co czuję, raczej poszło mu bardzo

dobrze. Chce spotkać się ze mną w najbliższy weekend. Obiecuję mu, że znajdę czas. Nagle dzwoni Kasia.

- Cześć – mówię bez uczucia.

- Bardzo Cię przepraszam, że tak późno dzwonię, ale ostatnio mam straszny kocioł! – A kto nie ma?! Myślę sobie spokojnie. – Masz plany na tę sobotę? Bo jak nie, to Konrad organizuje dla mnie osiemnaste urodziny na naszej plaży nad jeziorem. Będzie ognisko i luźna impreza. Musicie koniecznie przyjść z Piotrem! – Przeszła płynnie od pytania, do stwierdzenia. Cała ona.

- Nie wiem, muszę go spytać. Właśnie skończył pisać maturę, jeśli już pytasz – odburkuję.

- A faktycznie. To super! Nareszcie jest wolny i ma czas. W takim razie potwierdź proszę i do zobaczenia w sobotę! – Mówi i się rozłącza. A ja finalnie rzucam telefonem o ścianę. Zbierało mi się na to od lat. Ciekawe tylko, jak ja teraz skontaktuję się z Piotrem...?

Ubieram się i idę na pociąg. Muszę kupić nowy telefon. Ten na szczęście był bardzo stary i porysowany, więc nie jest mi tak wstyd, jak mogłoby być. Po udanych zakupach, piszę do Piotra o imprezie urodzinowej i że niestety wypada pójść. Odpisuje, że z przyjemnością dotrzyma mi towarzystwa. Korzystam z okazji, że jestem w mieście i kupuję Kaśce prezent. Książkę jej ulubionej pisarki i złoty łańcuszek z drobnymi serduszkami. Mimo, że jestem na nią zła, nadal jest mi bardzo bliska.

W sobotę Piotr przyjeżdża po mnie po 17. Widząc go, stwierdzam, że nie wygląda na zadowolonego jak zakładałam.

- Cześć, coś się stało? – pytam, po tym jak wsiadłam do Misi.

- Nic, czemu pytasz? – odpowiada, pytaniem na pytanie. Denerwujące.

- Bo wyglądasz jakby Cię coś ugryzło – Pokazuję mu jego minę na swojej twarzy. Wreszcie się uśmiecha.

- Przepraszam. Pokłóciłem się przed chwilą z tatą. Muszę sobie to wszystko przemyśleć. Ale nie dzisiaj, masz rację. Pora się zrelaksować. Ciężko na to zapracowałem. – Mówi dumnym z siebie głosem. A ja już mam w głowie ten nieszczęsny Londyn...

- Wszyscy jesteśmy z Ciebie bardzo dumni, niezależnie od wyniku. A ja jakimś cudem nie umarłam na zawał podczas Twoich egzaminów, więc brawo my! – podsumowuję rozbawiona, żeby zeszło z niego napięcie. Uzyskałam jednak przeciwny efekt. Patrzy na mnie ze złością.

- Wolałbym żebyś tego nigdy nie zrobiła, Em – mówi bardzo powoli.

- Piotr, zatrzymaj się na poboczu proszę. – Muszę szybko zareagować, kiedy nadarza się okazja do szczerzej rozmowy. Zjeżdża na trawę i wyłącza silnik. – To był żart. Nigdy nic nie mówiłeś jak zmarła Twoja mama, ale przypuszczam, że to może być powód Twojego niepokoju o stan mojego zdrowia? – Widzę, że analizuje sytuację i waży słowa, które chce wypowiedzieć.

- Cztery lata temu moja mama zmarła na niewydolność serca, rok przed tym jak się poznaliśmy. Przez dwa lata narzekała na duszności w klatce piersiowej. Miała liczne badania krwi, założony holter, EKG i wszystkie wyniki wychodziły prawidłowo. Przed samą śmiercią zdiagnozowali u niej trudno wykrywalną wadę zastawki serca. Nieoperowalną – mówi zdenerwowany jak nigdy.

- Jeszcze w tym tygodniu pójde zrobić rezonans. Możesz pojechać ze mną, jeśli chcesz – szybko odpowiadam ze łzami w oczach i łapię go za rękę. Odwraca się do mnie i też ma łzy w oczach.

- Dziękuję, na pewno będę o wiele spokojniejszy, kiedy to zrobisz – stwierdza, próbując się uspokoić. Obiecuję sobie w myślach, że muszę iść do lekarza w trybie pilnym. Nie sądziłam, że to jest dla niego tak ważne. Wreszcie zrozumiałam, jego strach.

- To co, gotowy na kolejną imprezową katastrofę? – pytam dla rozluźnienia atmosfery. Uśmiecha się niepewnie.

- Nie bardzo, ale jedźmy. – I powoli rusza w drogę.

Na plaży zgromadziło się chyba pół szkoły. Chłopcy z ekipy już siedzą w wodzie i się wygłupiają. Pozostali bawią się w podgrupach: tańczą na piasku, grają w siatkówkę, opalają się, rozpalają ognisko i ogarniają jedzenie oraz napoje. Na szczęście pomyślałam o tym w domu i przywiozłam swoje piwo bezalkoholowe, bez żadnych etykietek, tak żeby dali mi spokój z namawianiem do mocniejszych trunków. Zresztą, jeśli czekają mnie dzisiaj jakieś problemy, to lepiej żebym była trzeźwa i kontrolowała swoje emocje. Odnajduję w tłumie Kasię i wręczam jej prezent. Odkłada go na bok bez otwierania i ciągnie mnie w stronę dziewczyn, które kroją kiełbaski. Rzucam przepaszające spojrzenie w stronę Piotra i odchodzę.

Do godziny 21 jest bardzo sympatycznie. Później zauważam, że lawinowo rośnie liczba pijanych dzieciaków. Kaśka próbuje namówić mnie najpierw na kąpiel w wodzie, ale dla mnie jest zbyt dużo gapiących się osób, a następnie na tańce, za które również jej dziękuję. Widzę, że ma mi to za złe. Czuję się coraz bardziej spięta. Chwilę siedzę z Piotrkiem i Konradem, przysłuchując się ich rozmowom na temat szeroko pojętych gałęzi motoryzacji i ziewam co chwilę. Znowu podchodzi Kaśka.

- Co Wy tak tu zamulacie! Jestem dorosła, czyż to nie piękne?! – zaczyna głośno krzyczeć, a potem próbuje na siłę mną potrząsać w rytm muzyki. Bardzo dorosłe zachowanie, myślę, próbując wyswobodzić się z jej pijackich rąk. Śmierdzi wódką, co jest paskudne. Nachyla się do mnie i mówi prosto w moją twarz:

– Jesteś taka sztywna Em, kiedy Ty wreszcie wyluzujesz i zaczniesz się bawić? Konrad też tak uważa, prawda Konrad? – I na potwierdzenie patrzy na swojego chłopaka, który wygląda jakby ze wstydu próbował utonąć w piasku.

– No dalej kochanie, powiedz jej! – Cisza. Tu zwraca się bezpośrednio do mnie i podnosi głos:

- Jak tak dalej będziesz się zachowywać, Em, to za 30 lat się z nim prześpisz! – mówiąc to, próbuje wskazać paluchem na Piotra, co niezbyt jej wychodzi. Coraz więcej osób na nas patrzy

i słucha wyводу Kaśki, co podnosi mi ciśnienie do granicy mojej samokontroli, która nadal jest dosyć nisko.

– Czy Ty się w ogóle kiedyś z kimś całowałaś?! – Dodaje śmiejąc się. – Pewnie nawet nie wiesz jak się do tego... – Nie pozwalam jej dokończyć myśli i nie panując nad sobą, łapię ją za włosy, przyciągam do siebie i całuję tak, jakby od tego miało zależeć moje własne życie. Po chwili odsuwam się od niej, czując, że wywarłam na niej wystarczające wrażenie i dodaję:

- Droga Kasiu, to był mój pocałunek śmierci, a to oznacza, że nie ma już dla Ciebie miejsca w moim życiu. Żegnaj. – Jestem z siebie taka dumna. Obracam się na pięcie i idę w stronę auta Piotrka, licząc, że zaraz się ocknie z szoku i za mną pójdzie. Słyszę, jak Kaśka mówi rozmarzonym głosem: - O matko, jak ona zajeździe całuje...

Po chwili, która trwa dla mnie wieczność, Piotrek podbiega do mnie i otwiera mi drzwi od samochodu.

- Ani słowa – mówię ostrzegawczo, bo wiem, że nadal jestem na granicy mojej wytrzymałości. Kiwa głową i wsiada z drugiej strony.

Drogi do domu nie pamiętam, płakałam patrząc przez okno. Gdy podjeżdża pod schody, nawet nie czekam, aż auto całkowicie się zatrzyma i wyskakuję z niego na podjazd, a następnie znikam za drzwiami bez pożegnania. Na szczęście rodzice już spali, więc mogę swobodnie przemieścić się do pokoju i tam utonąć w pościeli z poduszką na głowie. Rano dostaję od niego sms'a, że jeśli chcę porozmawiać, to jest dostępny. Nie mam na to ochoty. Zmuszam się i odpisuję, że bardzo dziękuję, ale nie mam dzisiaj siły wyjść z domu i potrzebuję czasu, żeby wszystko przemyśleć. Widzę, że mam też kilka smsów z gratulacjami nowej dziewczyny i zdjęcia z „akcji roku”. Pobiegłam do toalety, żeby zwymiotować. Tak oto kończy się moja przyjaźń z Katarzyną.

W niedzielę mówię rodzicom, że jestem chora i zostanę dziś w łóżku. Wyglądam tragicznie, więc uwierzyli. W poniedziałek nie idę do szkoły. Faktycznie czuję się jakbym miała gripę, ale wiem, że to moja psychika tak rozrabia. Proszę mamę, żeby zawiozła mnie do lekarza. Wchodzę do gabinetu sama. Opisuję prawdziwe objawy i załatwiam skierowanie na rezonans i do kardiologa, które ukrywam przed mamą. Po południu, gdy rodzice są zajęci rozmową, obdzwaniam najbliższe kliniki i znajduję termin na piątek - 60 km od domu. Piszę do Piotra, czy da radę zerwać się z lekcji i mnie zawieźć. Powstrzymuję się od zaczepnego tekstu, czy miałby ochotę na rewanż i czy da się wyciągnąć na wagary. Po jego potwierdzeniu, rezerwuję termin rezonansu. W piątek mówię mamie, że już się dobrze czuję i jadę do szkoły. Docieram na dworzec, gdzie czeka już na mnie Piotrek. Rozumie, że nie chcę denerwować rodziców. Oni wystarczająco się już teraz martwią o zdrowie dziadka. Pytam czy wracając moglibyśmy podjechać na cmentarz, do babci. Tak strasznie mi jej brakuje w ostatnich tygodniach. Czuję, jakbym nie miała z kim szczerze porozmawiać. Zgadza się.

Badanie jest długie i nieprzyjemne. W maszynie jest strasznie głośno, mimo nałożonych nauszników, co sprawia mi fizyczny ból. Kiedy wychodzę z pokoju badań, wyglądam jakbym

właśnie spadła z konia. Piotrek protestuje, że nie chce jechać na cmentarz, skoro źle się czuję. Biorę się w garść i jakoś go przekonuję. Cały czas czuję się półprzytomna, jak po mocnych prochach na uspokojenie. Zatrzymujemy się przy kwiaciarni i kupujemy dwa wrzosey w doniczkach. Jeden zanosimy do babci, a później prowadzi mnie do innej części cmentarza. Serce mi zamiera, gdy widzę grób jego mamy z napisem „Kochamy Cię, Magdaleno i tęsknimy”. Jakby tu czas dla niej się zatrzymał, a ona trwała w wieczności, czekając na nich. To musi być dla niego bardzo trudne, by podzielić się ze mną tym miejscem. Doceniam co dla mnie robi kiedy siedzimy na ławce przed nagrobkiem wpatrzeni w przestrzeń. Po jakimś czasie orientuję się, że szlochającą prowadzi mnie do samochodu. Czeką, aż się uspokoję i odwozi mnie do domu. Tata jest w pracy, a do mamy przyszła jakaś koleżanka, więc bezpiecznie prześlizguję się do siebie do pokoju. Ostatnio zapominam, że należy czasem coś zjeść.

Czerwiec pojawia się na kartce z kalendarza w kuchni. Liczę, zostały tylko 3 tygodnie do zakończenia roku i mojego balu. Dwa weekendy do kolejnej katastrofy, którą przeczuwam w każdym włosku na skórze. W sobotę dzwonię do Piotra.

- Cześć. Jakie masz plany na weekend? Potrzebujemy z mamą pomocy przy truskawkach. Zainteresowany? – A w myślach dodaję, tym bardziej jak nie ma tu już z nami babci. I znów zbiera mi się na płacz.

- Cześć. Jestem gotowy pomóc – odpowiada zadziwiająco ucieszony moją propozycją.

- Dzisiaj z mamą będziemy je zbierać, a jutro zamierzamy smażyć, robić przetwory i soki. Przyjeżdżaj, kiedy możesz, bo mnie raczej od nich nie uda się uciec – mówię smutno, pokonana.

- W takim razie już się zbieram. – Po czym rozłącza połączenie.

Podczas zbierania owoców, Piotrek przyznaje się, czemu był zły na tatę w drodze na imprezę urodzinową Kaśki. Na samą myśl o plaży robi mi się niedobrze, tym razem bez przykrych konsekwencji. Okazuje się, że na cały czerwiec zapisał go, codziennie, na doksztalające zajęcia z ekonomii, które miał mieć zaraz po szkole, co powoduje, że nadal nie będziemy mieć czasu dla siebie. Przynajmniej teraz wiem, że nie tylko mnie to denerwuje.

W poniedziałek idę do szkoły. Znów siedzę sama w ławce, jak w pierwszej klasie. Chłopaki na początku coś próbują do mnie żartować na temat imprezy, ale widząc moją grobową minę, szybko dają sobie spokój. Kaśka siedzi sztywno obok Konrada, ani razu nie spoglądając w moim kierunku.

We wtorek dostaję wyniki rezonansu. Jestem tak przerażona, że ich nie otwieram. Umawiam się na czwartek po szkole do kardiologa, będę musiała zrezygnować z wizyty u Szajki.

W środę kolejny dzień w beznadziejnej szkole. W czwartek jadę do lekarza, nikomu o tym nie mówiąc. Ledwo oddycham. Kardiolog patrzy bez słowa na obraz z płytki. Potem przystępuje do czytania opisu, którego nadal nie chcę widzieć i stwierdza cicho „zdrowa jak rydz”. Biorę pierwszy głęboki oddech od tygodnia. Dodaje jednak z troską, czym wprawia mnie w osłupienie, że powinnam zasięgnąć pomocy terapeuty. Dochodzę do wniosku, że chyba wolałabym usłyszeć, że mam wadę serca niż chorą psychikę. Dziękuję mu za radę i wychodzę

z gabinetu. Nie ma takiej opcji, żebym kiedykolwiek poszła do kogoś obcego i opowiadała mu, co czuję. Postanawiam, że poradzę sobie sama. W związku z tym dzwonię do Piotрка.

- Wszystko jest dobrze z moim sercem. Właśnie wyszłam od kardiologa. – Nie mówiłam mu o tym wcześniej, żeby nie miał zepsutego całego dnia.

- Czyli to jednak hormony, tak jak mówiłaś. To dobrze, Em, mam nadzieję, że Ci to szybko minie. – Nie zamierzam wyprowadzać go z błędu.

- Ja też. – Odpowiadam krótko i niestety musimy skończyć rozmowę, bo wchodzi na zajęcia.

Kolejny weekend spędzam w towarzystwie taty, powtarzając w kółko nasz taniec tak długo, że aż mam spuchnięte nogi. Świadectwo będzie średnio wyglądać, co rodzice przyjęli z rozczarowaniem i smutkiem. Mam wszystkiego dość. Coraz częściej brakuje mi tchu. Duszę się po obudzeniu, po usłyszeniu nadchodzącej wiadomości, czy po dzwonku na przerwę w szkole, której nienawidzę. Radosny i beztroski śmiech Kaśki, za każdym razem doprowadza mnie do furii, a później przeradza się w ostry ból w rejonie mostka. Niech ten rok już się skończy. Tak jakby potem miało być lepiej...

W środę, po zakończeniu roku, z dyplomem w ręce, pędzę na pociąg powrotny do domu. Pozostali uczniowie idą oblewać nastający czas wakacji. A dla mnie rozpoczyna się prawdziwy koszmar, przez nikogo niezauważony.

Już w tą sobotę odbędzie się bal. Jedynym pocieszeniem jest to, że potem będziemy mieć z Piotrkim tydzień wyłącznie dla siebie, zanim dostanie wyniki z matury i podejmie decyzję co dalej. Wiem, że gdy wyjedzie do Londynu, to i tak przez rok muszę tu zostać. Dopiero po maturze mogłabym aplikować na studia za granicą, ale czy rodzice by się na to zgodzili? Wątpię. Ja też nie wiem, czy umiałabym ich zostawić i ruszyć w świat, który mnie przeraża. Te myśli bolą najbardziej. A później już wiecie, wydarzyło się to, co zawsze. Imprezowa katastrofa, na której straciłam go na wiele lat.

Po dramatycznym walcu na balu i wakacjach spędzonych w stajni u boku Dominika, nastał deszczowy wrzesień. Dziadek czuł się już dobrze, nareszcie ustabilizowali mu ciśnienie.

Nadszedł ostatni rok w liceum, a ja nadal nie wiem, co dalej będę robić w swoim życiu. Mam chaos w głowie i emocjonalnego doła. Czy naprawdę po tym wszystkim, mam teraz spokojnie decydować o swojej przyszłości? Nierealne. Nie potrafię podjąć takiej decyzji, wszystkie zmiany są dla mnie niezwykle ciężkie. W dodatku znów zobaczę roześmianą ekipę, na co nie mam teraz ochoty. Utwierdzam się w swoich przekonaniach już pierwszego dnia w szkole. Podchodzi do mnie Kaśka z Konradem.

- Jej Em, słyszeliśmy co się wydarzyło – mówi przejętym głosem. Tak, pewnie teraz pół szkoły rozmawia o czerwcowym balu, myślę. – Tak nam przykro!

- W porządku – odpowiadam i odsuwam się, żeby nie wpadła na pomysł, żeby mnie przytulić.

- Jak widać kiepsko kończą się wszystkie imprezy, na które jestem zapraszana.

- Nie miałam na myśli balu, Em – mówi smutno Kaśka. - To też musiało być dla ciebie kiepskie – Mało powiedziane, myślę. – Chodziło mi o wyjazd Piotra. Nie sądziliśmy, że podejmie taką durną decyzję!

- Podjął najlepszą z możliwych – stwierdzam spokojnie. Na szczęście dzwoni dzwonek i Kaśka musi usiąść z Konradem w swojej ławce. Kto by pomyślał, że znów będziemy rozmawiać. Nie czuję w sobie krzty radości z tego powodu.

Przed osiemnastymi urodzinami, tłumaczę rodzicom, że nie zamierzam organizować żadnej imprezy, nawet takiej w domu. Przyjmują to z ulgą. W poniedziałek, w dniu, kiedy to powinnam dumnie wkraczać w dorosłość, nie poczułam nic. Żadnej zmiany. Coraz częściej wracam myślą, do słów lekarza, kiedy zasugerował mi terapię u psychologa. W końcu pod koniec października coś zmienia się w mojej głowie. Psychologia kliniczna dzieci i młodzieży. To był mój nagły, fantastyczny pomysł na studia. Biorę się więc do pracy, wiedząc, że jeśli się przyłożę, to zdam maturę śpiewając. Muszę wygonić z siebie wewnętrznego lenia. Zapisuję się na mnóstwo zajęć dodatkowych, a nauka o psychice mnie pochłania. Co dziwne, rodzice bardzo się cieszą z wybranego kierunku. Jakby na nowo we mnie zaczęli wierzyć. A ja mam chytry plan, że gdy poznam wszystkie tajniki psychoterapii, to wreszcie pomogę sama sobie. Genialne, prawda?

Zakuwam dniem i nocą. Mama przynosi do pokoju kolejne porcje jedzenia, które posłusznie pochłaniam. Dwa razy w tygodniu pozwalam sobie na wizyty w stajni, w ramach odpoczynku i zresetowania. Dominik zaczął studia, więc rzadko się widzimy. Częściej pisze o swoich podbojach, co również służy jako przerywnik w nauce. Nadszedł maj. Tym razem stres działa na mnie mobilizująco. Nie ma bezdechów, bólów w klatce, czy napadów paniki. Uparcie prę do celu. I opłaca się. Wiem, że dobrze napisałam maturę. Teraz tylko muszę poczekać na początek lipca, kiedy to będę mogła aplikować na studia i spełnię swoje założenia na ten rok. Jestem pewna, że mi się to uda. Czuję, że po tym wszystkim co w życiu przesłam, zasłużyłam na nagrodę i nawet nie biorę pod uwagę, że mogłoby stać się inaczej. W połowie lipca otrzymuję potwierdzenie moich myśli, w postaci listu zaczynającego się od słów „Serdecznie gratulujemy...”. Rodzice są ze mnie dumni, a ja czuję spokój, który oczywiście nie trwa zbyt długo. Dzwoni Kaśka.

- Cześć – duka, a ja słyszę, że płacze.

- Co się stało? – pytam pospiesznie. Ostatnio częściej ze sobą rozmawialiśmy, ale na stopie koleżeńskiej.

- Konrad. – Słyszę jak rozedrgana wypowiada jego imię i już wiem, o co chodzi. Historia stara jak świat.

- Wsiadam na rower i zaraz u Ciebie będę – odpowiadam.

- Czyś Ty zwariowała, to 15 km i to pod górę! – Już chcę jej opowiedzieć, że przejechałam już kiedyś więcej, ale nie mam ochoty dziś tego wspominać. Jego wspominać. Żegnam się i wsiadam na swój pojazd. Po niecałej godzinie pukam do Kasi.

- To jest niemożliwe, żebyś tak szybko tu dotarła. Chyba, że masz elektryczny rower? – mówi zdziwiona stojąc w drzwiach i ocierając łzy. Kasia zawsze była z tych pragmatycznych.

- A jednak, dałam radę. Ostatnio dużo ćwiczę i jestem w formie. – To prawda, do codziennej rutyny wprowadziłam poranne ćwiczenie jogi. W jednej z książek, przygotowując się na studia, przeczytałam o pozytywnym wpływie na działanie mózgu, poprzez systematyczne rozciąganie i wzmacnianie powięzi. Ale przecież nie będę jej tego teraz wyklądać. – Chodź, lepiej opowiedz mi, co się wydarzyło z Konradem. – I popycham ją do środka.

Tak jak przypuszczałam, rozstali się. Kasia postanowiła wyjechać na studia medyczne do Francji, o czym poinformowała Konrada. Konrad poinformował Kasię, że nie zamierza się tam uczyć i zostaje tutaj, na architekturze. Konrad oznajmił, że wyjeżdża na wakacje do Indii, a Kasia postanowiła zwiedzić Kubę. Koniec pieśni. No cóż, można było spodziewać się, że to nastąpi, bo mimo, iż spędzali razem całe dnie, to nigdy nie rozmawiali ze sobą o przyszłości.

Kasia niebawem wyjeżdża, więc kontakt znów nam się trochę urywa. Liczę jednak, że zmieni się to, gdy wróci za trzy lata z nauki przedklinicznej. Zamierza kontynuować kolejne stopnie w tutejszych szpitalach. Bardzo się cieszymy na myśl, że być może będziemy odbywać staż w tym samym miejscu.

Pod koniec lipca wyjeżdżamy z mamą do dziadków. Tata został, bo ma dużo pracy. Hiszpania jak zwykle nie zawodzi i sprawia, że wracam z lepszym nastawieniem.

Okres pięcioletnich studiów, jeśli chodzi o naukę, stanowi wieczną walką o przetrwanie. Do tej pory myślałam, że matura jest trudna, a tu okazuje się, że najgorsze dopiero przede mną. Na drugim roku, zapisuję się na terapię. Wreszcie do mnie dociera, że sama sobie nie poradzę. Już po kilku miesiącach uczęszczania na spotkania z terapeutką, widzę pierwsze efekty. Zaczynam lepiej kontrolować swoje emocje i umiem przekierowywać rosnącą, destrukcyjną frustrację, poprzez uwalnianie napięcia w sporcie oraz podczas medytacji.

Natomiast jeśli chodzi o sprawy sercowe, można powiedzieć, że następuje u mnie prawdziwy rozkwit. Zaczynam umawiać się na randki. Nawet raz, z kolegą z trzeciego roku, udaje się utrzymać pierwszy poważny związek aż przez całe 4 miesiące... Sukces! Oczywiście zakończony w moim stylu, katastrofą.

Jest kwietniowa, słoneczna sobota. Nic nie zapowiada nadchodzącej burzy. Umawiam się z Mateuszem na spacer po lesie. Mówi, że zna fajne miejsce, które na pewno mi się spodoba. Zazwyczaj jak tak mówi, to jemu faktycznie się coś podoba, a mnie nie za bardzo. Przyjeżdża po mnie, pod dom. Wsiadam do auta i witam się z nim bez większych uniesień. Nagle dzwoni Kasia.

- Cześć Em! Za trzy miesiące wracam! Już się nie mogę doczekać! – piszczy mi do ucha.

- Ja też Kasiu – odpowiadam spokojnie, żeby ją trochę wyciszyć. A później opisuję jej mój ostatni tydzień. Rewanżuje się tym samym. Następnie snujemy wspólne plany na wakacje. Po chwili słyszę, jak Mateusz szepcze, że jesteśmy na miejscu i wysiada z auta. Jestem tak pochłonięta rozmową z Kasią, że nawet nie wiem, w którym kierunku pojechaliśmy.

Oznajmiam, że jestem na randce i muszę kończyć, na co Kasia się ze mnie śmieje i rozłącza. Dołączam do Mateusza.

- Przepraszam. Z nią ciężko się nagadać – mówię radośnie, a Mati obejmuje mnie i całuje moje włosy.

- Wiem, nie mam Ci tego za złe, Emilko. Choć nie ukrywam, że boję się co to będzie, jak Kasia wróci – odpowiada pół żartem, pół serio. Fakt, nie będzie mu łatwo, bo nie zamierzam spędzać z nim każdej wolnej chwili, a spotkania z Kasią są dla mnie zbyt ważne, by z nich zrezygnować. Czy jestem zakochana? Trochę tak, ale nie poraża mnie to uczucie. Na co dzień staram się nie porównywać go do nikogo kogo znałam. W ogóle staram się nie wspominać Piotra, bo nadal pierońsko boli mnie jego brak. Nie mówiłam o nim Mateuszowi, myślę, że i tak nie byłby w stanie tego zrozumieć.

Idziemy przez piękny, soczysty, zielony las, trzymając się za ręce. Ostatnio nie bardzo mamy o czym ze sobą rozmawiać, poza tematami dotyczącymi zajęć czy jego hobby (modelarstwo), ale lubię jego bliskość. Nagle wychodzimy na łąkę i słyszę jakby mówił do mnie spod wody:

- Ostatnio przyjechałem tu na rower i przez przypadek trafiłem na tę łąkę. Musiałem Ci to miejsce pokazać. Widok stąd jest cudowny, prawda Emilko? – patrzy na mnie wyczekująco, a mnie najpierw miękną kolana, a później czuję rosnącą frustrację.

- Chcę natychmiast wrócić do auta – mówię krótko, trzęsąc się ze złości i próbując wyrwać się z jego objęć. Czuje się jakbym kogoś zdradzała.

- Co w Ciebie wstąpiło? – pyta z pretensją. – Przecież to tylko łąka. - Tylko łąka, myślę i z zamkniętymi oczami przypominam sobie na niej swoje pierwsze wagary, pożegnanie z babcią, smak soczystych owoców i czarne oczy Piotra wpatrzone we mnie w pełnym skupieniu. Jego lśniące w słońcu ciemne włosy, łagodny uśmiech i ciepłe dłonie.

- Kocham Piotra. – Mówię na głos, sama nie wiem czemu.

- Słucham? Jakiego znowu Piotra? O czym Ty mówisz, Emilio?! – pyta podniesionym głosem. Nic dziwnego, musi być w szoku.

- Przepraszam, ale nie dam rady – stwierdzam z goryczą, odwracam się i biegnę przez las. Nie zatrzymuję się, jak za mną woła. Po prostu nie mogłam tam stać ani chwili dłużej. Po godzinie przedzierania się przez coraz większe zarośla, staję w miejscu. Nie mam pojęcia, gdzie jestem. Wyjmuję telefon, na szczęście jest zasięg. Wybieram numer alarmowy:

- Dominik? Potrzebuję pomocy. Jestem... nie wiem gdzie. – Mówiąc to, rozglądam się wokół, szukając czegokolwiek charakterystycznego w terenie.

- Tak, to bardzo cenna informacja, Em. A teraz włącz słoneczko lokalizację i mi prześlij – mówi spokojnym głosem Dominik. On zawsze jest opanowany w sytuacjach kryzysowych.

- Wysłałam. Czekam. – Rozłączam się.

Po czterdziestu minutach zostaję uratowana. W sensie teraz w dwójkę stoimy w chaszcach i zastanawiamy się, którędy iść, bo droga, którą przyszedł Dominik, nie wyglądała za ciekawie. Ma całe ręce podrapane gałęziami i kilka wbitych w nogę kolców z jeżyn. Dwadzieścia minut zajmuje nam dotarcie do jego samochodu. Rozglądam się, czy jest tu gdzieś Mateusz, na szczęście nigdzie go nie widzę. Telefon milczy. Opowiadam Dominikowi, co się wydarzyło, bo cały czas patrzy na mnie z przerażeniem.

- Całe szczęście – stwierdza, rozluźniając się trochę, a ja patrzę na niego jak na kosmitę. – Myślałem, że ten dupek chciał Ci zrobić krzywdę, Em! – wyjaśnia.

- Dlaczego dupek, przecież go lubiłeś? – dopytuję. Miło, że się o mnie martwi.

- Nie żartuj sobie. Przecież, to nie jest chłopak dla Ciebie. Nie dba o Ciebie i mówi wyłącznie o sobie. I do tego ma kij w dupie. – podsumowuje celnie Dominik.

- Hm, kogoś mi to przypomina – mówię złośliwie i się uśmiecham.

- Ja przynajmniej Cię dostrzegam – droczy się ze mną dalej. Mówiąc to, poprawia moje włosy i wyjmuję dużą ilość liści oraz gałązek. Jakby ktoś zobaczył nas z boku, to mógłby pomyśleć, że do siebie pasujemy. Ale po chwili, zmieniłby na pewno zdanie. Niestety na dłuższą metę bywamy w dwójkę bardzo męczący. Myślę, że „niestety”, bo to naprawdę fajny facet.

- Bardzo Ci jestem za to wdzięczna, ale wydaje mi się, że patrzysz zbyt płytko – odburkuję, udając obrażoną.

- Gdybym miał patrzeć głębiej, to boję się, że Twoje czeluści by mnie pochłonęły. Znałem tylko jednego wariata, który się na to odważył – dodaje poważnie i mocno mnie przytula. Ja też go znałam, ale wyjechał. – Wsiadaj, odwiozę Cię do domu, zanim mi się tu rozkleisz.

W drodze do domu piszę do Mateusza, że go przepraszam, ale jest ktoś o kim nie potrafię zapomnieć, a właśnie na tej łące mam z nim bardzo wiele wspólnych wspomnień z młodości. Odpisał, że dziękuje za wytłumaczenie, bo po raz pierwszy w życiu nie zrozumiał, co się wydarzyło. Witaj w moim świecie, myślę. I wtedy spadł deszcz, a później usłyszałam pierwszy piorun.

Następnego dnia oznajmiam rodzicom, że rozstałam się z Mateuszem. Wyglądali na dziwnie spokojnych. A na moje pytanie, czy nie jest im przykro, mama odpowiedziała szczerze:

- Nie wyglądałaś przy nim na szczęśliwą. Raczej na niezauważoną. – Szkoda, że nie powiedziała mi tego cztery miesiące temu. Za to bardzo się cieszą z niezapowiedzianych odwiedzin Dominika, który jest tu z misją sprawdzenia stanu mojej psychiki. Po godzinie muszę przypomnieć rodzicom, że mają jechać do znajomych na obiad, bo tak się z nim zagadują, że zapominają o bożym świecie.

- Nie do wiary. – Cedzę przez zęby, jak tylko opuszczają dom. – Jak Ty to robisz?

- Po prostu jestem naturalnie czarujący, a w dodatku, stanowią najlepszą partię w mieście. – Szczerzy się, zarzuca grzywką i udaje, że porywa mnie do tańca. Przy nim uspokajam się najszybciej. Jest jak plaster na ranę, która raz na czas się znów otwiera.

- Chodź czarusi. Mam dla Ciebie wyjątkowy prezent – mówię, udając, że go kokietuję.
- To, gdzie mam się położyć? – pyta rozglądając się, a ja wybucham śmiechem.
- Przykro mi, ale Twoja niespodzianka czeka na zewnątrz. – Widzę, jak się krzywi.
- Mam wziąć grabie czy łopatę? – dopytuje z rezygnacją, a ja utwierdzam się w przekonaniu, że mnie dobrze zna.
- Co wolisz? Mamy dziś do wyrównania grządki oraz przesadzenia kilka krzaków borówek, bo za bardzo się rozrosły i zasłaniają poziomki – tłumaczę mu rzeczowo, ale wiem, że pewnie weźmie łopatę, jak na dżentelmena przystało.
- Trudny wybór. Jak wezmę łopatę to usłyszę od Ciebie, że jestem seksistą, a jak grabie, to że nie jestem wystarczająco męski. Tak czy siak się do czegoś przyczepisz, bo wczoraj miałaś beznadziejny dzień, a ja dziś posłużę jako worek treningowy. Mam rację? – pyta bezczelnie uśmiechnięty. Znam tylko jedną osobę, która nigdy nie bała się mówić mi prawdy, bo sądzi, że dzięki temu mi pomoże. Choć czasem jej słowa bywają bardzo wkurzające.
- Masz – odpowiadam z rezygnacją. I w mojej głowie świta myśl, która po chwili przeradza się w stuprocentową pewność. Mam nową misję. Jak to dobrze, że Katarzyna niedługo wraca!

Przez cały maj i czerwiec, oprócz natłoku egzaminów, każdą wolną chwilę poświęcam na spotkanie się z Dominikiem, z czego moi rodzice strasznie się cieszą. Później, po każdym spotkaniu spędzam czas na telefonie, opisując szczegółowo Katarzynie nasze wspólne wyjścia. Z początku jest sceptyczna, co do zachowania Dominika, później sama zaczyna dopytywać o niego. Ona też myśli, że łączy mnie z nim coś głębszego. Na szczęście Dominik po każdej konfrontacji ze mną, jest coraz bardziej niezadowolony i nie wykazuje żadnego zainteresowania moją osobą. Sytuacja idealna. Wreszcie Kasia ląduje w Polsce.

Umawiamy się na spotkanie w cztery oczy. Pyta, czy mogłybyśmy pojechać razem w teren, bo tak dawno nie była na koniach. Oczywiście, że się zgadzam, wiedząc, że „przypadkiem” Dominik też będzie wtedy w stajni. A robię wszystko, żeby tak się właśnie stało. W zasadzie to przedstawiam mu stan jego klaczy w smsie jako śmiertelnie niepokojący.

Spotykamy się na miejscu. Na jej widok strasznie się cieszę. Ściskamy się radośnie. Potem długo rozmawiamy, a ja robię wszystko, żeby jeszcze tu postać kolejne 10 minut, które zajmie Dominikowi dotarcie do stajni (tak wyliczyłam). W końcu mogę wewnętrznie odtrąbić, że się udało! Serce mi bije, jakbym przebiegła maraton. Odczytuję właśnie wiadomość od Dominika, że już jest na miejscu i klacz wygląda normalnie. Hihi.

- To co, idziemy po nasze koniki? – pytam z niecierpliwością, a Kasia potakuje. Wchodząc do stajni odpisuję Dominikowi, że musi się lepiej przyjrzeć, bo moim zdaniem nie patrzy na tą klacz co trzeba. Widzę, jak podnosi głowę stojąc przy swoim koniu i z wściekłą miną patrzy na mnie, po czym przenosi wzrok na Kasię i wyraz jego twarzy zdecydowanie się zmienia. Jestem geniuszem.

- Cześć Dominik, czy wszystko dobrze z Twoim koniem? – Specjalnie dwuznacznie to wypowiadam, a on zabija mnie wzrokiem. Kompletnie mnie to nie rusza. Dawno nie czułam się tak dobrze. – A przepraszam, to jest Kasia, moja koleżanka z liceum, o której Ci chyba wspominałam. Przyszłość medycyny w tym kraju. – Widzę kątem oka jak Kasia się rumieni. Dominik wyciera ręce w bryczesy i podaje rękę Kasi. A potem obydwójce zamierają. Kocham ich strasznie.

Tak właśnie uratowałam swoją przyjaźń, zabiłam w rodzicach chęć dalszego swatania z Dominikiem i obroniłam koleżankę przed byłymi chłopakami, czającymi się na nią po powrocie do kraju. Już wtedy czułam, że kiedyś będę najlepszą ciocią dla ich dziecka. Ale nie powiedziałam im tego, bo i tak by nie uwierzyli.

Późniejsze lata wspominam jako dobry czas, który poświęcam na pogłębianie swojej wiedzy z dziedziny psychologii, odbywanie licznych praktyk, a później staż w klinice. Cieszy mnie możliwość niesienia pomocy zagubionym dzieciom, w których zawsze dostrzegam małą część siebie. W wakacje jeżdżę po świecie, zwiedzając większość europejskich stolic (oprócz tej w Wielkiej Brytanii), a później ruszam na podbój Azji. Sześć spokojnych lat, z których mam niewiele wspomnień. Moje emocje są cały czas stabilne. Dochodzę do wniosku, że życie zrobiło się straszliwie nudne. Dziś myślę, że przez tą myśl, sama przyciągnęłam do siebie kolejne wydarzenia.

Nagle mam 27 lat. Szybko zleciało, mówią, ale nie czuję się staro. Nareszcie zostaję zatrudniona w klinice dziecięcej na czas nieokreślony. Z kolejnych rewelacji, to będę świadkową! Kasia i Dominik, oświadczyli mi, że muszę objąć tę funkcję na ich grudniowym ślubie. Ciężko odmówić tak postawionej prośbie. Idę ulicą Sienną, na cotygodniowe spotkanie z Kasią, gdy mój wzrok przyciąga witryna sklepową, wypełniona sukniami ślubnymi oraz tą jedyną w swoim rodzaju, czarną sukienkę, która zmienia całe moje przyszłe życie. Ale to już wiesz.

A więc, wracając do kolejnego nieszczęsnego balu, z którego końcowo zostałam wyniesiona przez Piotra-organizatora i wrzucona do taksówki. Muszę przyznać, że mogło skończyć się gorzej, niż na urażonej dumie. Oczywiście zakładam, że jeśli jeszcze go kiedyś spotkam, to nie zamierzam mu nigdy wyjaśniać, co tak naprawdę wydarzyło się w dniu, kiedy poznałam Dominika. Tamten bal debiutantów musi zostać ostatecznie zakopany. A życie mówi „tere fere”.

Niedziela wczesnie rano, telefon bzyczy i bzyczy. Co to za upierdliwa pszczoła, myślę. Wracają do mnie wspomnienia z zeszłej nocy i niechętnie czuję podniecającą radość, wynikającą z faktu, że Piotr wrócił z Londynu! Karczę się i patrzę kto dzwoni. Mama z Norwegii. Pyta co u mnie słychać i informuje, że wracają za dwa-trzy tygodnie. Bardzo mnie to cieszy. Leżąc w łóżku, wykręcam numer do Kasi.

- Wstawaj – mówię twardo. Mam asa w rękawie, wszystko mi dziś wybaczy.

- Pogięło Cię, Em? Jest 7 rano! Oby to było coś pilnego! – burczy na mnie Kasia.

- Trochę jest. Piotr wrócił – odpowiadam spokojnie.

- Co Ty gadasz?! – wykrzykuje Kasia. – Był na wczorajszym balu?! – W tle słyszę szamotaninę z telefonem, jakby dwa koty walczyły o niego. Nawet sobie to jestem w stanie wyobrazić. Dominik w końcu krzyczy do Kasi, żeby dała na głośnomówiący.

- Dzień dobry, Dominiku. Co dobrego u Ciebie? – Witam się z nim, czym doprowadzam ich na skraj frustracji. A potem wszystko im opowiadam. Z nimi jest trochę tak, jak było z babcią. Nawet nie muszą o nic pytać, żeby wyleciał ze mnie potok słów. Po zreferowaniu wydarzeń, przychodzi najtrudniejszy moment:

- A jak Ty się z tym teraz czujesz, Em? – pyta zatroskana Kasia.

- No właśnie jeszcze się do końca nie zdiagnozowałam. Poza tym, mam za mało danych. Czemu wrócił? Czy znów wyjedzie? Czemu zorganizował ten bal? – wystrzeliwuję kolejne niepewności w przestrzeń kosmiczną.

- Em, myślę, że wszystkie te pytania będziesz mogła mu spokojnie zadać, przy najbliższej okazji. Nie martw się na zapas – mówi spokojnie Dominik. Ma rację, ale ciężko mi teraz myśleć racjonalnie. Kończę rozmowę i opanowuję chęć biegnięcia do domu Piotra. Przypominam sobie, jak zostawił mnie bez słowa 10 lat temu. To mnie troszeczkę cuci. Schodzę na dół i nie mogąc nic przełknąć, idę do sadu. Po godzinie krążenia wokół jabłoni, mam dość. Wszędzie te cholerne jabłka. Muszę stonować swoje emocje, więc postanawiam pojechać na rowerze na cmentarz. Do bagażnika montuję doniczkę z kwiatami i łopatkę. Wszystko mi się dziś z nim kojarzy.

Podjeżdżam pod wejście, spocona i śmierdząca. Zdejmuję kask i zostawiam go przy rowerze. Szarpię się z ciężką doniczką, klnąc pod nosem. Nagle czuję, jak wszystkie włoski na ciele mi się jeżą. Dziwne.

- Daj, pomogę Ci – mówi stojący za mną Piotr, a ja prawie wypuszczam z rąk donicę. Serce bije jak oszalałe. Szybko je opanowuję, choć spodziewałam się, że mimo lat praktyk, pójdzie mi to teraz znacznie trudniej. To by było na tyle z nie myślenia o nim.

- Dziękuję – odpowiadam i podaję mu kwiaty. Sama biorę łopatkę. Robię wszystko, żeby na niego nie spojrzeć, tak jest łatwiej. Domyślam się, że był u mamy na grobie. Nie za bardzo wiem, co mam powiedzieć więc milczę. A miałam tyle pytań! Żadnego nie pamiętam, choć usilnie staram się skupić i przypomnieć sobie.

- Co Ty taka milcząca, Em? – pyta po chwili zdziwiony Piotr.

- Zastanawiam się, co mogę Ci teraz powiedzieć – odpowiadam szczerze.

- Możesz wszystko, co potrzebujesz – mówi, a ja wiem, że to prawda. Zawsze mnie wysłuchiwał i liczył na moją szczerość. Teraz jednak zdaję sobie sprawę, że wolę nie znać żadnych odpowiedzi, niż usłyszeć coś, co rozłoży mnie na łopatki na środku cmentarza. Zaczynam więc od tematów bezpiecznych.

- Ciężko mi się dziś skupić – mówię prawdę i robię przerwę. – Jutro mam ciężki przypadek, chłopca, który próbował popełnić samobójstwo – kontynuuję, próbując dać mu do zrozumienia, że z tego właśnie powodu nie mogę się skupić, a nie że to były dwa osobne zdania. Inaczej kłamać nie potrafię. - Jestem psychologiem dziecięcym – dodaję, bo pewnie tego nie wie.

- A mogę spytać o powód jego załamania? Czy to tajemnica lekarska – pyta z zaciekawieniem.

- Póki nie podam danych osobowych, to mogę mówić – wyjaśniam. – Jego koleżanka z klasy nie odpisała na sms'a, jak widać zbyt długo – to mówiąc wzdycham, żeby zrozumiał, jak dziwny mam wokół siebie teraz świat. Widzę, że mruga z niedowierzaniem.

- Ja też tak najpierw zareagowałam, gdy dostałam ten przypadek. Ale potem wzięłam się w garść. Nie jestem od oceniania innych, tylko od wyciągania ich z traum – stwierdzam spokojnie. W tym czasie dochodzimy do grobu babci i dziadka. Podaję mu łopatkę, bo i tak by mi ją zabrał. Niewiele już miejsca pozostało wokół grobowca na kolejne rośliny. Z zadumą patrzę na pierwszy zasadzony wrzos i wspominam dzień, kiedy go tu przynieśliśmy. Uśmiecham się do siebie i nie mam wrażenia, że minęło tyle czasu.

- Też masz takie dziwne odczucie, jakbyśmy tu byli wczoraj? – pyta, patrząc na mnie Piotr.

- Tak. – Martwię się, że czyta mi w myślach. Szkoda, że nie mogę złapać go teraz za rękę. Może i świadomość naszej wieloletniej rozłąki uległa zatarciu, ale dalej mamy do pokonania ogromny, dzielący nas dystans wewnętrzny. – Dziękuję za pomoc Piotrze. Pora już wracać.

Idziemy do naszych pojazdów w ciszy, tym razem każdy tonie we własnych wspomnieniach. A może wspólnych? Na parkingu życzę mu miłego dnia i odjeżdżam. A raczej odpedałowywuję. Od mistrza nauczyłam się odchodzić bez zbędnych słów.

Oczywiście w połowie drogi staję roztrzęsiona na poboczu i dzwonię, tym razem do Dominika. Odbiera, jest w stajni i każe mi przyjechać. Posłusznie udaję się do niego. Kasia jest już o tej porze w szpitalu, więc nie mogę zawracać jej głowy. Opowiadam mu o spotkaniu z Piotrem, a on dziwnie mi się przygląda.

- Em, Ty wiesz, że go nadal kochasz, prawda? – dobitnie stwierdza, bardziej niż pyta.

- Wiem. I dlatego nie umiem postępować racjonalnie. Potrzebuję Waszego spojrzenia z boku i odrobiny rozsądku – mówię szczerze.

- Jedyne co Ci mogę teraz poradzić, to żyj, tu i teraz. Przestań się zamartwiać, co będzie dalej. – Dominik powtórzył to, co już dziś od niego rano usłyszałam. Ma rację, wiem o tym. A później dodaje:

– Choć moim zdaniem, najlepiej zrobiłaby Wam chwila prawdy. Jakby wreszcie usłyszał wszystko to, co w sobie kumulujesz przez te lata, to by Cię naprawdę poznał. I już nigdy więcej, by Cię nie zostawił. Jestem o tym przekonany.

- Nie, nie ma takiej możliwości. Podjęłam wtedy decyzję i pozwoliłam mu odejść. Najwidoczniej było mi to wszystko przez co przeszłam potrzebne, żeby znaleźć się dokładnie tu, gdzie obecnie się znajduję. I jestem dumna, że osiągnęłam to sama. On też chciał wyjechać,

a było mu tak na pewno łatwiej. Po co ma teraz cierpieć i żałować, kiedy pozna prawdę? Nie zamierzam mu nic mówić. – odpowiadam.

- Uparta bestia. – Dominik przytula mnie mocno. Wie, jak dobrze to na mnie wpływa. – To co, jedziemy w teren, skoro już tu jesteś?

- Myślałam, że masz pracę papierkową w biurze? – Mam na myśli sprawy służbowe związane ze stacją. – Ale jeśli nie masz, to jasne, z chęcią.

- Dla Ciebie jestem skłonny porzucić swoją pracę – odpowiada udając szarmanckiego. Dobrze wiem, jak nie znosi dokumentów i zrobi wszystko, żeby zająć się tym jak najpóźniej.

Pierwszy lipcowy poniedziałek jest trudny. Tak jak i wtorek, środa, czwartek oraz zadziwiająco piątek. W połowie tygodnia Kasia napisała, że ma wolną sobotę i jedziemy w trójkę nad jezioro, bo dawno nie byliśmy. Mogłaby przynajmniej napisać na końcu pytajnik. W sobotni poranek, przeglądam wszystkie posiadane kostiumy kąpielowe i wybieram czarny. Coś ostatnio ciągnie mnie do tego koloru. Po ubraniu go na moje boskie ciało, narzucam pierwszą lepszą zwiewną sukienkę w kwiaty i schodzę na dół. Patrzę przez okno, Dominik właśnie podjeżdża przed dom. Sam. Biorę spakowaną torbę i wychodzę.

- Co jest? – pytam, wsiadając do samochodu.

- Kasia jest w ciąży. Wymiotowała nad ranem i czuje się okropnie. Kazała mi z Tobą jechać, bo chce mieć teraz święty spokój – mówi i widzę, jak kuli się w sobie.

– To dość dużo informacji jak na jedną Twoją wypowiedź. – Po czym staram się podsumować wszystkie. – To wspaniała wiadomość, gratulacje! Przykro mi, że się źle czuje. Też się cieszę, że pojedziemy razem nad jezioro... – Dominik w końcu się uśmiecha.

- Masz rację, trzeba to załatwić po kolei. A teraz pocujmy się jakbyśmy byli piękni i młodzi.

- Ok, ale od razu ustalmy, że to ja jestem ta piękna, a Ty młody, dobrze? – Mówię i oboje się śmiejemy.

Strasznie się ucieszyłam, że wreszcie będę ciocią, choć ślub najprawdopodobniej będzie musiał zostać przesunięty na inny termin. Wesele miało być za pół roku, w grudniu. Kasia od dziecka marzyła o zimowym ślubie. Przyjdzie jeszcze czas na poruszenie tego tematu. Postanawiam, że zajrzę do Kasi, jak tylko lepiej się poczuje.

Wysiadamy na parkingu przy jeziorze i kogo moje oczy widzą? Tak. Piotra. A z nim Marka i Asię. Piotrek próbuje zmienić obrany kierunek, ale Marek ciągnie go za rękę. Nie do wiary, oni zamierzają się z nami przywitać. Dominik patrzy na mnie uważnie i szybko chwytam mnie w pasie. Ma rację, bo zaraz chyba zemdleję.

- Cześć – pierwszy odzywa się Marek, a Asia ściska mnie na powitanie.

- Cześć, to jest Dominik. A to Marek, Asia i Piotr. – Dominik nadal trzyma mnie przy sobie, mocno, więc tylko skłania nieznacznie głowę i się uśmiecha. A raczej szczerzy. Czemu on się

tak szczerzy do cholery?! Patrzę na Piotra, a ten wwierca wzrok w Dominika. No tak, chłopcy się poznali na moim cudownym występie podczas balu debutantek. Nie sądziłam, że Piotr go rozpozna po tylu latach! O nie, on chyba myśli, że my nadal jesteśmy razem. Próbuję odsunąć się od Dominika, ale widzę, że jest już za późno. Piotr odwraca się bez słowa i odchodzi w stronę plaży. Marek i Asia mówią, że może później jeszcze porozmawiamy i idą za nim. W zasadzie to prawie biegną.

- Czyś ty zgłupiał?! – pytam wkurzona.

- O co Ci chodzi? Sama przecież twierdziłaś, że lepiej utwierdzać go w kłamstwie, czyż nie? – odpowiada z przekorą Dominik.

- No niedokładnie o to mi chodziło?! – krzyczę na niego.

- Uspokój się, Em, bo zaraz cała plaża będzie na nas patrzeć. – Spoglądam w stronę jeziora, ale na szczęście nie widzę odwróconych w naszym kierunku twarzy. Dominik się śmieje. – Widzisz, sama nie chcesz, żeby to usłyszał. Chodź. Pora mu trochę utrzeć nosa za to, że Cię zostawił. - I ciągnie mnie w stronę piasku.

Znalazłam miejsce w bezpiecznej odległości od Piotra, choć i tak, nawet stąd ciężko go nie podziwiać. Zrobił się cholernie dobrze zbudowany. Powoli ściągam sukienkę, na co przeciągle gwizdże Dominik. Obrywa palcem między żebra i się ucisza. A potem robi najdurniejszą rzecz w całej naszej długoletniej znajomości. Przerzuca mnie przez ramię, podbiega do jeziora i wrzuca mnie do lodowatej wody. Mam ochotę odgryźć mu rękę. Z daleka mogliśmy wyglądać nawet, jak drocząca się para, ale ja wpadam w szal i próbuję go utopić. Bez skutku, za dobrze pływa. W końcu przytrzymuje mnie za nadgarstki i pyta:

- Już kocie? Bo ja się zmęczyłem. – Widząc w jego oczach rozbawienie, znów skacze mi ciśnienie. Muszę zetrzeć mu ten uśmiech z twarzy.

- Zamierzam zaraz napisać do Kasi sms'a, że więcej się do niej nie odezwę, za to, że mnie wysłała na pastwę Ciebie i ma natychmiast przestać wymiotować. Zresztą ona Ci nogi z dupy powyrywa, przy tych skokach hormonów, jak jej napiszę, co właśnie zrobiłeś! – dodałam, przechodząc do pełnoskalowego ataku słownego. Dominik nie puszczając moich nadgarstków, zaplata mi ręce z tyłu moich pleców i mówi z odległości 3 cm, że jeśli to zrobię, to mogę być pewna, że mnie tu przywiezie w nocy i utopi. Wygląda na naprawdę wkurzonego, więc wierzę w jego słowa. A najgorsze jest to, że z brzegu musi to wyglądać jakbyśmy się całowali. Świetnie. Po chwili puszcza mnie i wracamy na brzeg, po drodze czasem się szturchając i ochlapując. Padam na ręcznik z wykończenia. Dominik postanawia wykorzystać ten moment i zabiera się za smarowanie moich pleców olejkiem.

- Przestań się kręcić, Em. Będiesz miała zaraz całe włosy tłuste. – Stwierdza, nie przestając jeździć śliskimi dłońmi po mojej skórze.

- Dominik, wystarczy. Zaznaczyłeś bezlitośnie teren, odpuść – mówię zdenerwowana.

- Wiem, widzę. Właśnie Twój Piotr wskoczył do wody i wygląda jakby miał popłynąć do Atlantyku.

- Dominiku, nie wiem co miałeś z geografii, ale to jest jezioro. I to nie jest Mój Piotr! – cedzę przez zęby.

- Emilio, jakbyś mogła zobaczyć jego minę, uwierzyłybyś w niemożliwe – spokojnie odpowiada Dominik.

- Zejdź mi z pleców, do cholery! – Powoli tracę resztki cierpliwości.

- Gdzie się podziały Twoje maniery, Panienko? – zadaje pytanie drażniącym głosem Dominik, wprost do mojego ucha, a ja zaczynam pod nim wierzgać. W końcu uśmiechnięty odpuszcza i się odsuwa.

- Głodny? – pytam, jakby nic się nie stało.

- A jeśli powiem, że tak, to karzesz mi przynieść Ci hot doga? – dopytuje zrezygowany.

- Tak.

- Wiedziałem. – I idzie po jedzenie. Wreszcie mam dłuższą chwilę na zebranie myśli. Kolejki do baru są ogromne o tej porze. Odwracam się na ręczniku i widzę idącą do mnie Asię.

- Przepraszam, że Cię tak nachodzę, ale chciałam wykorzystać możliwość porozmawiania z Tobą w cztery oczy. Nie mam za wiele czasu, zanim wrócą chłopcy z wody. – Tu konspiracyjnie się rozgląda. Potakuję zachęcająco, żeby kontynuowała, zanim ten baran się pojawi. Mam na myśli Dominika. – Wiesz, że Piotrek dalej myśli, że piłaś na balu alkohol? Ale ja wiem, że tak nie było. Obiecałam Ci na koncercie, że nigdy nie powiem nikomu o Twojej abstynencji. Ale czemu mu tego nie powiedziałaś? Przez tyle lat? Przecież Wy się kochaliście. Nigdy tego nie zrozumiem. Chodziło o Dominika? – Czuję się mocno zaatakowana i ponownie przytwardzona do piachu.

- Słuchaj Asia, dziękuję, że nie wyjawiałaś mojej tajemnicy. Przepraszam, że Cię w to wtedy wplątałam. Nigdy nie sądziłam, że to posunie się tak daleko i będziesz się z tym źle czuć wobec Piotra. Jednak proszę Cię o jedno, zostaw ten temat. To było 10 lat temu, czasu nie cofniemy.

- Dobrze jak chcesz. Powiedz mi tylko, czy teraz jesteś szczęśliwa? – pyta wprost. I czeka na odpowiedź wierząc mi spojrzeniem dziurę w czaszce. Dlaczego ja nie umiem kłamać!

- No, staram się być, Asiu. Ale sama wiesz, że różnie w życiu bywa. Szczęście, to tylko przejaw pewnej formy... – Próbuję ją zagadać trudnymi rozważaniami, kiedy mi przerywa.

- Aha, ok, czyli nie za bardzo. Muszę iść. – I zanim zdążę jeszcze coś dodać, to już biegnie w stronę swojego koca. Pięknie. Czuję, że będzie z tego katastrofa. Za dużo osób zadaje zbyt niewygodne pytania. A Piotr nie wygląda jakby miał stąd zaraz wyjechać. Wraca niezadowolony Dominik, strasznie umęczony stanem w kolejce. Zjadam swoją porcję i pytam, czy możemy już wracać. On też chciałby już być z Katarzyną, więc szybko zbieramy się z plaży. Nie mówię mu o rozmowie z Asią. Całą drogę analizuję, jak mogłam to lepiej rozegrać.

Tydzień później, piątek rano, telefon od Kasi:

- Musisz nas ratować – mówi niepewnie.

- W sensie Ciebie i dziecko, czy Dominika? – dopytuję nerwowo, dla jasności. Bo od odpowiedzi zależy czy będę się denerwować bardzo czy tylko troszeczkę.

- Dominika. Jutro jest jakaś ważna impreza, na której miałam mu towarzyszyć, ale nie dam rady Em! Musisz pójść za mnie, bo on się strasznie martwi. A ja ciągle czuję się, jakbym połknęła kołek i niebawem miała go zwrócić. Wymiotuję już od tygodnia, ledwo stoję na nogach. Wzięłam L4 z pracy! – Tak, ten ostatni argument faktycznie mnie przekonuje. Ona nie oddała by minuty z pracy w szpitalu, gdyby nie zmusiło jej do tego coś naprawdę ważnego.

- Dobrze – odpowiadam z głośnym, wyraźnym westchnięciem, podkreślając swoje niezadowolenie każdą wypowiedzaną literką.

- Strasznie Cię Kocham, pa. – I się rozłącza. Napisałam do Dominika, czy wie o jej wspaniałym pomysśle. Napisał, że tak i mam być odstrzelona na 19.00. Cudownie.

Zostało mi jedno popołudnie na znalezienie sukni. Ruszam na podbój sklepów i z pierwszego, do którego weszłam, wychodzę z idealną kreacją. Zadziwiające. Na drugi dzień czuję się w niej jeszcze lepiej niż w przymierzalni, co uznaję za niepokojące. Przyglądam się sobie w lustrze i dochodzę do wniosku, że jest perfekcyjna. Prosta, czarna sukienka, bez ozdób, za to bardzo obcisła, z mocno wyciętymi plecami i rozcięciem od wysokości uda. Włosy podkręciłam i upięłam wysoko, puszczając luźno kilka kosmków. Zwędziłam mamie długie kolczyki i ciężką bransoletkę. Dobrze, że wracają za tydzień. Podjeżdża Dominik. Na mój widok szczeka mu opada, więc pomagam jej wrócić na miejsce, a następnie wsiadam do jego samochodu.

- Em, muszę Ci coś powiedzieć, zanim dojedziemy – mówi przestraszony.

- Niech zgadnę, Piotr też tam będzie? – zrezygnowana pytam.

- Tak. I pewnie padnie na zawał na Twój widok. – Przyjmuję komplement z uśmiechem. - Ale to nie wszystko. Wygląda na to, że w tym tygodniu kupił udziały w firmie mojego ojca.

- Sądysz, że celowo je kupił? – Nie wiem, czy śmiać się czy płakać.

- Nie wiem, ale będąc na jego miejscu, tak bym zrobił. Kasia poczuła się rano na tę wiadomość wyjątkowo dobrze, ale uznała, że to Ty powinnaś dzisiaj ze mną pojechać. Nie złość się na nią proszę.

- Nie rozumiem, czemu ta informacja miałaby ją tak cudownie ozdrowić? Powinna być na niego zła. – Głośno się zastanawiam. Analiza jej zachowania odciąga moje myśli od prawdziwego problemu.

- Chodzi o to Em, że jeśli on wykonał taki ruch, to znaczy, że mu na Tobie nadal zależy. Nie sądzisz? – podsumowuje Dominik.

- Nie i nie zamierzam o tym rozmyślać. Jeśli coś chce ode mnie, to powinien przyjść i porozmawiać. Tak robią dorośli ludzie – stwierdzam, choć wiem, że ma rację.

Na tym kończymy rozmowę. Przed wyjściem z auta, ostrzegam go, żeby nawet nie ważył się udawać dzisiaj mojego chłopaka. Kiwa tylko głową. To nie miejsce na żarty i obydwójce o tym wiemy. Prowadzi mnie do sali głównej. Rozpoznaję kilka dorosłych już dzieci, które spotkałam parę razy podczas wspólnych obiadów z naszymi rodzicami. Dominik przedstawia mnie jakimś ważnym osobistościom, po chwili cicho mówię, żeby szedł załatwiać swoje sprawy, a ja idę do znajomych. Witają mnie bardzo serdecznie. Rozmawiamy prawie godzinę a później wychodzę na taras. Jest przyjemna noc, choć zaczyna wiać chłodny wiatr od strony pobliskiego zbiornika wodnego. Czuję, jak ktoś zarzuca mi marynarkę na ramiona. Ktoś pachnący tak jak lubię najbardziej. Uśmiecham się smutno do wspomnień z jego urodzin.

- Tak jakby prawie nic się nie zmieniło, co Piotrze? – pytam z nostalgią w głosie.

- Ciężko potraktować Twojego chłopaka jako nic, Em. – odpowiada sztywno.

- Lepiej powiedz to jego żonie. Kaśka pewnie by się teraz uśmieiała – mówię bezmyślnie. Chyba przyszła pora na rozmowę.

- Kaśka? Ta Kaśka? – dopytuje wyraźnie zdziwiony i staje obok mnie.

- Tak, ta. Ostatnio niedomaga z powodu ciąży, stąd moje częste występy u boku Dominika. Coś czuję, że jak tak dalej pójdzie, to się pozabijamy – stwierdzam wyraźnie rozbawiona i patrzę mu prosto w oczy. Chcę widzieć jego minę, kiedy do niego dojdzie, że zakupy, które ostatnio zrobił, były bez sensu.

- Jeśli będziesz chciał odsprzedać akcje jego firmy, to służę pomocą – dodaję i mrużę oczy. Pociera nerwowo brodę, a potem się uśmiecha.

- Dziękuję, że mi o tym mówisz, ale mimo wszystko jest to dobra inwestycja – mówi i patrzy w dal. Ależ on jest nieziemsko przystojny. To strasznie utrudnia racjonalne myślenie.

- Piotr – zaczynam i czekam aż się do mnie odwróci – na jak długo przyjechałeś? – W końcu pada pytanie, na które odpowiedzi najbardziej się boję. Widzę, jak cieszą się jego oczy, co mnie momentalnie uspokaja. Czyli Dominik miał rację, nadal mu na mnie zależy.

- Mam nadzieję, że na zawsze Em. Taki przynajmniej mam plan. Tata powoli nie ma już sił, więc przejmuję jego stanowisko. Parę lat temu mieli z Twoim tatą duże kłopoty finansowe z jedną inwestycją, na szczęście wyszliśmy teraz na prostą. Ale ojcu brakuje już cierpliwości, chyba się wypalił – odpowiada. Nie wiedziałam, że coś niepokojącego działo się w naszej firmie. Niczego nie zauważyłam. Momentalnie wyrzucam sobie, jak mogłam być tak zapatrzona w siebie? Choć wiem, że tata na pewno nie chciałby mnie martwić i nawet gdybym spytała, to by mi nie powiedział.

- Jak przyjął to Twój wujek, że wyjeżdżasz? – dopytuje, przypominając sobie, jak ja to kiedyś przyjąłam...

- Od początku wiedział jaki mam cel. Zrealizowałem go i wróciłem. Na pewno nie ma mi tego za złe – odpowiada spokojnie, a ja robię się na siebie zła, że nigdy go o ten plan nie spytałam.

- Byłem z Ciebie dumny, kiedy pewnego dnia zadzwonił tata z informacją, że zostałaś

psychologiem. A jeszcze bardziej się ucieszyłem, po tym jak dodał, że w ostatnich latach wyrosłaś.

- Tak, a popisy Dominika na plaży musiały Cię z tego przekonania szybko wyprowadzić – dodaję ironicznie, bez zastanowienia.

- No cóż, przyznam, że się lekko zdziwiłem i zmartwiłem. Tym bardziej, że o ile dobrze pamiętam, to on nalał Ci wtedy wódki do ponczu, prawda? – Serce mi stanęło. Nie mogę mu tego teraz zrobić, a każde wypowiedziane kłamstwo, będzie od razu przez niego odczytane. Co ja mam do cholery teraz powiedzieć?!

- Nie nalał – przerwał Dominik, stając za moimi plecami – tylko się wygłupiał, żeby ta młoda dama opanowała rosnącą panikę i nie zemdlą z nerwów jeszcze przed walcem. Co i tak niestety zrobiła, ale chwilę później, za schodami. A kiedy już udało mi się ją dźwignąć z ziemi, to zaraz po Twojej reakcji na zaistniałą sytuację, skopała mnie po jajach. A tak poza tym, to od sławetnego Sylwestra u Ciebie, Em nie pije alkoholu. Tylko zerówki.

Nie wiem, kiedy wszedł na taras i jak długo przysłuchiwał się naszej rozmowie, ale musiał dobrze wiedzieć, że nie odpowiedziałabym na pytanie Piotra o tamtą noc. Nigdy. Jutro publicznie go rozstrzelam. A później dowiem się, jakim cudem wie o alkoholu.

Piotr w tym czasie zbladł i patrzy na mnie, licząc, że zaprzeczę.

- Basta – mówię wściekła do Dominika i kluję go z całych sił palcem w klatę. – Ani słowa więcej.

Przypominam sobie jak ostatnim razem użyłam tych słów wobec Piotra, po pocałowaniu Kaśki. Nie wiem czemu, to zawsze działa na mężczyzn. Jakby tym jednym zdaniem można było roztoczyć magiczną barierę, nie do pokonania.

Oddaję marynarkę oszołomionemu Piotrowi, wymijam zdenerwowanego Dominika i schodzę po schodach do ogrodu. Okrażam budynek i szukam taksówki. Jeśli chcą się teraz pozabijać, to niech to robią. Nie mam ochoty widzieć żadnego z nich.

Całą noc kręcę się po domu. Nad ranem oczami wyobraźni widzę Piotra z siekierą, który już zasypał cały ogród drewnem na opał. Nie, tym razem do niego nie pojadę. I z takim mocnym postanowieniem nareszcie usypiam.

O godzinie 10 budzi mnie poczucie niepokoju. Patrząc na telefon. Kaśka napisała, że wreszcie mam to coś za sobą. Coś. Ciekawe sformułowanie. Nie zamierzam jednak odpisywać, bo mam jej za złe, że to od niej Dominik dowiedział się o mojej abstynencji. Idę wziąć prysznic, a później ubieram się w szlafrok. Z mokrymi włosami zbiegam na dół, kiedy słyszę dzwonek do drzwi. No tak, mogłam to przewidzieć, myślę. Otwieram drzwi bez zawahania.

- Cześć – mówię od razu do stojącego na progu Piotra. Tym razem nie zaskakuje mnie jego wizyta. Przeczesuje palcami swoje włosy, starając się ukryć zdenerwowanie. Widzę, że też dziś za dużo nie spał. Przygryza dolną wargę, zastanawiając się pewnie co ma najpierw powiedzieć. – Możesz zacząć od zwykłego „cześć”, a potem będzie już łatwiej, zaufaj mi – zagajam, a on

się uśmiecha. Nienawidzę go za ten uśmiech, który sprawia, że sama teraz stoję jak bezmyślna krowa.

- Masz rację, gdzie moje maniery – to mówiąc, zbliża się do mnie i całuje mnie w policzek. Później szybko się odsuwa, patrząc na efekt swojego zachowania. Musi mieć niezły ubaw z moich rumieńców. – Są rzeczy, które nigdy się nie zmieniają, prawda Em?

- Zobaczysz, jeszcze to odszczekasz. Teraz podczas każdej mojej medytacji, będę afirmować odzyskanie kontroli nad policzkami – obiecuję mu.

- To byłaby wielka strata. Nie rób mi tego, proszę – dodaje poważniej niż powinien. – Czy masz ochotę na przejażdżkę? – pyta, po czym odsuwa się i wskazuje na nowy ścigacz. Ha, teraz dam mu popalić.

- Jasne, tylko pozwolisz, że zmienię swoje wdzianko. W tym mogłoby być zbyt przewiewnie. – Wskazuję na cienki szlafrok i mrugam do niego kokieteryjnie. – Daj mi pięć minut, zaraz do Ciebie wrócę.

- Nie spiesz się, ktoś kiedyś powiedział mi, że czas tak naprawdę nie ma żadnego znaczenia i liczę, że mówił prawdę – mówiąc to, patrzy mi niebezpiecznie w oczy. Nie sądziłam, że będzie mnie kiedyś cytować. Ale to prawda. Gdyby zostawić wyłącznie te momenty, w których się ze sobą spotykaliśmy, to minęłoby dopiero parę tygodni naszej wspólnej przygody. Uśmiecham się lekko, po czym znikam za drzwiami. Wkładam swój specjalny kombinezon i zbiegam do garażu. Tam dosiadam swojej czarnej strzały o imieniu Bi, wkładam kask i wyjeżdżam powoli. Nigdy nie zapomnę miny Piotra. Na jego twarzy malują się wszystkie emocje na raz. Podjeżdżam do niego i wyłączam silnik.

- Jak długo go masz? – pyta z przerażeniem w głosie. Pokazuję mu trójkę palcami, ubranymi w grube rękawice.

- Trzy dni? – Pada pierwsze pytanie, a ja zaprzeczam głową. – Trzy miesiące? – Nadal pudło. – Trzy lata. – Potakuję energicznie. – Dobrze, to możemy jechać, skoro masz go tak długo i jeszcze żyjesz. Ale jedziesz za mną. - Zakłada kask i wsiada na swój motocykl. No cóż, gdyby tylko widział, jak niebezpiecznie położyłam motocykl w zakręt w pierwszym roku użytkowania, to pewnie kazałby mi teraz zostawić ścigacz w garażu. To niestety nie jest dla mnie rozsądny środek transportu, dlatego rzadko z niego korzystam.

Oczywiście wiem, dokąd mnie zabiera. Trudno się nie domyślić. Przypominam sobie, kiedy ostatni raz tam byłam i śmieję się na wspomnienie, jak utknęłam w krzakach, a Dominik robił za wybawiciela. Ciekawe co słyszeć u Mateusza? Mam nadzieję, że wszystko u niego dobrze. Chyba każdy musi mieć swoją „Marysię”. Kręcę głową, raczej nie powinnam o tym teraz myśleć. Mam przed sobą trudny orzech do zgryzienia i to dosłownie. Zanim zdążę sobie coś poukładać, jesteśmy na miejscu. Parkujemy motocykle pod drzewem i ściągamy kaski, rękawice oraz kurtki. Jest dziś nad wyraz gorąco, a jego obecność obok podkręca moją temperaturę do maksimum.

Idę kilka kroków przed siebie, zawsze lubiłam stawać w tym miejscu, gdzie kończy się cień drzew i zaczyna łąka. Wszystko jednak wygląda inaczej niż zapamiętałam. Trawa jest

skoszona, a teren wyrównany. Po prawej i po lewej stronie, widzę posadzone rzędy tui, a za nimi ciągnące się ogrodzenie. Ktoś tu ewidentnie postanowił zaznaczyć swój teren. Na szczęście krajobraz przede mną jest niezmiennie piękny. Widać kolejne zielone wzgórza, pokryte gęstym lasem, a w oddali rysuje się zarys wysokich gór. Zamykam oczy i chłonę atmosferę tego miejsca. Ptaki uspokajająco rozmawiają ze sobą, a ciepły wiatr przeczesuje moje wilgotne jeszcze włosy. Nie ma lepszej łąki na Ziemi.

Podchodzi do mnie Piotr, patrzę na niego i zastanawiam się o czym teraz myśli. Wygląda trochę, jakby go coś martwiło, a może zbiera się na odwagę, żeby ze mną porozmawiać o wczorajszym dniu?

- Przykro mi, że Cię wtedy źle oceniłem, Em. Jest mi wstyd, że wyjechałem bez słowa. Ale myślę, że i tak bym wyjechał, tylko nie miałem odwagi spojrzeć Ci nigdy w oczy i to powiedzieć – mówi poważnie i z wyraźnym bólem.

- Wiem – odpowiadam cicho. Zawsze to wiedziałam.

- A to był mój cel. – Ciężko oddycha i wskazuje na łąkę. – Całe studia, a później te kilka lat ciężkiej pracy u wujka, poświęciłem, by móc zrealizować swój projekt. – Nie do końca rozumiem jego słowa, więc patrzę na niego z zaciekawieniem. Bierze mnie za rękę, co sprawia, że kręci mi się w głowie i prowadzi po zboczach, aż dochodzimy do dziwnie ułożonych w trawie białych kamieni. Puszcza moją dłoń, a ja mruczę niezadowolona. Bawi go moja reakcja.

– Zamierzam postawić tu dom, Em, a te ułożone skałki to jego przyszłe ściany – mówi wyraźnie wzruszony. Patrzę zdziwiona na zarys bryły budynku i zaczynam krążyć. Rozpoznaję, gdzie ma być kuchnia, jadalnia, pokoje, a nawet schody do salonu. Nagle staję i pytam zrzędlawie:

- A ta sterta kamieni koło schodów, na środku salonu, to co to niby ma oznaczać?!

- Filar konstrukcyjny – odpowiada rozbawiony.

- Zwariowałaś? – pytam poważnie, a on nagle dziwnie pobladł. – Chcesz, żeby dzieci rozbiły sobie o niego głowę, biegając po domu? Nie ma opcji. – Po czym zabieram największe kamienie i odchodzę poza teren wyznaczonego domu.

- Oddawaj natychmiast ten filar. Przecież dom się bez niego zawali! – krzyczy do mnie, śmiejąc się przy tym. Odwracam się do niego tyłem i zaczynam budować swój własny kwadracik. Widzę, że mi się bacznie przygląda, a potem rusza w moją stronę.

- Co robisz? – pyta zaciekawiony.

- A jak myślisz? A gdzie niby ma stać mój koń? – odpowiadam pytaniem na pytanie i podpieram się dziarsko pod boki. Widzę, jak rozjaśnia się jego twarz i znika całe napięcie, które widziałam u niego od rana.

- Najlepiej w stajni, Em, u Dominika. – Odpowiada mrużąc oczy i udając, że mówi poważnie. – A co do filaru, postaram się zadzwonić jutro do projektanta i zapytam, co z tym można zrobić, żeby było bezpieczniej. Czy takie rozwiązanie Cię satysfakcjonuje?

- Po części. – Stwierdzam szczerze i przechylam głowę na bok, czekając co zrobi dalej. Ma teraz dwie opcje, albo obrócić to w kolejny żart i nadal będziemy tkwić w przestrzeni nazwanej „przyjaźń”, albo wreszcie podejść do tego na poważnie. Stoimy jak kowboje na pojedynku, patrząc bez ruchu w swoje oczy. Może podprogowo toczymy jakąś walkę, której kompletnie nie rozumiem, co mnie coraz bardziej denerwuje, więc tracąc cierpliwość i mówię z głębi serca czystą prawdę:

– Długo jeszcze, Piotrek? Bo ja już mam dość czekania na Ciebie.

Nawet nie wiem kiedy, a już jestem w jego ramionach. Widzę wzruszenie w jego oczach i błady uśmiech. Czuję jego ciepłe ciało przy moim, ulubiony zapach jego skóry, bicie własnego serca w swoich uszach, urywany wspólny oddech i to oczekiwanie w strachu, czy to się naprawdę teraz dzieje? Jakby każdy dzień mojego życia przybliżał mnie wyłącznie do tej chwili, z poczuciem, że to tak szybko, że to już? Moment, od którego, życie mogło próbować rzucać nam kłody pod nogi, ale nigdy więcej nas nie rozdzieli. Bo cokolwiek się potem stanie, stanie się Nam, razem. Piotr powoli zbliża się do moich rozchylonych ust, a później całuje mnie bez pośpiechu. Czuję się pozbawiona ciała, a cały świat nagle cichnie. Jestem równocześnie szczęśliwa, jak i przerażona niekontrolowaną reakcją własnego ciała. Bardzo niechętnie pozwalam mu się odsunąć, a on szepcze:

- Kaśka miała rację, zajełście całujesz. – A potem śmiejemy się, płacząc i przytulając do siebie mocno. Tyle pięknych chwil za nami, które kiedyś wydawały się być koszmarem. I tyle trudnych i pięknych chwil jeszcze przed nami. Nie mogę się już ich wszystkich doczekać. Ale ten filar musi zniknąć z salonu, prawda?

Wiele lat później, gdy nasze dzieci wyruszyły budować swoje własne wszechświaty, każdego poranka siadamy na ławeczce pod jabłonką, na skraju lasu. W otaczającej nas ciszy wspominamy wszystkie chwile spędzone razem, a były wśród nich także te bardzo ciężkie. Ale nadal jesteśmy tu razem i to nasz największy sukces w życiu. A później, po raz ostatni, wkładam czarną sukienkę.

Jeśli kiedyś zobaczysz drzewo, a pod nim starą, być może zbutwiałą belkę, która mogła być czyjąś ławką, to wspomnij naszą historię. I żyj. Tu i teraz.

Dla Piotra,
Mama